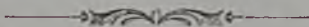


Dc. II 1.

Tom CLXXXV.

Zeszyt 554.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.



ROK CZTERDZIESTY SIÓDMY.

LUTY.

1888.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: NOWY-ŚWIAT Nr. 41.

1888.

T R E Ś Ć .

	stron.
Ś. p. Wincenty Majewski. Wspomnienie pośmiertne	I—IV
I. Włochy tegoczesne. Przez Adolfa Smorczewskiego.	169
II. Historia wynalazku lunety i zastosowania jej do astronomii. Napisał dr. Wierzbicki.	191
III. Optymizm a teorye państwowe. I. Hugo Grocyusz. (Dok.). Przez Eugeniusza Lipnickiego.	208
IV. Przygody Stacha. Powieść. (Drezno 1884 r.). Przez Jó- zefa Ignacego Kraszewskiego.	235
V. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. — Dzieła uwieńczyone na konkursie akademickim. — Albert Sorel: „Europa i re- wolucya francuska. — Artur Chuquet: „Pierwszy napad pruski, Valmy i odwrót Brunszwika.“ — Markiz de Courcy: „Koalizya 1701 r. prze- ciw Francyi.“ — Jenerał Thomas: „Kapitulacye.“ — Ksiądz Allain: „O sposobie nauczania w r. 1789.“ — Jakób Denys: „Komedyja greck- ka.“ — Berard Varagnan: „Portrety literackie.“ — Fremy: „Akademia za ostatnich Waleczuszów.“ — Wyse Bonaparte: „Stydium nad kana- łem Panama.“ — Ksiądz Siccard: „Nauki klasyczne przed rewolucyą.“ Allaire: „La Bruyère w domu Kondeusza.“ — Develay: „Przekład łac- cińskięj korespondencyi Petrarki.“ — Carré: „Przekład poezyi Leopar- dego.“ — Henryk de Pène: Powieść „Trop belle.“ — Guillot: „Paryż cierpiący.“ — Cochin: „Ewolucya życia.“ — Faquet: „Stydya nad lite- raturą XIX-go wieku.“ — Pani Dieulafoy: „Persya, Chaldea, Suzya- na.“ — Hrabina d'Armaillé: „Życie księżniczki Elżbiety, siostry Ludwi- ka XVI-go.“ — Franciszek Fabie: „La poesie des Bêtes.“ — Harel: „Na polach.“ — Zbiór poezyi. — Emanuel Cosquin: „Zbiór powieści ludu lotaryńskiego.“ — Blade: „Powiastki gaskońskie.“ — Fleury: „Li- teratura niepiśmienna w Normandyi.“ — Juliusz Lemaître: „Prace kry- tyczne.“ — „Pallas-Athené,“ poemat Emila Moreau. — Caro: „Stu- dyum nad Georges Sand.“ — „Pamiętniki o generale Carnot,“ przez syna. — „Walka o Szekspira,“ dzieło amerykanina Donnely. — Poeta kanadyjski Ludwik Frechette: „Legende d'un peuple.“	245

VI. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.

Percy Bysshe Shelley: „Prometeusz rozpętany,“ dramat liry- czny w 4 aktach, przełożył z oryginału angielskiego Feliks Jezieraki. Warszawa, 1887, u Teodora Paprockiego i Sp. Przez J. A. Świą- ckiego.	266
---	-----



I
Dc. II. 1.



WINCENTY MAJEWSKI,

(Ur. 1806 r. † 27 stycznia 1888 r.).

Dnia 27 stycznia 1888 r. zmarł w Warszawie **Wincenty Majewski**, zasłużony Członek-redaktor „Biblioteki Warszawskiej” od pierwszej chwili jej założenia w r. 1840-ym, znany powszechnie i ceniony mecenas, obywatel na licznych polach pracy publicznej w kraju naszym znamienity.

Ś. p. Wincenty urodził się we wsi Mikułowicach, w Sandomierskiem, z bardzo skromnej rodziny, zrujnowanej wojnami, chodzącej wreszcie małemi arendami, utrzymaniem od dworów zamożniejszych. Wychowany na wsi po sielsku, cieszył się zawsze doskonałym zdrowiem, tak, że w dosłownym tego wyrazu znaczeniu nigdy nie chorował. Początki nauk otrzymał w domu swych rówieśników, Rychłowskich, w Kowali pod Radomiem i od księży w Sandomierzu. Szkoły niższe odbył u ks. Cystersów w Wąchocku, a gimnazyalne kończył u ks. Pijarów w Radomiu, gdzie już korzystał ze stypendyum i zarabiał na swoje utrzymanie, jako mentor-korepetytor polszczyzny swoich kolegów, mieszkając u pewnego francuza razem z młodzieżą zamożniejszą (Rychłowscy, Sapięha bliżej nam nieznany), co mu nastęrczyło łatwiejszą sposobność nauczenia się języków francuzkiego i niemieckiego. W szkołach oddawał się z zamiłowaniem nauce języków klasycznych, greckiego i łacińskiego, tak że już w Radomiu pisywał poprawne wiersze łacińskie, a z pomiędzy pisarzyw klasycznych umiłowal przed innymi Cyncerona i Horacego. Dzieła ich w nowszych nawet wydaniach nie odstępowaly go nigdy do końca życia, bo znachodził w nich potrzebne orzeźwienie umysłu, *recreationem et solamen animi*, jak mawiał, wśród najtwardszych przeciwności! Oprócz tego zajmowały go zawsze dzieła i kwestye astronomiczne i meteorologiczne.

Od r. 1822—25 uczęszczał na wydział prawny w uniwersytecie Aleksandrowskim w Warszawie, korzystając jako wzorowy, pilny i zdolny student z funduszków stypendyalnych, któremi uniwersytet dopomagał kształcącej się młodzieży. Moglibyśmy charakterystyczne fakta przytoczyć w życiorysie ś. p. Wincentego z tej epoki, jako *signaturam temporis* nie tylko dla nauki młodzieży, kroczącej wśród trudnych stosunków ku wyższym celom,—ale i jako wzór dla społeczeństwa, pragnącego łagodzić gorycz niedostatku kształcącej się młodzieży; ale toby przekroczyło granicę tego wspomnienia pośmiertnego.

Jako uczeń celujący ukończył uniwersytet ze stopniem magistra prawa w roku 1825-ym, w którym też począł pracę sądowniczą w kancelaryach znakomitych ówczesnych prawników. Po r. 1831-ym zajął stanowisko obrońcy prawa, na którym już wytrwał do końca swego żywota, pełnego jak najrozleglejszej działalności obywatelskiej, przy której dorobił się poważania powszechnego i mienia, zapewniającego nieboszczykowi i rodzinie byt niezależny. Już w r. 1842 razem z Nofokiem, kolegą szkolnym i wojskowym, nabył rozległe dobra ziemskie poduchowne (Mstowskie) w Wieluńskim, sekularyzowane za rządów pruskich; były to wsie Krasice, Kłobukowice i Kuchary, Rudniki, Zawada, Łuszczyn i t. d., z których część zaraz odprzedał, niektóre zaś dopiero dla działów familijnych w r. 1883 odstąpił.

Sama praktyka sądownicza nie zaspakajała jednak rucliwego umysłu ś. p. Wincentego. Ceniąc wysoko korzyści i pożytki, jakie narody i państwa odnoszą ze wzrostu oświaty i cywilizacji, z postępu nauk i umiejętności, garnął się zawsze do popierania piśmiennictwa polskiego w najszerszych sferach społeczeństwa. Drukował też wiele rozpraw w czasopiśmie prawniczym „Themis polska,” wydawanem przez Hubego (1828—1830), a później wraz z Maurycem Mochnackim, Żukowskim i Józefem Hube redagował i wydawał pismo p. t. „Kuryer polski,” które cieszyło się wielkiem uznaniem.

Nastąpiła potem zbyt długa a nader głucha cisza na niwie pracy duchowej w kraju, cisza, nie przerywana żadnym poważniejszym głosem prasy peryodycznej, cisza grożąca nam niebezpiecznym odosobnieniem od wszelkich nabytków oświaty i cywilizacji europejskiej. W obec tak strasznego widziadła, postanowiło grono zwolenników literatury ojczyźstęj na zebraniu swoim dnia 12 września 1840 roku zawiązać redakcyę, celem wydawania pisma naukowej treści. Grono pomienione składali:

Baliński Michał, Aleksander i Adolf Kurtzowie, Żubieński hr. Leon, Majewski Wincenty, Potocki Leon, Szabrański Antoni, Tyszyński Aleksander, i K. Wł. Wójcicki. Pismu dano tytuł: „Biblioteka Warszawska,” która zaczęła wychodzić od 1 stycznia 1841 r. zeszytami miesięcznymi, jak się to do dnia dzisiejszego bez żadnej przerwy wykonywa. Nie potrzebujemy powoływać wyraźnie względów, które nam nie pozwalają rozbiierać tój sprawy w całej jój ówczesnej i późniejszej doniosłości dla naukowej literatury polskiej; ale archiwum redakcyi obfituje w liczne świadectwa, dowodzące chwalebnej gorliwości i pieczołowitości, nie mniej i wytrwałości na obranej drodze, z jaką ś. p. Wincenty wśród najrozmaitszych przeciwności wydawnictwo to wspierał, ożywiał i energią swoją przy szlachetnej pomocy większego grona ludzi dobrej woli do ostatniego swego tchnienia podtrzymywał. Chwile po r. 1846 i 1848 oraz około r. 1879 przedstawiają w wydawnictwie Biblioteki kronikę najkrytyczniejszą, ale i zarazem najciekawszą, bo chlubną dla szczupłego grona świątłych obywateli kraju, wśród których ś. p. Wincenty zaszczytne zawsze zajmował stanowisko! Pokazny poczet pisarzy polskich, wyrosłych na chlubę literatury polskiej, rozpoczynał działalność swoją literacką na kartach tego wydawnictwa, które przy braku uniwersytetu polskiego, było przez długi czas najpoważniejszym organem polskim. Wzgląd ten był dla ś. p. Wincentego pobudką, że nie przestawał być aż do końca swego życia najgorliwszym zwolennikiem i wytrwałym opiekunem wydawnictwa, uważając sobie tytuł Członka-redaktora i Założyciela „Biblioteki Warszawskiej“ za miłą i wielce zaszczytną. Z pomiędzy prac, które nieboszczyk ogłosił w Bibliotece, zasługują na wzmiankę: „Myśl do wystawy sztuk w resursie” (R. 1841, t. I, str. 421); „Rozbiór krytyczny najnowszych dzieł prawnych polskich z 2-óch lat ostatnich, t. j. 1839 i 1840” (R. 1841, t. II, str. 512); „Wiadomość i uwagi o ustawie dla sędziów pojednawczych w Wielkiem Księstwie Poznańskiem.” (R. 1842, t. IV, str. 389); „Czy kapitały hypoteczne w Królestwie Polskiem są nieruchomością lub ruchomością?” (R. 1846, t. II, str. 46).

Główną jednak działalność musiał ś. p. Wincenty rozwijać na stanowisku swego zawodu. Obok czynności obrończych piastował przez długi szereg lat stanowisko radcy prawnego b. Banku Polskiego, dyrekcji drogi żelaznej Warszawsko-wiedeńskiej, brał czynny udział w organizacyi niemal wszystkich naszych instytucyi kredytowych, jako to: Banku dyskontowego, Towarzystwa wzajemnego kredytu, Towarzyst-

wa kredytowego miasta Warszawy i w. i. Do ostatniej chwili zasiadał jako Członek Komitetu nadzorczego w Tow. kred. m. Warszawy oraz pełnił obowiązki radcy prawnego w Tow. wzajemnego kredytu i w Banku dyskontowym.

Prawość charakteru i niepospolite przymioty umysłu i serca jednały ś. p. Wincentemu wcześniej nader szeroką klientelę: powierzano mu z zaufaniem najzawilsze sprawy, które przeważnie szczęśliwie rozwiązywał. Głośne na arenie sądowiczej były jego apelacje do senatu: w sprawie upadłości Salwiana Jakubowskiego, w sprawie właścicieli fabryk cukru w Łyszkowicach i w Hermanowie, (Warsz. 1867; fol.); skarga wzajemna na skargę Prokuratury do rządzącego senatu ze strony Al. Prusaka (Warsz. 1843 fol.) i i.

Prócz 1½ rocznego pobytu w Rosji (1863—1865) w Orenburgu, nie opuszczał na czas dłuższy Warszawy i czuł się tak z nią zżyły, że nie wyobrażał sobie, jak to można żyć—a być „nieobecnym” w kraju — nieobecnym w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Obchodzony w r. 1879-ym 50-letni jubileusz działalności obrończej ś. p. Majewskiego, świadczył wymownie o tém, jak wielkiem cieszył się nieboszczyk uznaniem zarówno u współkolegów jak i wśród najszerszych sfer naszego ogółu. Obserne życiorysy, które z tego powodu drukowały „Kłosa” (tom XXVIII, nr. 719) oraz „Tygodnik powszechny” (r. 1879), mieszczą w sobie obfity materiał biograficzny ś. p. Wincentego, odnoszący się do sprawy włościańskiej, którą w dobrach swoich wcześniej uporządkował, do spółki jedwabniczej, do spółki konserwacji dróg bitych, do zamiłowania ogrodnictwa, interesów resursy obywatelskiej w Warsz., uczestnictwa w b. Towarz. rolniczém i t. p.

Ś. p. Wincenty był zawsze wiernym synem kościoła; przy jasnej, niezawistej, postępowej myśli; bo doświadczenie długiego życia uczyło go tej prawdy, że gruntowna nauka zawsze prowadzi do Boga, a tylko płytką odwraca od Niego!

Zgon tak czynnego człowieka i tak wielostronnie zasłużonego obywatela, obudził też żal powszechny, a wdzięczny ogół poprzehował licznie uczcić pamięć zmarłego w ostatniej postudze pogrzebowej, która się dziś jak najuroczyściej odbyła.

Cześć pamięci wieloletniego współpracownika i zasłużonego obywatela kraju: placide quiescat!

Warszawa dnia 31 stycznia 1888 r.

WŁOCHY TEGOCZESNE.

PRZEZ

Adolfa Smorzewskiego.

Wystąpienie Włoch na widownię wielkiej polityki w najnowszej chwili zaciekało w wysokim stopniu publicystykę europejską. Czynniki ten nowy obliczany jest rozmaicie. Kanclerz niemiecki, książę Bismarck, wielce sobie waży alians zawarty z Włochami.

Jakiegokolwiek będzie powodzenie Włoch, pozostaje zawsze fakt ważny, że półwysep, uważany tylko jako geograficzna nazwa, mieszczący przed 20-tu laty niesformą rzeszę państweczek, pozbawionych wszelkiego znaczenia i będących ofiarą lub narzędziem państw sąsiednich, ukonstytuował się w tak krótkim czasie w potężne państwo, słuchliwe władzy centralnej, w rozwoju silnym, wszechstronnym.

Zgodność terażniejsza Włochów, spokój wewnętrzny, wytworzenie prędkie poważnej siły militarnej, dobry stan finansów mimo ofiar ogromnych, wszystkie te objawy, wzbudzające podziw i zadające kłopot wielu złowrogim wyroczniom, są we Włoszech owocem jednej mądrej zasady, której rząd Włoch zjednoczonych trzyma się stale. Jest to poszanowanie przeszłości historycznej oraz różnorodnych części składowych nowego państwa. Samorząd rozległy nadany został miastom i okręgom, nazwanym prowincjami, mającym tak wiele własnego życia i zasobów intelektualnych, że nie potrzebują i nie zniosłyby wszechwładztwa rządu centralnego, tém mniej pedantyzmu biurokratycznego. Stanowcza różnica, jaka zachodzi między dzisiejszym ustrojem wewnętrznym Francji, państwa modelowo scentralizowanego, a Włochami, gdzie monarchia spełnia tylko główne zadania zbiorowe, prowincjom zaś i municypiom pozostawiła ustrój jakby republik średniowiecznych, tych komun, sądzonych dziś tak rozmaicie, powinna zwrócić uwagę i stać się przedmiotem studyów poważniejszych, gdyż porównanie wypada zupełnie na korzyść zasad przyjętych przez rząd włoski.

Podczas, gdy we Francyi wszystkie siły i zdolności kraju pochłania Paryż, z czego wynika ścieranie się gwałtowne niezliczonych ambicyi; Włochy, mające równie usposobienie namiętne, dają przykład utrwalania się monarchii, czego dowodzi długoletnie ministeryum Depretisa, przez śmierć dopiero ministra przerwane, niemniej oświadczenie następcy, że w te same ślady wstępuje. We Włoszech nowi figuranci muszą dać poznać swą wartość w zarządach prowincjonalnych i miejskich, a ludność, mogąca działać swobodnie w obrębie municypiów, nie oczekuje od zmiany ministeryów zadowolenia swych potrzeb najbliższych.

Półwysep włoski, wysunięty z północy na południe od 47° 6' do 35° 30' stopnia szerokości, to jest od Alp śnieżystych w Piemontcie aż do skwarnych wybrzeży Sycylii i Kalabrii, odczuwających już pałący Symum Sachary, zawiera krainy różniące się bardzo między sobą i ludności pochodzenia rozmaitego, złączone tylko wspólną polityczną ideą. Dzieje Włoch przez setki lat okazują tę ziemię deptaną stopą najeźdźców, niszczących bogate miasta i najpiękniejsze krainy. Stały one wszystkim otworem, bo wybujały partykularyzm prowincjonalny przeskadzał zjednoczeniu sił zawsze wielkich i w tym cudownym kraju prędko się odradzających. Obecnie poświęciły prowincye i miasta ochotnie swą udzielną polityczną dla dobra i bezpieczeństwa wspólnego. Przykład Piemontu i jego silnej organizacyi wojskowej, jest przyjęty wraz z waleczną dynastją Sabaudzką za wzór urzędzeń dla całych Włoch. Nie mniej jednak ludność używa samorządu municypalnego, wedle swych potrzeb i usposobień miejscowych.

Długi mój pobyt we Włoszech, powtarzający się od roku 1847 do najnowszej chwili, nastreczył mi sposobność poznania wszechstronnego usposobienia rozmaitych prowincyi i zmian zaszłych w pojęciach. Obrazy najrozmaitsze nasuwają się pamięci. Mniemam, że wniknięcie w sprawy domowe municypiów i ludności włoskich będzie na dobre, dając miarę korzyści, jakie przynosi monarchii Włoskiej szczere poszanowanie praw gminnych i miejskich, następnie rozkwit potężny, jaki wynika z nietamowanej działalności inteligentnych municypiów. Charakterystyka poszczególnych krain jest konieczna do poznania ustroju Włoch całych; zamierzam przeto postępować w téj pracy oddzielnymi obrazami prowincyi i miast znaczniejszych.

Przedstawiając stosunek rządu centralnego królestwa Włoskiego do zarządów prowincjonalnych i miejskich, uznajemy zalety systemu autonomicznego i ten głównie nas zajmować będzie. Nadmieniamy wyraźnie, że pomijamy w téj chwili kwestyą, odnoszącą się do sprawiedliwego ustosunkowania praw Stolicy apostolskiej z prawami narodu włoskiego w państwowéj jego organizacyi, — ponieważ uważamy sprawę téj doniosłości za dzieło historyczne wieków, które prawdopodobnie nie ludzie przez swoje tendencye, ale nieodgadnione wyroki Opatrzności rozstrzygną.

I. Piemont i Lombardia.

Turyń jest miastem mało zwiedzaném, uważaném za nudne, ze sztywną, zimną ludnością, w rodzaju Berlina włoskiego. Artyści pomijają Turyń. Nawet anglicy, zwiedzający sumiennie całe Włochy, zatrzymują się najkrócej w Turynie, gdzie bogata zbrojownia średnio-wieczna ściąga ich tylko obowiązkowo. Dla Piemontczyków jednak Turyń jest najmilszym pobytem, urobiony jest bowiem zupełnie w zgodzie z charakterem i przeznaczeniem tego kraiku.

Jest pewna spokojna wielkość w kręgu Alp śnieżystych, tworzących potężną granicę Włoch. Znaczna rzeka Pad ociera się o miasto, rozłożone na łagodnej pochyłości. Plan Turynu jest nakreślony ręką wojskowych i wyprzedził prostymi liniami ulic wszystkie miasta europejskie. W środku, na rozległym placu stoi zameczek ceglany z dwoma okrągłymi wieżami i resztą foss; to pierwsza siedziba rycerskiego rodu, gdy z Sabaudyi przeniósł się książę na drugą stronę Alp i zatknął tamże sztandar rodu Savoya, krzyż biały równoramienny na czerwonym polu. Oparta o ten zameczek, stoi, patrząc w przeciwną stronę, kamienna z ciosu budowa w stylu czystego renesansu, to pałac Madama stawiony przez Katarzynę, córkę Filipa II hiszpańskiego, żonę Karola Emanuela, zawierający nieliczną galerią obrazów. Pyszna ta budowa o wielkich oknach i o rzędzie pilastrów jest jakby przeniesiona z Madrytu wraz z sztywną etykietą dworską tamtejszą.

Zachowanie tych pamiątek dobrze świadczy o starym rodzie rycerskim. Zameczek ceglany i ten wielki alians monarchiczny z roku 1588, zaznaczony hiszpańską pompacyjną budową, plecami do siebie stojące, malują przejścia mozolne. Mimo natarczywości sąsiadów, książęta Sabaudzko-Piemoncy, mający posiadłości po dwóch stronach Alp i ludność krzepką pod swą wodzą, zdołali oprzeć się naciskowi francuzów, równie jak hiszpanów, posiadających wówczas Lombardię.

Najnowsza rezydencya królów Piemontu, stojąca na tymże wielkim placu co wyżej opisany zameczek, znamionuje jednością swego stylu i obszarem zajmowanym ustaloną już fortunę, użytą z pomiarkowaniem. Duży koszarowy pałac, obecnie królewski, stoi w głębi rozległego placu, oddzielony od niego kratą. Dwie silnie modelowane grupy, wyobrażające Kastora i Poluksa, trzymających rozhukane konie, zdołają bramę dziedzińca pałacowego. Zbrojownia bardzo bogata jest główną ozdobą królewskiego pałacu; — stoi w niej długi szereg konnych postaci książąt Sabaudzkich w pełnej zbroi, którą niegdyś nosili.

Główna ulica Turynu poczyna się na królewskim placu wprost ceglanego zameczku i schodzi ku rzece, mając na długości całej wiorsty galerią sklepioną w rodzaju arkad paryzkiej ulicy Rivoli, ale znacznie szerszą, która jest codzienną przedobiednią promenadą miejską i otwiera wstęp do apartamentów klubów wojskowych i do wielu prywat-

nych pałaców. Fronty pałaców nietynkowane, stawione z dobrej cegły formowej, mało się między sobą różnią.

Nad samą rzeką jest duży, prawie pusty plac, gdzie dochodzą większe linie tramwajów, łączące ze sobą okoliczne wioski, a nawet odległe o dwie mile miasteczko Moncalieri, turyński Wersal. Małe parowozy ciągną po tych zewnętrznych tramwajach kilka wagoników.

Za mostem z drugiej strony rzeki na skalistym wzniesieniu stoją mury klasztoru Kapucynów, z którego tarasów przepyszny jest widok na panoramę Alp majestatycznie rozwiniętych ogromnym półkolem, tém wspanialszém, że góry wznosząc się z rozległej płaszczyny, od samych stóp są widzialne. Dolina piemoncka jest niżej położona od szwajcarskiej. Szczyty śnieżyste lśniącej białości wśród dnia, a rumieniące się o świcie i wieczorem; fioletowe barwy gór stojących na straży Włoch; niebo ślicznego lazuru; chłód krzepiący, który płynie od Alp, — wszystko to daje otoczeniu stolicy piemonckiej wielkość i siłę niezwykłą.

Z placem królewskim stykają się wszystkie inne główne ulice. Miasto tworzy cztery wielkie kwadraty. Tramwaje chodzą co drugą ulicę w koło jednego z tych kwadratów, na złączeniu których są znowu duże zewnętrzne place i na nich spotykają się linie tramwajów, ocierające się jedna o drugą. W ten sposób wagoniki nigdzie się nie mijają i nie potrzebują podwójnych relsów.

Powózów ma teraz Turyn bardzo mało i zapadł w ciszę większą, niż zwykle bywało dawniej.

Szlachty mieszka dużo w Turynie i wysłużonych wojskowych. Rodziny przywiązuje do miasta najczęściej wychowanie synów, z pomiędzy których wielka liczba uczęszcza do akademii del Genio civile e militare, prastarzej instytucji wielce renomowanej. Z niej wychodzą od dawna najlepsi inżynierowie i artylerzyści. Nadmienić trzeba, że wynalazcami tych gałęzi służby byli Włosi i że ksiązę Parmy za czasów Filipa II-go hiszpańskiego przy oblężeniu Antwerpii, t. j. lat temu trzysta, używał świetnie sztuki inżynierskiej. Szkoła zajmuje nad rzeką stary pałac ksiązęcy, zwany Castello del Valentino, budowę w stylu francuzkim o 21 oknach frontu przez dwa piętra i o pawilonach wyższych czteropiętrowych ze śpiczastymi dachami. Wielki ganek ze schodami monumentalnymi prowadzi do rozległego ogrodu, ciągnącego się nad Padem.

Życie w Turynie jest bardzo metodyczne. Panie z najpierwszych rodzin przyjmują kółko znajomych codziennie w poobiednich godzinach już od ósmej. Taki wczesny wieczór, czyli konwersacya, trwa niedaléj jak do jedenastej. Bale tylko trwają dłużej. W ogóle jest nawyknięcie do rodzaju życia, godzącego się z zajęciami wojskowymi i młodzieży, kształcącej się naukowo, zmuszonych do ранnego wstawania.

Klub wojskowy ma piękny i wygodny lokal. Dawny klub szlachecki zajmuje wspaniały apartament i trzyma liczną służbę, nie wpły-

wa jednak rujnująco na uczestników. Daje przeciwnie znakomitą oszczędność; mając bowiem dawny składany kapitał, utrzymuje się pokaznie, nie żądając dużej opłaty od członków obecnych. W klubie dawnym szlacheckim obiad, rzecz można, wytworny z piękną zastawą kosztuje cztery franki. O ile sobie przypominam, członkowie mają swoje partye wina w piwnicach klubu. Byłem w r. 1880-m na takim obiedzie proszony do klubu przez szefa sztabu dywizyi w Turynie konsystującej, któremu byłem rekomendowany z Rzymu dla poznania urzędzeń szkoły del Genio civile e militare. Odplacał mi się za grzeczność z méj stron; — Włosi wykształceni zwykle się zaraz wywzajemniają. Na obiedzie przydywował generał-hrabia la Rocca, były minister wojny z r. 1848-go, jeszcze krzepki i pańsko-militarnych manier. Opowiadał swoje kłopoty, gdy wówczas z 30,000 zwykłego kontyngensu musiał tworzyć 120-tysięczną armię. „Wziąłem dyrekcyą posłuszny rozkazom króla, ale najszcześniejszy byłem, jakem mógł po wojnie złożyć urząd ministra.“ Mówił z sympatyą o ks. Adamie Czar-toryskim i o generale Władysławie Zamoyskim.

Jednocześnie zwiedziłem resursę młodzieży katolickiej, założoną dla szlachty i bogatszego mieszczaństwa. Kardynał Oreilla San Stefano, piemontczyk, jest protektorem wszystkich takich resurs, których już w r. 1880 było przeszło dziewięćdziesiąt we Włoszech. Mają one na celu ochronić młodzież od pokątnych zabaw i nastęrczenie przyjaznej łączności tym, którzy ukończyli studia uniwersyteckie i znajdują się w rozmaitych niezależnych stanowiskach. Kanonik Scioparelli, któremu mnie kardynał polecił, przedstawił mnie w resursie, gdzie dyżurnym tego dnia był wiekowy już hr. Viarigi. Apartament widziałem obszerny, wysoki, prawie pałacowy, ale jeszcze tak dalece w odnawianiu, że liczne szafy świeżo przerobione świeciły niemalowanem drzewem. Młodzieży było sporo, między nimi dwóch synowców kardynała i jakiś młodzieniec świeżo wyszły od Barnabitów, zdrów, ładny i entuzyasta zakonu, który w Piemontcie ma największe uznanie, jako uczona korporacya dobrze młodzież wychowująca. Mówił ten adept, jak tam teatr wybornie grali między sobą z pomocą ojców; oczy mu się ślicznie przytęmiły i entuzyastycznie błyszczały.

Wśród rozmowy szepnięto coś hrabiemu Viarigi i ten pyta mnie się, czy życzę sobie być przedstawionym księdzu Guasco. Oświadczylem wszelką gotowość,—Viarigi poprowadził mnie przez szereg pokoi do dużej sali, przeznaczonej na bibliotekę. Przepierzenie nowe z desek tworzyło rodzaj gabinetu — Viarigi zapukał dyskretnie do drzwi tego sanctuaryum i wprowadził mnie, postępując cichutko. Powitał nas stary ksiądz, szczupły, oliwkowej cery, żywych, bystrych oczu. Wszystkośmy winni księdzu Guasco—mówił Viarigi—pewno nam ojca zabiorą do Rzymu, tak się jakoś składa. Nie radbym was opuszczać odpowiedziały, ale tam wiele do czynienia,—gdy to mówił, oczy rozszerzyły się, jaśniały w tój szczupłej, chorowitej twarzy. Istotnie wielka jest zasługa stowarzyszeń młodzieży katolickiej we Włoszech. Bardzo

wiele one działają na masy ludności, gdyż pomieszczenie i przygotowanie pielgrzymów dążących do Rzymu, szkółki wieczorne dla dzieci, wydawnictwo książek dla ludu i tanie kuchnie są przez nich prowadzone. Młodzież bogata ochroniona jest od złych stosunków i wskazane przystępem drogi wielkiej zasługi w obec Boga i ludzi.

Gdyśmy wrócili od księdza Quasco, interpelował właśnie kanonik Scioporelli młodzież, żeby dopomogła w katechizacji wieczornej dzieci po kościołach. „Wiecie że magistrat usunął naukę religii ze szkółek. Księża nie mogą tyle dzieci na raz dobrze przygotować, potworzymy grupy w kościele i każdy swoją garstkę wyuczy katechizmu.”— Najchętniej! zawołał uczeń barnabitów.— Trzeba tylko godziny dogodnie oznaczyć, zauważył któryś poważniej.

Z powrotem do Rzymu chwaliłem to usposobienie ohotne kardynałowi. Rzekł na to: „Ciesz się, ale znajduję, że Turyn nazbyt po swojemu resursę (circolo) prowadzi, tam powinno być weselej; wzięli sobie za obowiązek urządzać dyżur ze starszych takich jak Viarigi, ich obecność przeszkadza rozmowie otwartej, wesołej. Młodzież po dziennym zajęciu potrzebuje wieczorem swobody—obecność starszych zmusza do sztucznej powagi.”

W Rzymie taka resursa w atynencyi pałacu Gidży ma asystenta co wieczór obecnego, ale jest to młody ksiądz ze sposobiących się do nuncyatur. W wielkich zebraniach circola, mających zadanie ważne, pojawia się dopiero poważny prałat, właściwy kierownik. To też muzykują, śpiewają, gwarzą wesoło w zebraniu u Gidżych. Raz byłem świadkiem jak wnosili w tryumfie dawno nie widzianego towarzysza. Wyprawy na wozach kwiatowych w czasie karnawału rzymskiego tam się też układają. Pomimo tej młodzieńczej wesołości staranie o zakłady prowadzone przez Gioventa Catolica nie mniej jest żywe w Rzymie jak w Turynie. Ksiądz Tarnassy, audytor teraz nuncyatury w Wiedniu, był w r. 1881/2 assistente ecclesiastico circola rzymskiego a prałat Jacobini kierownikiem. Zdarzyło się że miałem polecenie do głównego szpitala w Turynie. Oficer z r. 1864, pracujący na wyżywienie swe w Szwajcaryi, rozchorował się tam i został wysłany do Włoch. Wśród zimy podróż ta więcéj jeszcze zaszkoziła. Przyjęty do szpitala w Turynie, odezwał się w obszernym, bardzo prosto pisanym liście do kardynała Ledóchowskiego. Kardynał zainteresował się choć nieznanym, a mnie zlecił, żebym zobaczył, co to za iudywiduum. W szpitalu przyjął mnie kapelan słowy, że właśnie trafiłem w dzień, kiedy chory połączy się z naszym kościołem, do którego nie należał. Zastaliśmy go już ubranego. Był to człowiek trzydziestokilko-letni, smukły, łagodny, zrezygnowanej twarzy. Cieszył się, że dopełni dziś przystąpienia do kościoła katolickiego, czego dawno pragnął i że poczciwi opiekunowie, których tu znalazł wyszukali mu też zajęcie w fabryce turyńskiej, dającej mu pracę, jaką umie. Będąc w Szwajcaryi nauczył się budowy kufrów wielkich podróżnych teraz tak ogólnie używanych. Kardynał już mnie uprzedził, posyłając zasiłek pieniężny na

zapłacenie mieszkania i początkowego wikt. Instalacją w pobliżu fabryki zajmował się po ojcowsku stary cavaliere piemioncki, który miał też asystować przy obrzędzie religijnym.

Sala szpitalna, w której rozmawialiśmy, była wysoka z łózkami żelaznymi, mającemi pręty także i wysoki baldachim, opięty zewsząd białemi firankami. Duży parawan izolował stoliczek do pisania i robotek przydatny. Szarytki obsługują szpital przestronny i dobrze utrzymany. Kapelan był typem czynnego księdza, ufnego w powodzenie i dodającego odwagi. Chory bardzo chwalił swój pobyt w szpitalu.

Wieczorem w kaplicy widziałem radosne skupienie myśli, z jakim przyjmował były oficer przemowę doń księdza i wyrażał swe przystąpienie do jedności z kościołem, który go uratował i przyjmuje za syna. Poczciwy cavaliere, jakiś szlachcic piemioncki, oddany dobrym uczynkom, ścisnął go za rękę i dodał, „bądź spokojny, już ci nie damy dalej wędrować, będziesz tu między swymi, o wszystkim pamiętałem.”

Nastrój dawny piemioncki był militarно-kościelny. Cały modny świat uczęszczał na mszę wojskową w kościele, gdzie dwór królewski zwykł bywać. Jeszcze w r. 1854 byłem na takiej mszy. W około presbiterium było wielkie obejście, oddzielone kratą i zajęte przez same eleganckie damy pierwszego tonu. Nawę główną zajmowało wojsko z bronią i w paradnych mundurach, oficerowie stali na swych miejscach z dobytą szablą. Muzyka wojskowa grała krótkie fanfary. Wojsko na komendę prezentowało broń i przyklękało przy podniesieniu. Wejście, wyjście wszystko szykownie. Szczęk broni o posadzkę w czasie przyklęknięcia, rażne podniesienie się tyłu marsowych postaci dzielne czyniły wrażenie. Po mszy, rój elegantek wysokich i postawnych, jak są zwykle damy piemionckie, wychodził bocznemi drzwiami z śmiałym wejrzeniem, jakby rycerski animusz wojska im też się udzielił. Piękne ekwipaże zabierały ten kwiat society Turynu.

Później nie miałem czasu sprawdzić, czy te zwyczaje się utrzymują. Stary książę Carignano, który jedyny w Turynie przebywa z rodziny królewskiej, ma opinią wielce rozumnego, ale dla kościoła mało przyjaznego księcia.

Ród Sabaudzkich książąt był zwykle kochliwy, jak to u rycerzy nie dziwno. Wielka liczba osób tej rodziny, jeśli nie zmuszały obowiązki tronu, lub śmierć zabrała osobę, z którą złączyły tylko konsyderacye polityczne, zawierała śluby wedle wyboru serca. Tak w ostatnich czasach Wiktor Emanuel ożenił się z piękną Miraflores i dzieci śliczne zostawił. Księżna Genui weszła w powtórne związki małżeńskie. Książę Amadeusz miał za żonę księżniczkę Cisterna z prywatnego domu. Dzieci morganatyczne nie są odtrącane. Król Humbert przyprowadził za rękę sam do łoża umierającego ojca młodego Miraflores, gdy ten nie śmiało się trzymał u wejścia komnaty. Dwór cały wziął to bardzo dobrze młodemu następcy, choć matka Miraflores była córką tamburmajora.

W sociecie turyńskiej są więc kuzynowie i kuzynki królewskie

chętniej jeszcze przyznawane, ale zawsze z respektem się zachowujące względem tego, kto jako król dzierży sztandar Casa Savoya.

O kilka wiorst od Turynu, po drugiej stronie Padu, jest miejscowość dziko zupełnie wyglądająca. Wśród jałowych wzgórz, pokrytych niską krzewiną, wznosi się szczyt wyższy, odosobniony, sięgający tysiąc stóp nad inne. Na tym naturalnym olbrzymim kopcu stoi kopulasty kościół, objęty z boków i z tyłu klasztorem w stylu sztywnego klasyku. Front kościoła znacznie wyżej wzniesiony, widnieje zdala na bezdrzewnym wzniesieniu. Jest to słynna Superga, miejsce grobów królów Piemontu. Klasztor przyległy miał nazwę Casa di perfezionamento i przeznaczony był jako zacisze dla młodych księży, sposobiących się wyżej teologicznie.

Szereg pomników marmurowych sławi w kościele pamięć spoczywających monarchów, których życie, trosk pełne, ubiegło na walkach to z Francją, to z Hiszpanią i Austryą równie chciwych na mały, dzielący ich kraik. W obszernej zakrystyi interesujące są liczne portrety w całej postawie arcybiskupów Turynu. Malarze płaceni byli przez królów Piemontu, aby przechowali rysy najlepszych przyjaciół tronu. Od czasu Karola Alberta ustał ten zwyczaj, a rozbrat z kościołem jeszcze widoczniejszy przez opustoszenie klasztoru, dziś próżnego, a w którym dokończali swego wykształcenia najinteligentniejsi księża archidyecezyi piemionckiej. Zrastali się oni tam w pojęciach z dynastją i wzmagali wielce jej siły.

Zbyt gwałtowne postąpienia Cavoura i Sikardego z duchowieństwem, wywołały opozycją a następnie uwięzienie ówczesnego arcybiskupa Turynu Franzoniego. Odstrychnięcie się duchowieństwa w Piemencie nie długo jednak trwało i arcybiskup terażniejszy Turynu, uniesiony patriotyzmem piemionckim, ogłosił tak pochwalny list pasterski po śmierci Wiktora Emanuela, że aż powołany był do Rzymu dla usprawiedliwienia się w Watykanie.

Z tarasu przed kościołem Supergi jest ten sam widok na Alpy, co od kapucynów w Turynie, tylko rozleglejszy, gdyż obejmuje przy tém szeroką płaszczyznę wzdłuż rzeki Padu, rozpościerającą się coraz to większym obszarem ku Medyolanowi, którego katedra, Domo di Milano, widnieje jak biały punkcik na dalekim horyzoncie. Wybór wzgórza Supergi na miejsce grobów królewskich jest rysem charakterystycznym rodziny Savoya, która przeszedłszy Alpy i włączywszy margrabstwo Saluzo i Monferat do swych posiadłości, umieściła swe groby jakby na straży. Dalsze zamiary na Lombardją tu się też przebijają. Każdy z królów, odprowadzający zwłoki poprzednika do grobów familijnych, nie mógł nie spojrzeć na żyzną, rozległą krainę lombardzką, trzymaną pod jarzmem obcym a wyciągającą jakby dłonie do rycerskiego rodu, który z Alp śnieżystych zstąpił dla wyzwolenia półwyspu od obcej niewoli.

Złośliwi historycy francuzcy opowiadają, że jeden z królów piemontckich już chory, powtarzał codzień swemu następcy: „mój synu, Medyolańskie jest jak karczoż, trzeba go jeść listek po listku.” Ostrożności zaiste nie małej potrzeba było, żeby nie zginąć wśród antagonizmu dwóch zawistnych rodów Habsburgów i francuzkiego. Decyzji też trzeba było nagłej i gotowości ciągle zbrojnej, żeby wyjść z korzyścią a przynajmniej bez straty z wojen ciągle wznawianych, wśród których neutralność była niemożliwą.

Przykre alianse małżeńskie trzeba było znosić, gdyż zwykle król francuzki lub hiszpański dla umocnienia wpływu swego, narzucał starą lub nieładną swą córę za małżonkę młodemu księciu piemontckiemu. Tak naprzykład Emanuel Filibert traktatem z Castel Cambresis zobowiązany został do pojęcia za żonę Margaretę francuzką, siostrę Henryka II-go, zaszłą w lata, „attempata” jak się wyraża historyk włoski Donini. Henryk i Filip hiszpański zgodzili się na ten mariaż w myśli, że nie będzie miała dzieci i że otwarty będzie dla nich Piemont. Zawiedli się, bo wydała na świat syna, późniejszego Karola Emanuela.

Wyobrazić sobie można ciężar jaki spadał na finause sabaudzko-piemontckie w następstwie mariażu z infantką hiszpańską lub księżniczką domu francuzkiego, przywykłemi do przepychów Madrytu i Wersalu. Szczęściem, że życie księcia upływało więcej na koniu jak w komnatach pałacu Madama, a troska o broń i o utrzymanie dla licznych nad miarę wojsk piemontckich, nie pozwalały na poddanie się niewieściom wymaganiom.

Nie brakło też upokorzeń, które burzyły krew w księciu i przywodziły do tego, że stawał przeciw nieznośnym krewniakom. Pierluigi Donini, autor historyi włoskiej dla szkół technicznych, przywodzi, że w XVIII jeszcze stóleciu Filip V hiszpański, ożeniony z Maryą Luizą, córką dzielnego Wiktora Amadeusza II-go, przy bytności swój w Lombardyi r. 1702 wymagał, żeby przy uroczystościach w Alesandryi teść siedział na niższym składanym taburecie (Scrana), gdy zięć jako król hiszpański zasiadał na wspaniałym fotelu. Rozgniewany Amadeusz przeszedł na stronę Habsburgów i współ z księciem Eugeniuszem sabaudzkim, dał się we znaki francuzom i hiszpanom, rządzonym w ówczas przez Burbonów. Najświetniejszém było zwycięstwo pod Turynem 7 września 1706 i oswobodzenie tego miasta od oblegających francuzów. Transze tych ostatnich zostały szturmem zdobyte przez odsiecz włosko-austryacką. Księżę Orleański, la Fenillade i marszałek Marsin, dowodzący francuzami, stracili 200 armat, 150 moździerzy, ogromne zapasy amunicyi i sześć tysięcy niewolnika.—Superga z otaczającą jąłową pustynią jest jakoby wysunięta placówka. Wspaniałe półkole Alp jako naturalna obrona. Widok na daleko sięgające ku wschodowi i południu najżyźniejsze Włoch płaszczyny z majaczącymi w oddali łagodnej barwy Apeninami; krajobraz tak rozmaity, stanowi całość wskazującą dzieje przeznaczeń rodzinie książąt Sabaudyi i królów Piemontu, którzy jedni tylko we Włoszech od wieków za-

chowali niezależność. W ciągłych walkach temperament rodu przewodniczącego udzielił się ludności całej Piemontu. Przeworność i wytrwałość, a w razie potrzeby ryzykowność śmiała, stały się przymiotami dziedzicznymi. Słuchliwość ludności całej a w szlachcie nawyknięcie do twardego żołnierskiego życia, wyrobiły z Piemontczyków naród, mający wiele zalet dawnych Rzymian. Skromne nawyknięcia w życiu codziennem, hart duszy wśród niebezpieczeństw i tę nieugiętość konieczną, która oddała kierownictwo losami półwyspu włoskiego w ręce pierwiastkowi piemionckiemu.

Już w r. 1612 Karol Emanuel ogłosił niepodległość Włoch w odezwie do książąt i szlachty włoskiej, powołując ich do walki przeciw Hiszpanom. Było to jeszcze przedczesne, nie został zrozumiany ani poparty. Walka była nad siły Piemontu, który uratowany został jedyne wdaniem się zbrojnym Francji i pomocą pieniężną senatu weneckiego. Mimo obojętności ogółu Włoch, porwanie się Karola Emanuela uderzyło umysły poetów i pisarzy ówczesnych, których wielu sympatye swe dla niego wyrazili.

Najsilniej jednak przywiązywała włosków do domu Sabaudzkiego prawność charakteru ostatnich panujących, którzy nie cofnęli konstytucji raz nadanej ani uszczuplili jej znaczenia sztuczkami w Austrii i indziej praktykowanymi.

Najbliższe podobieństwo z Piemontem ma Lomardya. Obie te prowincye, znadujące się w jednej strefie klimatycznej, tworzą krainę najżyźniejszą w całej Europie, najlepiej uprawną i najludniejszą. Podczas gdy Belgia ma 5,000 mieszkańców na milę kwadratową, północne Włochy liczą po siedem tysięcy w stanie ogólnie dostatniejszym aniżeli ludność belgijska. Jednostajna, rozległa płaszczyna lombardzka, rozpoczynająca się w Piemencie, pokryta jest namulę, powstałym z rozkładu alkalicznych granitów Alp, które stromym półkołem osłaniają od północy. Łożyska wapna i marmuru ciągną się u podnoży tych gór i są od wieków używane w celach rolnych i budownictwa. Potężna rzeka Pad, podobna do naszej Wisły, o spokojnym biegu, spełnia majestatycznie zadanie żeglugi wewnętrznej. Wielkie kanały biorą z niej wodę i prowadzą w sieć mniejszych drugo- i trzecio-rzędnych, łączących odległe miasteczka i wioski. Na tych kanałach snują się kropy, nawiązane zwykle dziesięć, jedna za drugą i ciągnięte jednym koniem, postępującym po brukowanej ścieżce. Trzech ludzi, z których dwóch siedzi na pierwszej i ostatniej kropicie, prowadzą bez umęczenia jedynego konia, transport wagi dwustu do trzystu korcy zboża. Woda kanałów po spełnieniu usługi w niezliczonych transportach, użyta jest do nawodnienia pól i łąk w sposób tak dokładny i umiętny, że wszędzie wzorem być może. System cały kanałów lombardzkich i szluz podwójnych dla żeglugi przedtęm nieznanym przeprowadził sławny Leonardo da Vinci za rządu Ludowika Sforey, księcia medyolańskiego, lat temu czterysta, odkąd funkcjonują nieprzerwanie. Nadmieniam, że pierwsze roboty kanałowe we Francji tenże Leonardo da Vinci nakre-

śliż, na żądanie króla Franciszka I-go. Vinci był właściwie malarzem; ale wyprzedził genialnymi pomysłami inżynierów ówczesnych.

W Lombardyi szlachta posiada rozległe dobra, podzielone na małe folwarki, pokaźnie wyglądające, gdyż zwyczaj ogólny nadaje domowi mieszkalnemu wysokość dwupiętrową z perystylem jakby pałacyku, który maskuje inne budynki. Zwykle ten front okazały ma tylko jeden rząd pokoi, z których część jest rezerwowana dla właściciela. Od tyłu tenże pałacowy dom ma kilka pięter arkad i spichrzów przewiewnych, gdzie suszy się kukurydza w rozwieszonych kiściach i składa się pasza zimowa dla silnego i starannie utrzymywanego inwentarza. Przejrzysty dziedziniec otaczają obory i stajnie.

Właściciele dóbr w Lombardyi, usunięci przez władze hiszpańskie a następnie austriackie od udziału w zarządzie ogólnym kraju i w dziedzinie wielkiej polityki, nie mając dworu monarszego, któryby ich psuł i zbyt kownego życia uczył, przywykli stopniowo do zajmowania się urzędzeniem najinratniejszém swych dóbr, w których zwykle lato przebywają. System podziału płodów między dzierżawcę i właściciela przeważa w Lombardyi, gdzie mało jest dzierżaw za opłatą stałą. Spólność interesu utrzymuje dobry stosunek, któremu dopomaga stan kasy właściciela zwykle rachunkowego, nie wydającego zbyt wiele na własne potrzeby, chętnie więc łożącego na udoskonalenie gospodarstwa w swych folwarkach.

Pałace miejskie panów lombardzkich mianowicie w Medyolanie wyglądają zgodnie z ich sytuacją majątkową. Są to duże czworoboki z dziedzińcem wewnętrznym, architektury nie pretensjonalnej a jednak linii harmonijnych bez wystąpień na ulicę. Krużganki wsparte na kolumnach, okalają zwykle dziedziniec. Od pewnego czasu wyrzucono bruki z tych dziedzińców i napełniono przestrzeń kłębami z wieczniezielonych drzew i krzewów. Praktyczność i w tym wyborze roślin się maluje, bo ich utrzymanie mało kosztuje a efekt jest miły dla oka równie zimą jak latem.

Wiadomo, że największy w świecie teatr, la Scala, jest własnością licznej spółki szlachty medyolańskiej, mającej dziedziczne łoże. Jest to główna tameczna rozrywka, której szlachta medyolańska wyrzekła się od klęski pod Custozzą w r. 1848 i nie bywała w swym teatrze do roku 1859 t. j. aż Medyolan uwolniony nie został od jarzma austriackiego. Rząd austriacki zmuszał do dalszego prowadzenia teatru. Akcyonaryusze płacili koszta i nie zajmowali swych łoży. Widziałem w r. 1852 cały krąg łóż pusty i na parterze trochę oficerów ustryackich, a że zima była ostra, wrazenie tej wielkiej pustej sali i zziębniętych śpiewaków było nauczające.

Miasta lombardzkie, dzięki utrzymanemu samorządowi, stały finansowo dobrze nawet za okupacji austriackiej i zapisały się najsilniej na przekop Suezki w czasie, kiedy Lesseps miał największe trudności do zwalczania. Szlachta w zarządzie miejskim ma odwieczny udział i gorliwie się sprawami municypalnemi zajmuje. Przyznać należy

szlachcie i mieszczanom lombardzkim rozsądną rachunkowość i śmiały udział w przedsięwzięciach wspólnych największego znaczenia.

Tą łącznością uczuć i pracy z krajem całym trzyma się szlachta lombardzka na sympatycznym dla ogółu stanowisku. Pamiętam w podróży przez Lombardię jak w wagonie, napełnionym mieszczanami, była mowa o rodzinach, których potężne pałace widniały w mniejszych miastach, gdzie te pałace wybitniej się odznaczają. Gdym dopytywał się do kogo należą, poczciwy nie zazdrosny tiers état lombardzki rozpowiadał mi z chlubą o wielkości i znaczeniu tych rodzin. Rozmowa stawała się ogólną a cechą jej było uznanie zasług starych imion, uważanych za chlubę okręgu.

Piemoncka szlachta ma mniejsze posiadłości aniżeli lombardzka. Wiele z pomiędzy nich trzystu morgów nie przechodzi. Że jednak ziemia jest w wysokości kulturze, a winnice fachowo są prowadzone i produkują wino wyższej ceny aniżeli lombardzkie, małe te własności dają dostatnie utrzymanie szlachcie piemionckiej, zajętej przeważnie służbą wojskową. Są rodziny, gdzie pięciu, sześciu braci jest jednocześnie oficerami. Ta służba dziedziczna łączy ich z dziejami rodziny królewskiej Casa Savoya, która stopniowo i mozolnie wywalczyła sobie znaczenie europejskie. Typ szlachty piemionckiej jest wybitnie militarny, rysy duże, wyraziste, wzrok spokojny i pewny, wzrost zwykle dobry i proporcjonalny. Kobiety wyjątkowo są piękne, raczej zbyt męzkich są rysów. Rzymianki stanowczo ich nie lubią i mszczą się za najazd piemionki w najdotkliwszy sposób, zaprzeczając im urody. Nie ochotnie też jadą damy piemionkie do Rzymu i wołają swój posępny Turyn aniżeli świątyną nową stolicę Włoch. Królowa Małgorzata, uznawana za piękną nawet w Rzymie, należy do szczęśliwych wyjątków, którym się życie zewsząd uśmiecha. Dana ona opatrnościowo rodzinie Casa Savoya, jakby dla złagodzenia ostrych warunków dzisiejszego królowania.

Damy wyższego tonu w Medyolanie i Turynie mają odrębne koła, jakby koterye, którym przewodzą. Osoby należące do takich koteryi nie liczą się na wizyty z rodziną przewodniczącą, bywają u niej prawie co wieczór, uważając ten pierwszorzędnny salon za miejsce zborne. Ugrupowują się w ten sposób fortuny, nie wyciągając na wydatki mniej zamożne osoby, używające jednak w pełni towarzyskiego przyjemnego stosunku. Damy przewodniczące, uważane jakby za potencye, są tak grzeczne między sobą i względem dam bywających u nich, że jeżeli która z nich wróci po dłuższej niebytności ze wsi lub wojażu, uprzedzają z wizytą jako zdrożoną, rade ją widzieć co prędzej, okazując w ten sposób pragnienie wznowienia stosunków. Uchybienie w tej mierze bardzo jest boleśnie odczute, gdy zaś damy pozostałe w mieście złożą tę witającą wizytę znajomój, otrzepującej się dopiero z kurzu podróжного, cara contessa lub marchesa droga, ukochana, widzi, że jej powrót jest wszystkim miły i wstępuje znów w świat elegancki z całą pewnością i przekonaniem, że nie jest mu obcą, lecz również jak

dawniej kochaną. Wizyty uprzedzające powiadomią ją też poufnie o wszystkim, tak że nie okaże się *dépaysée*, po naszymu—parafianką.

Roku 1847 zmanifestowanie się arystokracji w Medyolanie przeciw Austryakom, zaczęło się od historii wizyt. Societa zaniedbywała od jakiegoś czasu zamek królewski, gdzie przebywał arcyksiążę Rainer, który też to zauważył. Książę Fikelmont, gubernator Medyolanu, zapewnił wtenczas arcyksięcia, że cała ta dezercya wynikła z tego, że salony zamkowe nie mają damy, czyniącej przyjemnie honory i jeśli arcyksiążę pozwoli, to księżna Klary, siostrzenica Fikelmonta, przybędzie i obejmie kierunek zamkowych salonów, a że jest bardzo piękna i z damami medyolańskimi w przyjaźni, więc powodzenie jest pewne. Stary arcyksiążę chętnie zezwolił na przyjazd księżnej Klary. Była ona znana z innych chwil damom medyolańskim, kiedy najpoddłużniej względem Austryaków się zachowywano. Najpewniejsza więc była, że wedle zwyczaju damy miejscowe pierwsze ją odwiedzą. Upłynął jednak tydzień bez żadnej ze strony dam włoskich grzeczności. Księżna Klary zmiarkowała, że to zapomnienie jest umyślne i składając pychę z serca, wybrała się pierwsza z wizytami w towarzystwie hrabiny Szpaury, stale mieszkającej w Medyolanie, pewna, że zmusi damy włoskie do rewizyty i przełamie lody.

Ale towarzystwo arystokratyczne już się umówiło i gdziekolwiek księżna Klary się anonsowała, nie przyjęto. U księżnej Pio-Falko, siostry hrabiny Borromeo, było liczne w tym dniu koło wizytujących, a że rozmawiano żywo i głośno, księżna nie dosłyszała nazwiska, które jęj anonsowano i służba oświadczyła, że przyjmuje. Weszła więc strojna i piękna księżna Klary, przedtém adorowana a z nią hrabina Szpaury, zawsze nieźle widziana w stosunku nie oficjalnym. Zdziwienie i usunięcie się całego zebrania do pobocznych salonów. Księżna Pio okazała postawy dama i piękna też jeszcze, przywitała damy austriackie z hiszpańską chłodną etykietą, co jęj jako żonie granda hiszpańskiego było dozwolone. Po krótkiej wizycie odjechały. Natenczas zrobił się u księżny Pio jakby sejmik. Wszystkie damy medyolańskie, odwiedzone przez księżną Klary, zebrały swe bilety wizytowe w jedną kopertę, którą zapieczętowaną wielkim herbem Pio-Falków odesłano do zamku księżnie Klary. Taka wyrafinowana obelga ukarana została przez arcyksięcia jako wielkorządzą Lombardyi, rozkazem dla księżny Pio-Falko natychmiastowego wyjazdu za granicę. Był to początek emigracyi, która, zwiększona burzą wojenną, doszła do niesłychanej liczby 40,000 osób majątniejszych, które przez kilka lat przeżywały swe dochody po za obrębem władz austriackich.

Rząd wreszcie zaczął zmuszać do powrotu, kładąc sekwestra na dochody niewracających. Spotkał jednak dziwnie wytrwałych przeciwników. Tak margrabia Giorgio Pallavicino-Trivulzio wyrzekł się przez dziesięć lat swych dochodów i nie wracał z żoną i córką, terażniejszą Margrabiną d'Angrogną. Wrócił dopiero, gdy Napoleon III z Wikto-rem Emanuelem wkroczyli zwycięzko w medyolańskie. Hr. Kazaty

i wielu innych również nie chcieli wrócić pod rządy Austryackie z powodu poniżającej deklaracji, którą trzeba było przytém podpisywać. W następującej mojej pracy przywidzę wiele przykładów wielkiej wytrwałości Włochów w pojęciach wyższej sfery uczuć, równie jak w nawyknieniach i gustach nawet, co jest rysem charakterystycznym tego narodu.

Wążąc się na walkę z Austryą r. 1848, Karol Albert ogłosił nagle statut organiczny i nadał konstytucyą dobrowolnie. Manifest królewski brzmiał następujących słowach:

4 marca 1848 r. Karol Albert z łaski Boskiej król Sardynii, Cypru i Jeruzalem ect. ect.

Con lealta di Re e con affetto d'un padre, spełniamy dziś to, co zapowiedzieliśmy naszym ukochanym poddanym proklamacyą z 8 lutego. Chcemy okazać, że w pośród zdarzeń nadzwyczajnych, zaszyłych w sąsiedzkich krajach, nasza ufność wzrasta na równi z ważnością chwili. Radząc się tylko serca naszego, umocniliśmy się w postanowieniu, aby losy naszych poddanych urządzić zgodnie z wymaganiami epoki, godnością i dobrem narodu.

Rozległe i silne instytucje reprezentacyjne, zawarte w niniejszym statucie „fundamentale“ organicznym, uważamy jako najpewniejszy sposób wzmocnienia węzłów nierozzerwalnego uczucia, łączącego z naszą włoską koroną lud, który dał tyle dowodów wierności, posłuszeństwa i miłości. Postanowiliśmy zatwierdzić i ogłosić z wiarą, że Bóg pobłogosławi naszym czystym zamiarom, i że naród wolny, silny i szczęśliwy, okaże się coraz to godniejszy dawnej sławy i zasłuży sobie na sławną, chwały pełną przyszłość.

Następują zwykle postanowienia monarchiczno-konstytucyjne, z współudziałem prawodawczym izby poselskiej i senatu, z zachowaniem całej władzy wykonawczej w rękach króla, stanowiącego o wojnie i pokoju, nominującego na wszystkie urzędy i dowodzącego siłami morskimi i lądowymi.

Wyborcami wszyscy płacący podatki stałe 40 franków rocznie, mający lat 25 skończonych i umiejący czytać i pisać. Mmóstwo stopni uczonych, równie jak urzędnicy i oficerowie wysłużeni, wotują bez względu na podatek opłacany, stan kupiecki i rzemieślniczy w miastach dopuszczeni do wotowania, jeżeli opłacają najmniej 200 franków za mieszkanie wraz ze sklepem lub pomieszczeniem warsztatu.

Od r. 1848 nastąpiło zniżenie census, w ostatnich szczególnie latach, ale obowiązek czytania i pisania utrzymany został.

Ustawy gminne i prowincjonalne ogłoszone 20 marca 1865 roku zawierają zasady następujące:

Królestwo podzielone jest na prowincye, okręgi, sekoje, podokręgi, mandamenti i gminy; — w każdej prowincyi jest prefekt, przedstawiający władzę wykonawczą, dodana mu jest rada prefekturalna — w okręgu podprefekt ma podobne atrybucye.

Dołączam ustawy gminne i prowincjonalne ogłoszone w r. 1865. Nadają one bardzo rozległe prawo samorządu, zgodne z nawyknięciami odwiecznymi Włoch całych. Opatrzone są te prawa gwarancjami rozumnymi, zabezpieczającymi się i jedność państwa, to jest rządu centralnego; pozostawiają jednak wszystkim miastom, a nawet stolicy państwa wszystkie przywileje korporacyi, potrzebne do rozwoju samodzielnego, równie jak do używania spokojnego swobody i dostatków, co największą staje się dźwignią i podniętą działalności, bogacącej społeczeństwa umysłowo i materyalnie.

Ponieważ egzystuje u nas rozległy samorząd gminny, nadany ukazem z roku 1864, w Cesarstwie zaś miasta mają zarząd z wyboru, na podstawach bardzo szerokich, mniemam, że korzystną będzie znajomość urzędów i praw, władających we Włoszech, w tój ojczyźnie, rzecz można, właściwego municypalizmu.

Tytuł I.

Każda gmina ma radę gminną i juntę municypalną—obowiązana jest mieć stałego sekretarza i bióro zarządu.

Rada gminna składa się:		Junta municypalna oprócz syndyka	
mających więcej niżeli			
z 80 członków w gminach	250,000 mieszk.	asesorów 10	zastępców 4
z 60 „ „	60,000 „	„ 8	„ 4
z 40 „ „	30,000 „	„ 6	„ 2
z 30 „ „	10,000 „	„ 4	„ 2
z 20 „ „	3,000 „	„ 2	„ 2
z 15 „	z wszelkich innych		

wreszcie ze wszystkich wybieralnych, jeżeli ich liczba nie dochodzi wyżej oznaczonej, to jest liczby piętnastu.

Od stolicy więc Królestwa, aż do malutkiej osady góralskiej, wszystkie mają jednaką nazwę komun i posiadają zupełne prawo samorządu.

Junta municypalna składa się oprócz syndyka z 10 asesorów i z 4 zastępców.

Rząd królewski może złączyć większą liczbę komun w jedną, bez względu na liczbę ludności, jeżeli rady podadzą żądanie i ułożą zgodnie warunki.

Uchwały rad ogłaszają się publicznie. Wyborcy i właściciele mają prawo zakładać protesty, które będą doręczone prefektowi, tenże przedstawi rządowi królewskiemu żądanie wraz z należnymi dokumentami i opinią swoją.

Łączące się gminy mogą zachować oddzielnie swe mienie i oddzielić długi.

Art. 15. (borgi) miasteczka i części gmin, mogą żądać przez większość swych wyborców oddzielenia i ustanowić niejako osobną komunę, jeżeli ludność przewyższa 4,000 mieszkańców. Jeżeli opinia rady prowincjonalnej jest przychylna, środki administracyjno dostateczne, a właściwości lokal-

ne rozdzielają już same przez się od komuny, mogą otrzymać dekret królewski, odłączający od komuny, do której należą, po wysłuchaniu wszakże jej życzeń.

Art. 16. Pozostawiając całość komuny, oddzielenie patrymoniów i wydatków może nastąpić dla frakcyi, mającej więcej niż 500 mieszkańców, jeżeli ona ma środki zaspokojenia swych potrzeb miejscowych, a właściwości miejscowe przemawiają za oddziałaniem. (Postępowanie jest jak wyżej).

Art. 48. Prawo wyborcze jest osobiste, nie może być zastępstwa, ani wysyłania wotów przez pismo.

Art. 49. Wyborcy zbierają się w jednym lokalu. Jeżeli liczba przewyższa 400, dzieli się na sekcye, najmniej po 200, którzy bezpośrednio wotują na radców.

Art. 50. Otwiera posiedzenie syndyk z swymi asesorami i przyduje tymczasowo, skrutynium pełnią dwaj najstarsi wiekiem i dwaj najmłodszy z wyborców.

Prezydum wyznacza sekretarza z głosem doradczym.

Art. 52. Zebranie wybiera prezesa wyborów, 4 skrutatorów stanowych. Prezydum, tak zwane konstytuowane, wyznacza sekretarza z głosem doradczym.

Art. 55. Zebrania wyborcze nie mogą się zajmować żadnym innym przedmiotem, tylko wyborem radców; wzbroniona jest im wszelka dyskusya i narada.

Art. 57. Kto pod przybranóm nazwiskiem dałby wotum lub użył fałszywych dokumentów dla pomieszczenia się na liście wyborców, traci na lat dziesięć wszelkie prawa polityczne, oprócz kar właściwych, które za ten czyn w imię kodeksu karnego będą naznaczone.

Art. 58. Ktokolwiek w czasie wyborów spowoduje zamieszanie, lub wywoła zbiegowisko hałaśliwe, przyjmując, nosząc, zatykając lub zawieszając znaki zbiorowe lub cokolwiek w tym sposobie, ulegnie karze od 10 do 50 franków, oprócz aresztu a nawet więzienia od sześciu do trzydziestu dni. Tymże karom ulegną osoby, które, nie będąc wyborcami, woiskać się będą do lokalu zebrania, równie jak ci, którzy, nie szanując rozkazu prezesa, rozniecaliby dyskusye, dawali oznaki aprobaty lub dezaprobaty, lub sprawiali w jakikolwiek sposób zamieszanie.

Atr. 70. Wota, na których elektor dawałby się poznać będą nie ważnione.

Tytuł III.

Art. 77. Rady komunalne będą się zbierać na zwykło sesyc dwa razy w rok:—pierwsze zebranie w marcu, kwietniu lub maju, — drugie w październiku lub listopadzie.

Te zebrania zamknięto zostaną w maju i listopadzie.

Sesyc nie mogą trwać dłużej nad 30 dni, chyba za pozwoleniem rady prowincjonalnej.

Art. 78. Prefekt na żądanie junty municypalnej, lub też jednéj trzoćiej radców, lub też z urzędu swego może zarządzić zebranie nadzwyczajne ra-

dy kumunalnej dla rozbioru kwestyi szczególnych, które muszą być oznaczone.

Art. 81. Prefekt i podprefekt mają prawo osobiście lub przez innych urzędników uczestniczyć w zebraniach rady, ale nie mają głosu w naradach (voce deliberativa).

Art. 82. Wszelkie instytucje, założone dla ogółu mieszkańców, są poddane radzie municypalnej, o ile nie stosują się do nich ustawy o instytucjach dobroczynnych, równie jak interesa parafian, gdy ponoszą jakie koszta wedle prawa.

Równie zakłady dobroczynne (di carita e beneficenza) są poddane nadzorowi Rady kumunalnej, który może zawsze rozpatrywać ich prowadzenie i przeglądać rachunki.

Art. 83. Poddane są przeglądowi przez radę kumunalną bilanse i rachunki zarządu kościołów parafialnych i innych zarządów, jeżeli one otrzymują zasiłki od komuny.

Art. 84. Rada kumunalna w sesji jesienniej wybierze członków do junty municypalnej. Rozbiera i układa delibera na rok następny, bilans, aktywa i passywa komuny, tudzież instytucji, które do niego należą. Wyznacza rewizorów na rok bieżący, wybierając ich z pomiędzy radców nie będących w juncie municypalnej.

Art. 85. W sesji wiosennej: przegląda i ustanawia listę wyborców, rozpatruje rachunki zarządu z roku poprzedniego w następstwie sprawozdań rewizorów i naradza się o ich zatwierdzenie (delibera).

Art. 86. Syndyk równie jak członkowie junty, której rachunki są rozbierane, mają prawo być obecni w czasie dyskusyi, choćby spadli z urzędu, ale powinni wyjść przed wotowaniem.

Żaden z pomiędzy nich znajdujący się w urzędowaniu, nie może prezydować w Radzie podczas tej dyskusyi. Rada wybierze przydującego chwilowego.

Art. 87. W obu sesjach, jesienniej i wiosennej, Rada kumunalna, zgodnie z prawem i porządkiem przepisany, obraduje nad:

- 1) biórami urzędowemi, uffizi, stypendyami wynadgrozdeniami i pensyami;
- 2) nominacyami, zawieszeniem w urzędowaniu lub oddaleniem urzędników, nauczycieli, mistrzów i nauczycielek i mistrzyń (maestri e delle maestre), osób należących do służby zdrowia, kapelańców, poborców i kasyerów, gdzie są ustanowieni, zastrzega się specjalnie rozporządzenia mające siłę prawa; Wybór sekretarza może nastąpić jedynie w warunkach, jakie będą oznaczone i zatwierdzone dekretem królewskim;
- 3) Nabyciem, przyjęciem lub odrzuceniem darów i zapisów;
- 4) Wyzbyciem się nieruchomości (alienazioni), ustępstwem wierzycielności, umowami hipotecznymi, dotyczącymi służebności lub ustanowienia dochodu stałego, układami o prawa własności i służebnościach;
- 5) Sprawami do wniesienia i prowadzenia przed sądem zaciągnię-

ciem pożyczek, pomieszczeniem funduszów na procent, uwolnieniem od procentów.

- 6) postanowieniami o sposobie używania dóbr komunalnych i nad instytucjami, które należą do komuny, równie jak nad ustawami, dotyczącymi zdrowia publicznego, czystości i policji miejscowej, powierzonych przez prawo komunom;
- 7) przeznaczeniem dóbr i budowli komunalnych (stabilimenti);
- 8) zakładaniem i przeniesieniem cmentarzy;
- 9) udziałem komuny w wykonaniu robót publicznych i wydatkami obowiązkowymi na nie wedle prawa;
- 10) nowymi i zwiększonymi wydatkami i nad przeniesieniem ich w bilansie z jednej pozycyi do drugiej;
- 11) opłatami i podatkami do ustanowienia lub zmodyfikowania, ze względu na dobro komuny, tudzież zarządzeniami, które okażą się potrzebne dla zastosowania tychże;

W ogóle obradaje nad wszystkimi kwestyami, które należą do zarządu municypalnego, a nie są obowiązkiem junty albo syndyka.

Art. 88. Posiedzenia rady komunalnej są publiczne, gdy większość rady tak postanowi. Jawność nie może mieć nigdy miejsca, gdy się stanowi w kwestyach osób.

Art. 89. Rady komunalne nie mogą mieć posiedzenia (deliberare) jak z udziałem połowy radców, wyznaczonych dla komuny; jednakże po drugim wezwaniu na inny dzień, uchwały są prawomocne jakakolwiek będzie liczba uczestników, z wyjątkiem tych decyzji, o których mówi artykuł poprzedzający. Jeżeli wprowadzone zostaną wnioski, które nie były objęte w porządku dziennym pierwszego wezwania, to nie mogą one być poddane dyskusji jak we 24 godzin, po przesłaniu ich wszystkim radcom.

Art. 90. Wszystkie uchwały (deliberazioni) ogłaszają się w kopii na tablicy ogłoszeń w pretorium (all' albo pretorio) w najbliższy dzień świąteczny lub targowy od daty uchwały.

Każdy płacący podatki w komunie ma prawo otrzymać kopię uchwał (delle deliberazioni), za opłatą taksy, oznaczonej dekretem królewskim.

Wyraz deliberazione jest nie dość jasny a stosuje się zarówno do uchwały jak narady, zawiera jednak raczej pojęcie postanowienia w kwestyi, gdyż obok w prawie o atrybucyach rad komunalnych używany jest wyraz discussioni, użyty mianowicie w art. 58.

Tytuł V.

Art. 97. Syndyk jest głową zarządu komuny i urzędnikiem rządowym.

Art. 98. Król nominuje syndyka. Jest wybrany z pośród radców komuny i urzędowanie jego trwa trzy lata i może być zatwierdzony na dłużej jeśli zachował stanowisko radcy.

Art. 102. Obszerny ten artykuł o atrybucyach mieści w paragrafie 11 moc suspendowania wszystkich urzędników i pensjonistów, z obowiązkiem, aby syndyk odniósł się w tej mierze do junty i rady, na pierwszym zebraniu odpowiednio do ich kompetencji.

Art. 109. Usunąć z urzędu syndyka może tylko król. Syndyk może być zawieszony w urzędowaniu przez prefekta, który ma obowiązek natychmiast odnieść się do ministra spraw wewnętrznych o rozkazy królewskie.

Tytuł VI o zarządzie komuny i rachunkowości.

Art. 111. Spis wszelkiej własności komuny i następne przybytki lub zmiany, powinny być przesyłane w kopii prefektowi i podprefektowi.

Art. 112. Dobra komuny powinny z zasady być puszczone w dzierżawę. W razie jednak, jeśli położenie miejscowości tego wymaga, Rada komuny może dopuścić ogół mieszkańców komuny do używania w naturze produktu tych dóbr, ale winna utworzyć regulamin, oznaczający warunki używania, obowiązujący do odpowiedniego płacenia.

Art. 118. Komuny mogą w razie niedostatecznych dochodów ustanawiać w granicach i zgodnie z prawem:

- 1) opłaty od żywności, napojów, opału, materiałów budowlanych, karmy zwierząt, podściółu i podobnych przedmiotów, przeznaczonych na konsumpcją miejscową;
- 4) nałożyć podatek na zwierzęta zaprzęgowe, wierzchowce i noszące ciężary, równie na psy, które nie są przeznaczone wyłącznie do straży budynków gospodarskich;
- 5) ustanawiać dodatki do podatków bezpośrednich.

Art. 121. Wszelkie dochody nie objęte bilansem bieżącym, junta municypalna ma obowiązek podać do wiadomości prefekta i podprefekta;

za ich wizą i po upływie terminów oznaczonych art. 134 i 136 junta doręczy spis poborcy, celem ich ściągnięcia.

Art. 126. Ktokolwiek, oprócz poborcy, wdawałby się bez prawnego upoważnienia w manipulowanie pieniędzmi komuny, staje się przez to samo odpowiedzialnym i podległym władzom administracyjnym, co nie tamuje biegu prawa karnego, stanowiącego kary na tych, którzy mieszają się do urzędowania, nie mając do tego tytułu.

Art. 128. Alienacye, wydzierżawienie, dostawy na rzeczy lub prace, przechodzące wartość ogólną 500 franków, muszą się odbywać na jawnej licytacji z zachowaniem przepisów, ustanowionych dla takichże dostaw rządowych. Prefekt będzie mógł jednak dozwolnić wyjątkowo, aby umowy zawarte były w następstwie licytacji lub układów prywatnych.

Art. 129. Prefekt lub podprefekt mają prawo zarządzić, aby w ich biurach odbyły się licytacje i ułożenie kontraktów na sprzedaż porębów leśnych.

W takim wypadku oni będą przydawać w czasie licytacji i kontraktów będą ułożono w obec nich przez jednego lub więcej członków, delegowanych przez Juntę municypalną.

Spisze akt sekretarz prefektury albo podprefektury, który za to może pobrać tylko opłaty oznaczone taryfą dla sekretarzy komunalnych.

Tytuł VII o wmięszaniu się rządu w administracyą komunalną.

Art. 145. Prefekt albo podprefekt ma prawo sprawdzić bieg regularny biur komuny. W razie zaniedbania przez nie obowiązków im powierzonych

nych, może wysłać na ich koszt komisarza dla przeprowadzenia interesów opóźnionych.

Tytuł VIII.

Art. 151. W razie rozwiązania rady komunalnej, zarząd komuny będzie tymczasowo powierzony delegatowi nadzwyczajnemu, nominowanemu przez króla na koszt komuny.

Ten delegat spełniać będzie atrybucye Junty municypalnej.

On téż prezydować będzie w prezydium tymczasowém w nowych wyborach.

O zarządzie prowincjonalnym.

Tytuł I.

Art. 152. Prowincya jest osobą prawną (corpo morale), może posiadać i ma zarząd własny, który włada jéj sprawami i ją reprezentuje.

Tytuł II.

Art. 155. Rada prowincjonalna składa się z 60 członków, tam, gdzie ludność przechodzi liczby 600,000 mieszkańców; 50 jeźli 400,000; 40 na 200,000; 20 w innych.

Tytuł V.

Art. 199. Posiedzenia rady prowincjonalnej będą publiczne, z wyjątkiem, gdy przychodzą kwestye osób.

Art. 201. W razie rozwiązania rady prowincjonalnej, prefekt, zasięgając zdania rady prefekturalnej, wykonywać będzie atrybucye, powierzone przez prawo deputacyi prowincjonalnej pod względem zarządu prowincyą i opieki nad komunami i zakładami dobroczynnemi.

Tytuł VI.

Art. 202. Komuny i prowincye nie mogą zmieniać liczby swych reprezentów, z powodu zmian w ilości mieszkańców wykazanych spisem ludności, aż gdy się one przez pięć lat utrzymają.

Art. 210. Urzędowanie radców komunalnych i prowincjonalnych jest bezpłatne. Dają jednak prawo do zwrotu wydatków koniecznych, poniesionych w czasie pełnienia specjalnych zleceń.

Rady prowincjonalne mają prawo ustanowienia znaków (medaglio di prosenza), odpowiadających kosztom podróży i pobytu, które muszą ponosić radcowie, nie zamieszkali w stolicy prowincyi dla wzięcia udziału w posiedzeniach.

Może być w bilansie ustanowiona stała kwota dla syndyka na roczne zastąpienie wydatków.

Art. 211. Prezydujący w zebraniu rad, ustanowionych przez obecne prawo, ma nadaną sobie władzę dyskrecyonalną dla utrzymania porządku, poszanowania praw, tudzież przestrzegania kolei dyskusyi i postanowień.

Ma prawo zawiesić posiedzenie lub rozwiązać zebranie i spisać protokół z tego powodu dla przesłania go prefektowi i podprefektowi, jeżeli dotyczy rady komunalnej i Junty municypalnej; zaś ministrowi spraw wewnętrznych o innych.

Na posiedzeniach publicznych może po daniu ostrzeżenia właściwego, rozkazać wydalenie z sali posiedzeń każdego, dającego powód do zamieszania, a nawet nakazać aresztowanie.

Postanowienie takie zamieszcza się w protokóle posiedzenia i za jego okazaniem przystąpi się do aresztowania.

Osoba aresztowana zostanie pod strażą przez 24 godzin, oprócz postępowania karnego w sądach, jeżeli będzie tego potrzeba.

Art. 212. Radzcowie wotują głośno na wezwanie, albo téż przez powstanie z miejsca, wota dotyczące kwestyi osób jedne tylko są tajne.

Art. 213. Żaden wniosek nie może być przedstawiony do rozstrzygnięcia, jeżeli nie był na 24 godzin przedtém złożony w sali posiedzeń ze wszystkimi dokumentami, potrzebnymi do jego rozpatrzenia.

Art. 214. Rady w zebraniach nadzwyczajnych nie mogą rozstrzygać ani rozbierać kwestyi obcych przedmiotowi, który spowodował zebranie.

Art. 215. Mandat imperatywny nie może być dany radzcom, a jeżeli dany, jest nie ważny.

Art. 216. Inicytywa wniosków należy zarówno do władz rządowych, prezydującego i do radzców.

Najpierw będą wzięte pod obrady wnioski rządowe, następnie prezydującego, wreszcie radzców, wedle pierwszeństwa w złożeniu wniosków.

Art. 217. Rady mogą wyznaczyć jednego lub więcej członków, jako referentów w przedmiotach, wymagających indagacyi i rozpatrzenia specjalnego.

Art. 218. Minister spraw wewnętrznych może mieć udział osobiście w każdej naradzie bez prawa wotowania.

Art. 222. Radzcowie wstrzymują się od udziału w naradach, dotyczących pretensyi własnych i rachunków przez nich zdawanych, równie jak korporacyi, do których należą, instytucyi przez nich administrowanych albo podległych ich nadzorowi; równie téż, gdy idzie o interes ich własny lub téż interesu sporów i rachunków ich krewnych i powinowatych do czwartego stopnia, podobnie, gdy się ma tymże urząd powierzyć.

Również wstrzymują się od udziału pośredniego i bezpośredniego we wszelkich dostawach i robotach dla prowincyi lub komuny, do której zarządu należą, jak równie i w egzekucyi opłat miejscowych.

Art. 230. Forma dla budżetów, rachunków i innych aktów jest ustanowiona przez ogólne przepisy administracyjne.

Dodatek do podatków stałych, ustanowiony przez prowincye lub komuny dla dopełnienia niedostatków budżetu, powinien dotykać w równej mierze wszystkie podatki bezpośrednio.

Art. 231. Jeżeli Rada mniema, że jój atrybucye są łamane przez rozporządzenia władz rządowych administracyjnych, może odwołać się do króla.

Król rozstrzygnie (provedera, znaczy: téż zapobiegnie) po zasiągnięciu zdania Rady stanu.

Art. 232. Gdzie, pomimo zwołania Rady, żadne postanowienie nie mogło nastąpić, prefekt zajmie się wszystkimi gałęziami służby i nada bieg wydatkom obowiązkowym, według litery prawa, równie jak i poprzednich uchwał, mających siłę prawną.

Art. 235. Król z ważnych powodów porządku publicznego może rozwiązać Rady prowincjonalne i komunalne, ale nowe wybory zostaną zarządzane w terminie najdaléj trzech miesięcy.

(*dok. nast.*).

HISTORIA WYNAŁAZKU LUNETY

I ZASTOSOWANIA JĘJ DO ASTRONOMII.

NAPISAŁ

Dr. Wierzbicki.

Jedną z najdonioślejszych zdobyczy ducha ludzkiego w nowszych czasach jest wynalazek lunety. Trzysta lat dobiega od czasu, gdy człowiek poraz pierwszy uzbrojoném okiem spojrzął ku niezgłębionym przestworom świata, gdy poraz pierwszy światła niebieskie, których żadne oko ludzkie przedtém nie widziało, ujrzał wschodzące w wspaniałych barwach i w miejscach, gdzie przedtém tylko ciemności całun swój rozpościerały. Pod wpływem tego wynalazku, nowe poglądy na wszechświat i na stanowisko, jakie człowiek w nim zajmuje, wystąpiły w miejsce dawnych, wiekami uświęconych, przekształcając do pewnego stopnia nie tylko wyobrażenia ludzkie, ale i formę wierzeń mas ludowych w potęgę ciał niebieskich: nowy dzionek zaświtał tedy w wielkiém życiu ludzkości! Już heroiczny na swoją epokę czyn Kopernika, burzącego obmyślanym i obliczanym przez długie lata ciosem dotychczasowy porządek wszechświata i połączoną z nim dumę ziemi i człowieka, który się nie tylko jój panem, ale i ostatecznym celem stworzenia być mienił, pobudził silnie umysł ludzki do porzucenia samolubnych mrzonek i ideałów, i zwrócenia go do rzeczywistości pozorze przykrój i upokarzającój; nastąpiła nowa epoka nietylko w rozwoju astronomii, ale wszystkich nauk i umiejętności, a wynalazki do ich podniesienia służące, szybko po sobie następować zaczęły. Koroną ich atoli był wynalazek lunety, przypadający na początkowe lata XVII-go stulecia, a ten jeden fakt wystarcza, by wiek ten w historii rozwoju ludzkości innym przodował i do „dobrze zasłużonych“ wliczonym został! Poznano wkrótce wielką doniosłość tego początkowo

skromnego narzędzia, bo skoro zaczęto przez nie badać i obserwować gwiazdy i ich ruchy, skoro walczący z przeciwnościami, a chwilami w bycie swoim zagrożony system Kopernika, z ich pomocą zaczął sobie coraz więcej uznania i powagi zjednywać, stawała się także i dążność w wydoskonaleniu prymitywnych jego okazów coraz silniejszą. Poznano wkrótce, że granice zakreślone przez naturę oku ludzkiemu zostały przełamane; mogło ono teraz sięgać w nieprzejrzone dotąd zupełnie głębie wszechświata, — nowe światy zjawiły się przed nim i mgła, która je przez tyle wieków osłaniała, zaczęła rzędnąć i rozsuwać się z wolna; dalekie brzegi i odosobnione wyspy na oceanie Universum stały mu się przystępne. Zdobył, dokonane na terytorium niebieskiem, party ducha człowieka ciągle naprzód, coraz więcej z tajemnic i zagadek, któremi nas natura ze wszech stron otacza, i coraz więcej prowadząc go do należytego zrozumienia potęgi i wszechmocy Tego, który ich władcą i panem. Zmalał pozornie człowiek w swojej urojonej wielkości; zmalał ten pan stworzenia, dla którego wygody i służby postępowały od wieków gwiazdy po swych codziennych kołach bez oporu i szemrania, dla którego majestatyczne słońce przebiegało swą dwoistą kolę, a od czasu do czasu jawiły się na niebie różgi i krzyże, by go przed krzyżami ziemskimi ostrzedz i ochronić; — ale równocześnie podniósł on się sam moralnie i intelektualnie, a otwierając sobie przez to większy, obszerniejszy i jaśniejszy horyzont, poznał i rozumiał, że, jak mówi wielki autor mechaniki niebieskiej: „bardzo mało jest tego, co wiemy, a bezmiar tego, czego nie wiemy“ (Laplace).

Przejście od naturalnego do teleskopowego widzenia, przypadające na pierwsze dziesięciolecie wieku XVII-go, było dla astronomii ważniejszém, aniżeli dla znajomości ziemskich przestrzeni był rok 1492-gi, bo wynalazek teleskopu nie tylko rozszerzył poglądy na całość stworzenia, ale nadto przez postawienie zupełnie nowych i powikłanych zagadnień i twierdzeń podniósł matematykę na wyżyny dotąd nie przewidywane. W fakcie tym uwidoczniła się najlepiej sposób, jak to wzmocnienie zmysłowych organów oddziaływa silna rozwój myśli, na wzmocnienie intelektualnej siły i na uszlachetnienie człowieka. Lunecie tylko zawdzięczamy, że w niespełna 3-ch stuleciach poznaliśmy tyle planet, księżyców, plam słonecznych, fazy Wenusy, kształt i wysokość gór księżycowych i t. p., — a jeżeli nasz system słoneczny, ograniczony tak długo przez 6 planet i przez jeden księżyc, w ten sposób został hojnie wzbogacony, to nierównie więcej jeszcze wzbogaconym został świat gwiazdzisty. Tysiące mgławic, gromad gwiazd i gwiazd podwójnych, tysiące słońc nowych odkryto. Inwentarz niebieski postawionym został na stopie odpowiedniejszej majestatowi swego Pana, i w ogóle astronomiczna znajomość systemu słonecznego rozszerzyła się powoli do znajomości systemu wszechświata. Powoli — bo jak w każdej innej umiejętności, tak i w astronomii, każdy czas spełnia swój obowiązek, aby przyszłości

zabezpieczyć środki, któreby postęp wiedzy umożliwiały; komórka przybywa do komórki, kamyk do kamyka, i rośnie organizm wszechświata, duchem owiany we wszystkich swych częściach. A nic dziwnego, i próżném pono stawiać twierdzenia przeciwne i naciągane do nich dowody, że tyle minionych wieków przejść w pierw musiało, nim ludzkość zdobyła się na wynalazek lunety i to jeszcze przypadkowy, jak niektórzy dowodzą. Każdy wynalazek jest dziecięciem swojego czasu, a zarazem produktem głęboko w przeszłość sięgającego procesu rozwoju ducha ludzkiego. Nim on stanie się możliwym, nim się w ciało przyoblecze, musi go poprzedzać cały szereg wzajem się wspierających warunków, dopiero, gdy te się spełnią, staje się on koniecznym i omal nieuniknionym. Dla odkrycia lunety nie było warunków w starożytności i wiekach średnich, — były one niejako w powietrzu, jakby nasienie, które dopiero z końcem wieków średnich dojrzało i życia nabrało. Współczesny tym czasom ogólny rozwój i oświata, zwłaszcza zaś rozwój wiedzy kosmicznej, dosięgły stopnia, który stał na równi z tém odkryciem; teraz dopiero mogło to odkrycie być spożytkowane i teraz stało się ono koniecznością, jeżeli Kopernikowe poglądy na budowę wszechświata miały nabrać przynależnej im powagi, i dalszy rozwój nauki o wszechświecie miał być możliwym.

Jak żaden wielki wynalazek nie zjawia się nagle i odosobniony, tak było i z wynalazkiem lunety. Równocześnie wynaleziony został mikroskop. Luneta dozwoliła oku sięgnąć w bezmiar odległości, mikroskop umozębnił wejrzenie w również tajemniczy dotychczas świat mikrokosmów, a aczkolwiek różne są zadania tych dwóch narzędzi, to przecież oba spotykamy dziś nierozdzielnie z sobą połączone. Samo zewnętrzne obserwowanie gwiazd i ich liczenie nie wystarczało na długo, zwłaszcza, gdy się przekonano, że to zuaczy liczyć piasek w morzu; umysł zapragnął wedrzeć się głębiej w ich istotę, ustrój i życie. Połączono więc lunetę ze znanymi i przez starożytnych już używanymi kołami mierniczemi, i zdobyto sposoby, aby tym obcym i dalekim światom na ich pozornych lub istotnych drogach, choć zdala okiem towarzyszyć i położenie ich w wielkim ogromie wszechświata wyznaczyć. Lecz te koła nie dozwalały na zbyt dokładne pomiary, — a gdy żądza posiadania czegoś lepszego stawała się coraz silniejszą, myślano tylko o tém, iżby podział kół doprowadzić do jak największej dokładności. Używano z początku lupy, ale gdy i ta potrzebom należycie nie odpowiadała, zaczęto używać mikroskopu;—jakie zaś z jego pomocą, jakoteż i innych coraz więcej udoskonalających się środków i sposobów, postępy w podziale kół owych poczyniono, o tém świadczą najlepiej nasze dzisiejsze astronomiczne przyrządy miernicze i dokładność pracnimi wykonywanych. Ale znów nie wystarczyło to pierwsze mechaniczne załatwienie sprawy, bo gdy niebawem się przekonano, że te, już teraz tak skrupulatne i dokładne podziały, gołemu oku z powodu ich wielkiej liczby i delikatności nie są dostępne, okazała się konieczna potrzeba używać do ich odczytywania tego samego narzędzia, któ-

rego do ich wykonania użyto, t. j. do kół przy astronomicznych przyrządach dodać mikroskopy, których tam nawet zwykle po kilka znajdujemy.

Trzy wieki niespełna liczymy historii lunety. W ciągu tego czasu przechodziła ona różne losy, które stanowią ciekawą kartę w historii rozwoju ducha ludzkiego, zwłaszcza, że nie została ona nagle i przez jednego człowieka do życia powołaną, ale znalazła wielu pretendentów do swego ojcostwa. Trzy narody, Anglicy, Włosi i Holendrzy walczą z sobą o pierwszeństwo w tém odkryciu; każdy przedstawia pozornie ważne swoje dowody i dokumenty, mieni się być niewątpliwym wynalazcą lunety. Przedstawić te dzieje choć w streszczeniu, to nasze zadanie, do którego niniejszém przystępujemy.

I. Historia wynalazku lunety soczewkowej.

Liczne posiadamy dowody na to, że starożytnym znane było szkło i jego fabrykacja. Pliniusz (Hist. natur.) opowiada, że w ogromnym trzypiętrowym teatrze w Rzymie, zbudowanym przez Scaurusa, zięcia Sulli, drugie piętro całkowicie mozaiką szklaną było pokryte. W II-ój ks. „Recognitiones” św. Klemensa czytamy, że św. Piotr widział na jednej z wysp fenickich (Aradus) świątynię, w której nadzwyczaj wielkie i silne filary ze szkła, większe podziwienie jego wzbudzały, aniżeli piękne statuy Fidyasza. Seneka wspomina o kolorowych zjawiskach, które można widzieć przy patrzeniu się przez szklane naczynia. Za Nerona używano (Pliniusz) przy uctach kubków i waz z szkła białego, które co do przezroczystości przewyższały naczynia z górskiego kryształu. W tymże samym czasie przedstawiano także konstelacje gwiazd na kulach szklanych, a nawet przyrządy, służące do demonstrowania ruchów słońca, księżyca i planet, miały być ze szkła. Znajdywane w starych grobach łożawnice szklane świadczą także o znajomości szkła w starożytności. Ptolemeusz, aleksandryjski astronom, podaje w swojej optyce tablice łamalności światła, przechodzącego do szkła pod różnemi kątami od łamiących się promieni słonecznych. Starożytni znali wreszcie własność zgęszczania światła słonecznego za pomocą kul szklanych, i zapalania za ich pomocą palnych materyałów. Arystofanes (431—404 przed Chr.) wkłada w usta jedno ze swoich aktorów radę, daną Sokratesowi, w jaki sposób na przyszłość pozbywać się może długów swoich, powiada bowiem, że za pomocą kul szklanych można z pewnej odległości spalić w rękach wierzyciela każdy oblig dłużniczy. Rzymianie używali w braku kamienia piekielnego kul szklanych do wypalania ran, równie jak i zgęszczonych za pomocą szkła promieni słonecznych do wzniesienia ognia świętego, jeżeli przez niedbalstwo westalek był zagasł.

Arago ¹⁾, dowodząc, że lupy, w ogóle szkła powiększające, zna-

¹⁾ Franz Arago's sämtliche Werke, t. 11.

ne były starożytnym, wylicza dzieła przemysłu i sztuki z owych wieków, których bez szkieł powiększających wykonać nie było można. W paryzkim gabinecie medalionów znajduje się stara pieczętka, na której powierzchni kolistej, wynoszącej 14 milimetrów, znajduje się 15 figurek wygrawirowanych, z których nie wszystkie można gołym okiem rozpoznać; Cicero wspomina o Iliadzie Homera, która na pergaminie spisana, mieściła się w łupinie orzechowej, Pliniusz zaś opowiada o wymodelowanym z kości słoniowej poczwórnym zaprzęgu, który mucha swemi skrzydłami okryć mogła. Jeżeli podania te za wiarogodne uznano, to przypuścić musimy, że albo zmysł wzroku u naszych przodków nierównie był silniejszym, aniżeli u najwprawniejszych sztukmistrzów w czasach nowszych, lub też co prawdopodobniejsze, że w Grecyi i Rzymie już przed 20-ma wiekami znano lupy i ich siłę powiększającą. Arago powołuje ustęp z Seneki, w którym powiedziano: „jakkolwiekby było małym i niewyraźnym pismo jakieś, przez kulę szklaną, wypełnioną wodą, pokazuje się większem i wyraźniejszym.“ Duttons, pisarz francuzki, nie tylko widział w Muzeum w Portici lupy, pochodzące z wykopalisk w Herculanium, ale sam jedną posiadał. D. Brewster, słynny fizyk angielski i wynalazca kalejdoskopu, na posiedzeniu jednego z towarzystw naukowych w r. 1852 pokazywał kawałek kryształu górskiego, wyciętego w formie soczewki, a znalezionej w wykopaliskach Niniwy, utrzymując, że soczewka ta z pewnością do celów optycznych a nie do ozdoby służyła.

Od lupy i szkieł powiększających niewielki już krok do okularów, lecz skąpe nader posiadamy wiadomości o tém, żeby użycie i znajomość okularów w starożytności były rozpowszechnione. Pliniusz wspomina wprawdzie o wklęsłych szlifowanych szmaragdach, przez które lepiej można widzieć, aniżeli gołymi oczami. Nero miał podobno używać podobnych szkieł na widowiskach walki gladyatorów, gdy jednak wiadomości te są bardzo wątpliwéj natury, zwłaszcza, że okulary takie mogłyby służyć tylko krótkowidzom, bo dalekowidz, chcący w pobliżu wyraźnie widzieć, musi koniecznie używać szkieł wypukłych, w żaden więc sposób starożytnym wynalazku okularów przypisać nie można. Niektórzy włoscy pisarze przypisują ten wynalazek florenckiemu bankierowi, Salvino degli Armati, zmarłemu w r. 1317, na którego grobie znaleziono napis stwierdzający tę okoliczność ¹⁾. Dowód to nie wystarczający, zwłaszcza, że napis uległ jakoby zniszczeniu. Natomiast pewniejsze już mamy dowody, że w r. 1305 znano i używano okularów. Tak Gordon, profesor medycyny w Montpellier, mówi w piśmie z r. 1305-go: „ta maść działa tak skutecznie, że nawet starzec może

¹⁾ Napis ten niegdyś w kościele florenckim Maria maggiore znaleziony brzmiał:

Qui giace Salvino degli Armati,
Inventore degli Occhiali,
Dio gli perdoni le peccata.

choćby najmniejsze litery bez okularów czytać," — a podobnież i u innego autora księgi lekarskiej z r. 1363 znajduje się ustęp: „jeżeli te maści nie pomagają, to już potrzeba użyć okularów.”

Nie będziemy śledzili dalszych losów tego tak pożytecznego wynalazku, gdyż wiadomo, że w krótkim czasie znalazł on szerokie wzięcie, a we wszystkich większych miastach Europy licznych fabrykantów. W każdym razie, był to znów krok naprzód; w miejsce samych szkieł powiększających, wstąpiły szkła szlifowane wklęsłe i wypukłe, które siłę wzroku wzmocniły. W XIV-ym wieku było szlifowanie okularów ważną czynnością przemysłu, przez co doszło do tak wysokiego udoskonalenia, że gdy później udało się zestawić szkła w lunety, sprawa ta miała pod ręką materiały gotowy, i w ten to sposób, kilku wynalazców o pierwszeństwo w dokonaniu tego dzieła współzawodniczyć mogło. Nastęrcza nam się wreszcie pytanie, czy w obec znajomości wyrobu szkła i używania lupy, była w starożytności znaną już luneta, zagubiona tylko w kataklizmach dziejowych, i czy odżyła ona tylko na nowo po tylu latach zapomnienia?

Liczne próby i usiłowania, pragnące przyznać starożytnym wynalazek i znajomość lunety, nie odniosły pożądanego skutku. Sama wartość i doniosłość tego wynalazku, przyczyniła się może do tego, że początek jego jakąś tajemniczością osłonięto usiłowano; pragnienie zaś uchylenia téj zasłony, jako też nieznanostwo wynalazcy, sprawiły, że coraz więcej próbowano przenieść ten początek do zamierzonych czasów. Tak np. Dyjodor Sycylijski (z epoki Cezara) powiada, że żyjący około 490 r. przed Chr. geograf Hekateus z Miletu wspomina o jakiejś wyspie, tak wielkiej jak Sycylia, znajdującej się ku biegunowi północnemu naprzeciw kraju Celtów, której wszyscy mieszkańcy są kapłanami Appollina— a dalej, że z téj to wyspy można widzieć księżyc tak blisko, iż z łatwością góry na nim rozpoznają. Za ledwie się o tém dowiedziano, wyciągnięto ztąd wnioski, że mieszkańcy téj wyspy używali lunety, czyli, że w czasach Hekataeusza, współczesnego Aleksandrowi W. już obserwacye lunetami czyniono. Jak daleko atoli w podobnych twierdzeniach zachodzone, najlepszym dowodem Arias Montanus, bardzo uczony teolog hiszpański z XVI-go wieku, który ustępy z pisma św., gdzie powiedziano, że dyabeł Chrystusa wyprowadził na wysoką górę, i ztamtąd pokazał Mu wszystkie bogactwa świata, inaczej wytłómaczyć nie chciał czy nie umiał, jak że dyabeł zrobił to zapomocą lunety, a więc że on był wynalazcą lunety, czyli, że wynalazek ten był dziełem dyabelskim, a nie ludzkim!

Uczeni szukający koniecznie lunety w starożytności dowodzą, że przecież starożytni mieli pewne wiadomości o urządzeniu wszechświata, których pomniki doszły aż do naszych czasów. Bez stosownych narzędzi byłoby to niepodobieństwem. Filozof grecki, Demokryt, był zdania, że droga mleczna jest zbiorem nieskończonej ilości gwiazd, i że w mieszaninie ich światła należy szukać prawdziwej i jedynej

przyczyny kołowego i białawego jój obrazu,—a w inném znów miejscu, że plamy księżycowe są to cienie rzucone przez góry na nim będące. O ile pierwsze zdanie Demokryta jest do pewnego stopnia słuszném, chociaż nie świadczy ono jeszcze wcale o znajomości i używaniu lunety, o tyle drugie nie zgadza się z rzeczywistością i nie dozwala myśleć o jakichś ówczesnych obserwacjach, gdyż właściwe plamy, jakie na księżycu gołym okiem są widzialne, nie są wcale cieniami gór, co już słabą lunetą sprawdzić można.

W dziełach Strabona, najznakomitszego geografa greckiego, żyjącego, za czasów Augusta i Tyberyusza, znajdujemy zapytanie, które wprowadza w błąd bardzo wielu, a mianowicie: dla czego tarca słoneczna przy wschodzie i zachodzie ukazuje się większą, aniżeli na pełnóm niebie?—Strabo odpowiada na to, że zjawisko to jest skutkiem wyziewów wznoszących się z wód morskich, przez które przechodzące promienie słoneczne załamują się tak, jak gdyby szły przez rury (tuby)! Otóż ta odpowiedź Strabona według jednogłośnego zdania najświetniejszych hellenistów nie jest autentyczną, lecz przez późniejszych odpisywaczy przekreśloną, a w przekładzie francuzkim już z tego wieku, nie ma najmniejszej wzmianki, o żadnych rurach ani tubach. Ale choćby i tak było, nie stanowiłoby to jeszcze żadnego dowodu, bo i Arystoteles także wspomina o rurach, przez które starożytni odległe przedmioty obserwowali, porównywa atoli ich działanie z ręką ponad oczyma trzymaną, albo z działaniem studni, z głębi której gwiazdy podczas jasnego dnia widzieć można. Odnośny ustęp według niemieckiego przekładu Humboldta ¹⁾ brzmi: „ten, który rękę ponad oczyma trzyma albo przez rurę patrzy, może i różnice kolorów i przedmioty w wielkiej odległości będące widzieć; zdarza się także, że przebywający w podziemnych budowlach i cysternach, widzą czasem ztamtąd gwiazdy.“ Były to więc rury czyli tuby bez szkielek, służące tylko do tego, aby z boku padające światło wstrzymać i przez to dokładność obserwacji powiększyć, a różne źródła poświadczają, że takich rur otwartych używano bardzo wczesnie do obserwacji. Tak np. Ditmar, biskup merseburki, zmarły na początku XI wieku donosi, że Gerbert biskup z Rheims, a późniejszy papież Sylwester II, używał rury do obserwacji („considerata per fistulam quadam stella“), — Benedyktyn zaś Mabillon z w. XVII-go pisze, że w klasztorze Scheyer w Bawaryi widział kronikę z r. 1096, w której znajduje się rysunek astronoma patrzącego przez rurę na niebo. Rysunek ten ma przedstawiać Ptolemeusza, czyniącego obserwacje za pomocą lunety. Wiadomość ta nie dowodzi jednak znajomości lunety w starożytności, bo prawdopodobnie rura ta jest utworem fantazyi rysownika, który uczonego Ptolemeusza chciał wybitniejszym sposobem jako astronoma uwydatnić. W ogóle twierdzić można, że starożytnym był znany tylko szkielek lunety,—ale nim w ten szkielek wstą-

¹⁾ Kosmos III.

piła dusza w formie szkieł szlifowanych, musiała wprzód optyka, znajdującą się dopiero w kolebce swego rozwoju, przez wiele stuleci nad tém pracować. Wszystkie atoli inne domysły są tylko dowodem, że spuszczone z uwagi przebieg myśli i przygotowań, prowadzących do odkrycia lunety. Wynałazek ten nie mógł być znany w starożytności; zarodki tylko jego, wspierające się na wiadomościach o powiększającej sile sferycznych wyrobów szklanych, sięgać mogą do starożytności. Narzędzi dzisiejszej doskonałości, a przedewszystkiém narzędzi do subtelnego pomiaru kątów, starożytni nie mieli, o wymiarze odległości gwiazd przez wyznaczenie paralaksy nie można było wówczas mówić! Bo i cóżby grecy lub rzymianie przy ówczesnym stanie nauk robili za pomocą tych narzędzi, a nawet i lunety? Rozwój ducha ludzkiego nie mógł iść skokami, lecz każda epoka tworzyła sobie organa, które odpowiadając stanowi ówczesnej wiedzy, jój postęp możliwym czyniły. Luneta, wówczas już wynaleziona, zburzyłaby tylko była pojęcie o kulistym kształcie wszechświata, nim ono jeszcze dobrze w umysłach się usadowiło i utrwaliło. A to pojęcie przecież było właśnie koniecznym punktem przejściowym, najbliższym stopniem, na którym ludzkość do dalszych kosmicznych badań i doświadczeń dojrzeć miała. Jak dziecię w koszu uczy się chodzić, tak i astronomia musiała się w tym okrągłym wszechświecie, z ziemią jako środkiem jego, poniekąd uczyć chodzić, zanim przebiwszy tę kulistą powłokę dojrzała do tego stopnia, aby sięgnąć w nieskończoność. Rozwój ludzkości postępuje według tego samego prawa, co rozwój pojedynczego człowieka. Dajmyż dziecku szkła powiększające do ręki,—nie użyje ich, tylko do zabawki! Przecież już na początku XVII wieku, gdy luneta potrzebą się stała, a z nią razem mikroskop do życia powołanym został, służyła ona długo jeszcze tylko do zabawy (*vitra pulicarium*, szkła dla pcheł albo much), nim na seryo pomyślano o tém, iżby z ich pomocą we wnętrze natury zajrzeć, i nim za pomocą tak uzyskanych poglądów osiągnęli ludzie tę dojrzałość, która do prawdziwego poznania natury jest warunkiem koniecznym.

Narzędzia obserwacyjne, jakich w starożytności używano, były więc takie, na jakie ówczesne pojęcia pomiaru kątów na kuli niebieskiej dozwalały. A nie wiele wcale tego wszystkiego było, bo prócz gnomonu i „*polos*,” którego znaczenia i użytku dostatecznie jeszcze nie wyjaśniono, nie znamy nic więcej. Prawdopodobnie „*polos*” był kulą niebieską, obracalną około bieguna. Gnomon zaś, był to słup pionowy, którego cień służył do oznaczenia wysokości słońca,—jest to bowiem prastary przyrząd astronomiczny, za pomocą którego cesarz chiński Tschu-Kong już pół tysiąca lat przed Talesem i Anaksimandrem pochyłość ekliptyki wyznaczył, i którego znajomość przyszła do greków od egipcyan i chaldejczyków. Z rozwijającą się mechaniką w aleksandryjskich czasach i z postępem matematyki, widzimy już narzędzia nowo obmyślane lub też dawne, coraz więcej się doskonalące. Od sztucznej kuli niebieskiej (*polos*) Anaksimandra, za pomocą której prawdopodobnie

nowsą wówczas naukę o obracającej się sferze niebieskiej około bieguna wraz z różnemi kołami i podziałami, jako też położenie drogi słonecznej najprzód na tym modelu uzmysławiał, koła te i podziały powoli się teraz oderwały i w różne narzędzia obserwacyjne ukształtowały; tak powstała sfera armillarna, która jest połączeniem wielu kół i pierścieni, przedstawiających idealne linie niebieskie, jak równik, ekliptykę, południk i t. p., i która przy podziale tychże kół na 360 stopni używaną była do wyznaczania kątów na kuli niebieskiej. W podobny sposób z gnomonów powstały znów skaphy. Według Witruwiusza pierwszym był Aristarch (żyjący w III wieku przed Chr.), który kosmiczne odległości rzeczywiście mierzył, a temi pracami pobudzony, przyszedł na myśl, że pręt rzucający cień nie jak dotychczas, na płaszczyźnie, lecz w wydrążonej półkuli tak ustawić, iżby wysokość słońca na podziale tamże umieszczonym bezpośrednio odczytaną być mogła. Takim narzędziem wyznaczył wkrótce potem Eratosthenes wysokość słońca przy sławnym pierwszym pomiarze stopnia między Aleksandryą a Syeną.

Prócz tych narzędzi powstały w aleksandryjskich czasach jeszcze dwa nowe t. j. Astrolabium i Triquetrum. Wynalazcą pierwszego miał być Hipparch, twórca trygonometrii sferycznej; służyło ono do mierzenia wysokości słońca i innych ciał niebieskich, a używano go ¹⁾ zwłaszcza przy żegludze, aż do przeszłego stulecia, gdzie przez daleko dokładniejszy sekstans wyrugowanem zostało. Do podobnego użytku służyło także Triquetrum, wynalezione podobno przez Ptolemeusza, i używane po nim jeszcze przez Kopernika ²⁾. Że takimi narzędziami, chociażby one były z całą sztuką i starannością nowszej mechaniki wykonane, wielkiej dokładności osiągnąć nie można, łatwo pojąć, widząc je i porównyując z dzisiejszymi. Już arabowie licznie je udoskonalali, a mianowicie zamiast Triquetrum wprowadzili w użycie kwadranty, a później t. zw. kwadranty mrowe, —wszystko to atoli były narzędzia niedostateczne i niewystarczające do zamierzonych celów.

I otóż to cała spuścizna po starożytnych, ciężka co do myśli i prymitywna, a w obec tego trudno myśleć o lunecie. Embryoniczne jej początki i zarodki, znajomość powiększającej siły wypukłych soczewek kryształowych, istniały prawdopodobnie; złożenie jednak całej lunety mogło dopiero nastąpić, gdy stare pojęcia o budowie wszechświata przez Kopernika i Keplera, w swój podstawie zostały obalone, i oświeconemu oku ludzkości za pomocą lunety w kosmiczne cuda wejrzeć dozwolono. Teraz dopiero wynalazek lunety stał się koniecz-

¹⁾ Jest kilka okazów z późniejszych czasów w obserwatorium krakowskim, —również sfera armillarna.

²⁾ Znajduje się na obrazie Kopernika, przez Matejkę w r. 1873 wykończonym.

nością, bo teraz dopiero można było ten instrument należycie wyzyskać i spożytkować.

Nie brakuje poważnych uczonych, według których wynalazek lunety zawdzięczamy nie dowcipowi lub wyrozumowanemu myśleniu człowieka, lecz prostemu przypadkowi. Według tego zdania wątpliwym nawet jest, czyby człowiek na teoretycznej drodze przyszedł był kiedykolwiek do tej zdobyczy. Huygens, znakomity matematyk i fizyk (1629—1687) w swojej Dioptryce powiada: „Si quis tanta industria exstitisset, ut ex naturae et geometriae principiis Telescopium eruere potuisset, eum ego supra mortalium sortem ingenio valuisse dicendum crederem. Sed hoc tam longe abest, ut fortuito reperti artificii rationem non adhuc satis explicare potuerint viri doctissimi,“— t. j. „gdyby się znalazł człowiek takiej bystrości umysłu, iżby na zasadach przyrody i geometryi mógł wynaleść teleskop, musiałbym o nim powiedzieć, że jest to istota umysłem wyższa ponad wszystkich śmiertelnych. Lecz od zdania tego jesteśmy tak dalecy, że nawet podstawy tego przypadkowo zrobionego odkrycia najuczęśni ludzie nie byli w stanie wyjaśnić.“ Cofnijmy się atoli wstecz!

Najdawniejsza wzmianka, odnosząca się do lunety, znajduje się w dziele „Opus majus“ wydanem w r. 1267 przez Rogera Bakona, który może być uważany za jednego z pierwszych twórców optyki. W tém do swém dziele wskazuje Bakon nietylko zastosowanie szkieł powiększających do szkieł ocznych czyli okularów, lecz także przedstawia możliwość skonstruowania z pomocą nich narzędzia, przez które słońce, księżyc i gwiazdy pozornie na dół ściągnaćby można ¹⁾. Na tém się opierając, próbowali niektórzy przypisać Bakonowi pierwszeństwo w wynalezieniu lunety. Nie zaprzeczając wcale ważności jego wskazówek, z których przebija się wiara w możliwość skonstruowania lunety, zwracamy jednak na to uwagę, że tak ruchliwy, otwarty i czynny człowiek, jakim był Bakon, z pewnością byłby wspomniał w pismach swoich o lunecie, gdyby ją miał, a tém więcej jeszcze, gdyby ją sam sporządził.

Najbliższe późniejsze wskazówki o lunecie znajdujemy dopiero w 300 lat po Baconie, a mianowicie w dziele „Magia naturalis“ z r. 1589, napisanem przez słynnego lekarza i zasłużonego fizyka włoskiego, Jana Baptistę-Porta. U niego wynurza się już idea późniejszej hollenderskiej lunety, mówi bowiem, że przy stosownem złożeniu wklęsłego i wypukłego szkła, wszystko co bliskie i dalekie, większém i wyraźniejszém się widzi, a „gdyby umiano“ mówi dalej, „soczewki pomnażać, to mojem zdaniem możnaby na sto kroków najmniejsze nawet litery

¹⁾ Odnośny ustęp Opus Majus pg. 357 brzmi: „Sic etiam faceremus solem et lunam et stellas descendere secundum apparentiam hinc inferius, et similiter super capita inimicorum apparere, et multa consimilia, ut animus mortalis ignorans veritatem non posset sustinere.“

odróżniać, bo jedna soczewka oddawałaby drugiej powiększone już przez się litery. Ten, któryby to potrafił dokładnie wykonać, odkryłby wcale nie małą tajemnicę¹⁾. Jak widzimy, Porta stoi już na progu odkrycia, ale on go jeszcze nie umie do skutku doprowadzić. Widzimy oprócz tego, że przecucie i szukanie na około siebie nagliło ze wszystkich stron do tego wynalazku, tak że w kilka dziesiątek lat później urzeczywistnienie jego nie może się wydawać przypadkowym. Nasiona kiełki swe puściły, idea istoty rzeczy już była.

Ze słów Porty wynika, że on znał dobrze skutki wywołane przez złożenie dwóch soczewek, jednej wklęsłej a drugiej wypukłej, nie ma tu jeszcze atoli mowy o lunecie, jako fakcie dokonanym, a jego doświadczenia ograniczały się prawdopodobnie do sporządzenia odpowiednich okularów, czyli do stósownej kompensaty za wielkość wklęsłości jednego szkła, przez wypukłość drugiego, co przez ułożenie ich na sobie jest tylko możliwem. Że Porta lunety nie odkrył, to pewna, byłby o tém on bowiem z przebijającą się w jego pismach chętnością szeroko się rozpisal, a że prawdopodobnie nawet skorzystał on w dziele swoim ze wskazówek, jakie już w r. 1538 Hieronim Fracastor, nadworny lekarz papieża Pawła III, w jednym z pism swoich²⁾, podaje: „jeżeli ktoś patrzy przez dwa szkła okularowe położone na sobie, będzie widział wszystkie przedmioty daleko większe i bliżej,“ tego domyślać się można z ducha jego dzieła, które widocznie jest tylko zestawieniem tego wszystkiego, co w ówczesnych czasach znanem było i czém się wówczas zajmowano,—tylko że Porta, aby się wstawić, zamilcza wszędzie o źródłach z których czerpał, w skutek czego za najuczestszego swego czasu człowieka w świecie uchodził.

Więcej prawdopodobnym, aniżeli Bacon lub Porta, wynalazcą lunety mógłby być Leonard Diggs angielski matematyk, żyjący († 1573) w Bristol. Był on autorem „Pantometrii“ wydanej poraz pierwszy w r. 1571, zaś poraz drugi w r. 1591 za staraniem jego syna Tomasa. Otóż w przedmowie do tego drugiego wydania powiedziano, że Leonard Diggs za pomocą doświadczeń i matematycznych rachunków doszedł do takiej kombinacji soczewek szklanych ze sobą, iż niemi bardzo odległe przedmioty widziane być mogły,—z których to słów korzystając znakomity fizyk angielski Dawid Brewster (1781—1868) temuż Diggs'owi przypisuje udział w wynalazku lunety, chociaż

1) „Concavae lentae, quae longe sunt, clarissime cernere faciunt, convexae propinque; unde ex visus commoditate his frui poteris. Concavo longe parva vides, sed perspicua; convexo propinqua majora, sed turbida. Si utrumque recte componero noveris et longinqua et proxima majora sed clara videbis i t. d.“

2) Homocentricorum seu de stellis, Venet, 1538. Mówi on tu o działaniu różnych kombinacji soczewek, a między innemi znajduje się także ustęp: „Per duo specilla ocularia si quis perspiciat, altero alteri superposito majora multo et propinquiora videbit omnia.“

przeciw temu przemawia znów ta okoliczność, że Diggs mówi w swém dziele między innymi o ustawieniu szkieł pod różnemi kątami, skąd wynika, że pod tém nazwiskiem rozumiał on zwierciadła szklane a nie soczewki.

W przytoczonych dotychczas dowodach nie znajdujemy atoli takich, któreby nas upoważniały do przyznania stanowczo zasługi wynalazku lunety XVI-mu wiekowi. Cały ten czas, w którym żyli owi uczeni, można uważać za chwilę przygotowań, za okres, w którym zbierano powoli optyczne wiadomości i robiono próby zastosowania ich praktycznego. Jak się z pism Porty okazuje, główny interes chwili dążył do tego, aby ulżyć ludziom w chorobach ocznych, i na tém też opierała się praca ówczesnych optyków. Spójrzymy teraz na wiek XVII-ty.

W r. 1655, Piotr Borel (Borellus) nadworny lekarz króla francuskiego, wydał pismo bardzo ważne w naszej kwestyi ¹⁾, bo poparte sądowemi dokumentami, które aż do r. 1831 za jedynie wiarygodne świadectwo co do prawdziwej osoby wynalazcy lunety uchodziły. Treść jednego z tych dokumentów, spisane go 3 marca 1655 przed ławnikami i radcami miasta Middelburg (stolica niderlandzkiej prowincyi Zeelandyi) w streszczeniu jest następująca:

„Jan Zacharides zamieszkały w Middelburg, zeznaje, że teleskop odkrył w r. 1590 ojciec jego Zachariasz Joannides. Długość jego wynosiła 15 do 16 cali, a dopiero w r. 1618 udało się Zachariaszowi Joannidesowi wraz z synem dłuższe teleskopy skonstruować. Jeden z takich teleskopów подарował przez nich został księciu Maurycemu, gubernatorowi i najwyższemu wodzowi wojsk belgijskich, drugi zaś arcyksięciu austriackiemu Albertowi. W roku 1620 przybył do Middelburga, Adrian Metius, profesor matematyki w Alkmaar (w Holandyi) i próbował skopiować teleskop. Toż samo usiłował zrobić Korneliusz Drebbel, nadworny uczoney i przyrodnik króla angielskiego Jakóba VI. Siostra Zachariasza Joannidesa, imieniem Sara Goedarda, zeznaje i zapewnia, że widziała, jak jej brat robił takie teleskopy, nie może atoli dokładnie podać czasu tego wynalazku.“

Dokument ten, o którego wiarygodności możnaby trochę powątpiewać z powodu, że wszystkie w nim zawarte zeznania pochodzą od krewnych domniemanego odkrywcy lunety, znajduje swe potwierdzenie w innym, który zdaje się już być bezinteresownym. Jest nim list posta holenderskiego Boreliusza, datowany z Paryża 9 lipca 1655 r., a pisany w odpowiedzi na prośbę zwyż wspomnianego Borelego o ob-

¹⁾ De vero Telescopii inventore, cum brevi omnium conspiciendorum historia etc. Hagae. Dokumenty odnośne, które cytujemy tu w przekładzie i w skróceniu, podane są w całości w dziele: „Geschichte der Optik“ von dr. E. Wilde, Berlin 1838, t. I i ztamtąd to, jako też z dzieła: „Geschichte der Physik“ von T. C. Poggendorff, szczególnie ważniejsze czerpiemy.

jaśnienie i podanie szczegółów tego wynalazku. Treść jego jest następująca:

„Boreliusz, (Boreel Wilhelm, baron v. Vremdijke, urodzony w r. 1591 w Middelburgu), mieszkał chłopcem jeszcze będąc w pobliżu fabrykanta okularów Hansa (Jana), którego syn Zachariasz był jego przyjacielem i towarzyszem. Otóż słyszał on często, że Hans i jego syn wynaleźli mikroskopy, które podarowali księciu Maurycemu Nassauskiemu i arcyksięciu Albertowi, ten zaś ostatni podarował swój egzemplarz Korneliuszowi Drebbel, u którego Boreliusz, będąc posłem w Anglii, widział go po raz pierwszy. Według jego opisu, miał teleskop długości $1\frac{1}{2}$ stopy, średnicy 2 cale, tubus jego był połączony; stał na 3 spizowych delfinach, podstawa sama była z drzewa hebanowego. Patrząc przezeń na małe przedmioty, te ukazywały się znacznie większemi. Jako czas zaś wynalazku lunety podaje on rok 1610. Jedną z nich podarowali znowu wynalazcy księciu Maurycemu, który spodziewając się z tego odkrycia wielkich korzyści wojennych, trzymał je w tajemnicy, a nawet skłonił wynalazcę, opłaciwszy go należycie, do zamilczenia o niém. Gdy mimo tego w jakiś niewytłomaczony sposób wieść się o tém rozeszła, przybył pewnego dnia do Middelburgu jakiś człowiek nieznany z Hollandyi, badając za tą tajemnicą. Przypadek atoli zrządził, że nie trafił on do właściwego odkrywcy, lecz do mieszkającego w sąsiedztwie, a również fabrykanta okularów, Jana Lapprey'a. Ten zaś, człowiek dowcipny i zmyślny, wybadawszy należycie nieznajomego, według wskazówek tym sposobem otrzymanych, sporządził sam później teleskop i słusznie za drugiego wynalazcę uważanym być może, skoro rzeczy samój wprzód nie widziawszy, talentem swoim ją stworzył, a nawet na sprzedaż zaraz wystawiwszy rozpowszechnił¹⁾. Dopiero później, bo w r. 1620 cała ta sprawa się wykryła, gdy Adrian Metius i Korneliusz Drebbel do właściwego wynalazcy Zachariasza Joannidesa przybyli, aby poznać urządzenie teleskopów i one udoskonalić, co rzeczywiście przez włocho Galileusza skutecznioném zostało.“

W liście Boreliusza uderzającym jest, że na początku mówi on o wynalezieniu mikroskopów, a nie teleskopu. Że atoli nie rozumiał on przez to mikroskopu w tém znaczeniu, w jakim my dziś téj nazwy używamy, najlepszym tego dowodem jest opis narzędzia, którego

¹⁾ Przepisujący ten wynalazek przypadkowi, opowiadają, że dzieci Lapprey'a, bawiąc się raz w sklepie ojca swego, i przypadkowo trzymając w rękę dwie soczewki, jedną wypukłą, drugą zaś wklęsłą w należytej od siebie odległości, ujrzały z wielką uciechą koguta na wieży kościelnej, powiększonego i znacznie bliżej. To ich zdziwienie spostrzegł ojciec, o czém sam się już przekonawszy, dla większej wygody w dalszych doświadczeniach umocował oba szkła najprzód na deszczulce, — a później dopiero wpadł na myśl umieszczenia ich na końcach dwóch rur, z których jedna wewnątrz drugiej przesuwać się dozwalała.

tu nie przytoczyliśmy, a zawarty cokolwiek dalej w tymże liście ¹⁾. W tym względzie Huygens jest stanowczego zdania, że tak pojedyncze jak złożone mikroskopy później aniżeli teleskopy wynalezione zostały, gruntuje on zaś swój sąd na rozprawie wydanej w r. 1618 przez Hieronima Sirturus, a traktującej o lunetach, gdzie najmniejszej wzmianki o mikroskopach jeszcze nie ma.

Trzeci wreszcie przez Borelego w piśmie jego przytoczony dokument podaje wyraźnie Lapprey'a (zwanego także Lipperseim albo Lippershey) wyżej wzmiankowanego, jako prawdziwego wynalazcę lunety. Dokument ten, wystawiony dnia 3 marca 1655 przez ławników i radnych miasta Middelburga znajdujący się w aktach grodzkich, jest protokołem z przesłuchania trzech starców, Jakóba Wilhelma, Adolfa Kiema i Abrahama Juniussa, których, jako prawdopodobnie pamiętających o rzeczy, zaszłej przed 5 mniej więcej dziesiątkami lat, urząd miejscowy wezwał, aby dali o niej świadectwo, jako o sprawie interesującej honor i sławę miasta. Świadectwa tych trzech ludzi są zupełnie jednoznaczne, a mianowicie, że Jan Lapprey w roku 1610 pierwszy zaczął wyrabiać lunety, co oni w ten sposób popierają, że mieszkając w sąsiedztwie jego, mieli sposobność często o tém słyszeć a nawet te jego wyroby widzieć.

Jeżeli w całej tej sprawie najwięcej zaufamy słowom Boreliusza w liście jego wyrzeczonym, to byłby według nich Zachariasz Joannides, zwany także Jansen (czyli Janson, syn Jana) pierwszym wynalazcą lunety, zaś Lapprey czyli Lippershey drugim, pierwszy bowiem tylko przez zapłatę od publikowania swego wynalazku wstrzymany został. I rzeczywiście też aż do roku 1831 uchodził ogólnie Jansen za właściwego wynalazcę, przyczem różne małe niedokładności w datach do tego odkrycia się odnoszących, tłumaczono słabą pamięcią świadków przytoczonych w powyższych dokumentach. W roku atoli 1831 ukazały się wyciągi z archiwów hollenderskich, zebrane przez Jana von Swinden, profesora fizyki w Amsterdamie, a ogłoszone przez prof. Molla z Utrechtu, które stanowczo rozstrzygają rzecz sporną na korzyść Lippershey'a. Według tych aktów, wniósł 17 października 1608 roku powyższy już wspomniany Metius prośbę do Stanów generalnych o udzielenie mu przywileju na jego wynalazek, a treść tejże jest następująca: „Przed 2-ma laty po licznych próbach i myśleniu doszedł on do sporządzenia narzędzia, za pomocą którego odległe, zupełnie lub niewyraźnie widziane przedmioty, dokładnie widzieć można. Przyrząd obecnie przezeń przedłożony jest wprawdzie ze złego materiału i na próbę tylko zrobiony, ale według sądu księcia Maurycego z Nassau i innych, jest on również dobrym, jak przedłożony niedawno przedtem przez obywatela i fabrykanta okularów z Middel-

¹⁾ Jest tam ustęp taki: „videlicet microscopium Zachariae istius, nec erat (ut nunc talia monstrantur) curto tubo, sed fere ad sesquipedem longo...”

burgu. Nie wątpi on, że będzie mógł znacznie jeszcze ten przyrząd udoskonalić, tymczasem atoli uprasza o przywilej, na lat 22, mocą którego zabronionémby było każdemu, któryby się nie wykazał pierwszeństwem tego wynalazku, pod karą konfiskaty i grzywny sta guldenów takowe narzędzia sprzedawać albo kupować,—lub też w razie odmówienia takiego przywileju, prosi o wynagrodzenie go przyzwoitą kwotą.“ Na podanie to odpowiedziały Stany generalne, że nie mogą na ten wynalazek dać patentu, aż dopóki Jakób Metius nie doprowadzi go do większej doskonałości,—która to odpowiedź podobno tak go zgniewała, że zajmowanie się dalsze tym przedmiotem całkiem porzucił.

Nie mogły atoli Stany dać innej odpowiedzi Metiusowi, gdyż jak dokument archiwalny w Hadze znaleziony dowodzi, starał się już pierwój o taki przywilej wspomniany w nim fabrykant okularów, t. j. Jan Lippershey. W prośbie Lipperye'a podanej żąda patentu na lat 30, któryby wyłącznie jemu zabezpieczał wyrób narzędzia przez niego wynalezionego, a zarazem także i roczną pensyą, pod warunkiem, że tylko na własność kraju te narzędzia wyrabiać będzie Już 4 października 1608 r. wydelegowały Stany komisję złożoną z deputowanych każdej prowincyi, a to celem wypróbowania przyrządu na wieży pałacu namiestnika, a gdy ta swoje zrobiła w odpowiedzi zażądano od niego, iżby wynalazek swój tak udoskonił, żeby można było dwoma oczyma przez tę lunetę patrzeć,—następnie polecono zapytać się go, jak wielkiej nagrody żądać zamysła. Gdy atoli wkrótce poznano, że żądanie powyższe jest niesprawiedliwe i niewłaściwe, polecono komisji jeszcze raz rzecz zbadać i wypróbować, a w razie korzystnym obstałować u niego 3 takie przyrządy z kryształu górskiego, ale za cenę niższą aniżeli 1,000 guldenów, których on żądał. Komisya złożyła korzystny raport o spodziewanych pożytkach z tego przyrządu i zamówiła takowy za cenę 900 guldenów, z których 300 zaraz mu wypłacono, resztę zaś 600 guldenów obiecano wypłacić po wykończeniu lunety w oznaczonym terminie; co zaś do przywileju lub rocznej pensyi, nad tём przyobiecano dopiero się naradzić. Pośród właśnie tych rokowań z Lippershey'em wniósł swoje podanie Jakób Metius, i naturalna rzecz, że został z wymogami swemi oddalony,—ale nie wiele lepiej postąpiono i z pierwszym, skoro dekret z 15 grudnia 1608 mówi, że on wprawdzie żądany instrument, zastosowany do obojga ócz, z zadowoleniem komisyi wykończył, nie można mu atoli dać patentu, gdyż kilka innych osób również wie o nowym wynalazku; natomiast zaś zezwala się na zakupno u niego dwojga innych dwuocznych instrumentów za cenę 900 guldenów i pod dawnemi warunkami,—na co ostatecznie Lippershey się zgodził i 13 lutego 1609 r. zamówione narzędzia oddał.

Z aktów tych przez prof. Molla ogłoszonych dowiadujemy się ważnej rzeczy, a mianowicie, że pierwsze soczewki do lunet nie ze

szkła, lecz z twardszego odeń kryształu górskiego szlifowano,—porównując zaś okoliczności w nich przywiedzione z dokumentami Borelego, widzimy, że nieprawdą jest, jakoby Metius dopiero w r. 1620 przybył do Middelburga celem poznania lunety, skoro podanie jego o przywiléj datuje się już z r. 1608. Prócz tego myli się Boreli co do imienia Metiusa, pisząc go Adrian zamiast Jakób. Właściwe nazwisko jego nawet nie było Metius, lecz Adriansson, t. j. syn Adriana, który był inspektorem twierdz hollenderskich i autorem znanéj dziś powszechnie przybliżonéj wartości $113/355$ okręgu koła do średnicy. Tenże Adryan miał 4 synów, z których drugi z kolei Jakób, był uczniem sławnego astronoma Tychona Brahe, a z powodu zamítowania swego do matematyki otrzymał studentem będąc, przydomek Metius (od metior, mierzyć), który nietylko jemu pozostał na całe życie, ale nawet przeszedł na braci i ojca.

Co się więc tyczy pretensyi Jansena do pierwszeństwa w wynalazku lunety, to świadectwa za nim mówiące są tak małej wagi i wiary w porównaniu do przemawiających za Lippershey'em i to równie dawniejszych, jak np. dokument Borelego, w którym wszyscy trzej świadkowie jednogłośnie za nim świadczą, jak i późniejszych odnalezionych po r. 1831, że stanowczo odrzuconemi, a rzecz na korzyść ostatniego rozstrzygniętą być musi. Jako wynalazcę zaś tém lunety należy uważać Jana Lippershey'a, rok zaś 1608 jako rok tego wynalazku, a w ten sposób zarazem kończy się długi proces między Hollandyą a Anglią, która pod postacią owego Metiusa sobie zaśluge w całej téj sprawie przypisywała.

Wystąpiły atoli w szranki i inne jeszcze narody, a między nimi i Niemcy. Ich domorodnym wynalazcą lunety ma być Szymon Marius (właściwie Mayr, nadworny astronom margrabiego Grzegorza Fryderyka w Anspach, żyjący 1570—1624), a opierają swe pretensyo na następujących dowodach ¹⁾: W r. 1608 na jarmarku Św.-michalskim w Frankfurcie n. M. ujrzał tajny radca brandenburski Filip Fuchs v. Bimbach, wystawioną przez jakiegoś hollendra lunetę na sprzedaż i począł ją targować, gdy jednak okazało się, że szkło przedmiotowe miało skazę, a cena przytem była za wysoką, do zgody wzajemnéj nie przyszło. Bimbach powróciwszy do Anspach, opowiedział tamecznemu astronomowi Mariusowi o nowym instrumencie, ten zaś zaczął zaraz robić doświadczenia i próby z wklęstemi i wypukłemi soczewkami, aż wreszcie udało mu się złożyć lunetę. W roku 1609 miał już otrzymać Bimbach od Mariusa dobrą lunetę, zapomocą której 29 grudnia odkrył wrzekomo księżycę Jowiszowe, a obserwacye swoje ogłosił w kalendarzu z r. 1612, jako też w inném swoim dziele: „Mundus Jovialis etc.“ z r. 1614. Księżycę te nazwał on tam: „Si-

¹⁾ Servus H.: Geschichte des Fernrohres bis auf die neueste Zeit. 1885.

dera brandenburgica“ na cześć swych chlebobawców, których kosztem poprzednio przez 3 lata we Włoszech się kształcił i u których później był w usługach. — Otóż w całej tej sprawie wystarcza znów wiedzieć, że Marius trochę się spóźnił z swemi odkryciami i ich ogłoszeniem, gdyż Galilei toż samo pierwej, bo już w swém dziele „Sidereus Nuucius“ z r. 1610 ogłosił,—podania więc Mariusa są bardzo wątpliwój natury.

Tyle powiedzieć musieliśmy o Niemcach: przypatrzmy się w dalszym przeglądzie naszym pracom Włochów na tém polu.

(*dok. nast.*)

OPTYMIZM A TEORYE PAŃSTWOWE.

I. Hugo Grocyusz.

PRZEZ

*Eugeniusza Lipnickiego *)*.

„Ponieważ prawo naturalne nakazuje dotrzymać umowy, tą drogą powstało państwo ¹⁾. Ci bowiem, którzy się połączyli i poddali bądź to jednemu, bądź kilku osobom, albo wyraźnie, albo milcząco, jak przypuścić trzeba, przyrzekli posłuszeństwo rozporządzeniom albo większości spółników, albo tych, którym poruczono władzę” (Wstęp, 75).

Według Grocyusza jest więc umowa źródłem państwa. Teorya ta znalazła gorliwych wielbicieli i zaciętych przeciwników. Pomiedzy ostatnimi odznaczył się znany pruski teoretyk reakcyi, Stahl, który twierdził, że wymieniona teorya umowy całe dzieło Grocyusza czyni zdrożném, gdyż on pierwszy wynurzył zdanie, jakoby państwo nie miało w sobie samém źródła, wyższego od woli ludzkiej, lecz powstawało na mocy układu i nie miało téż własnego celu w sobie, lecz tylko służyło celom pojedynczych ludzi. Tak więc, powiada Stahl, Grocyusz wprowadził do nauki zasadę, która w dalszém rozwinięciu doprowadziła do Kanta i Rousseau'a, wreszcie do rewolucyi francuzkiej. Nauka, że

*) Dokończenie—patrz zeszyt za m. styczeń r. b.

¹⁾ Autor w tém miejscu kładzie wyraz: jus civile, przez co jednak nie rozumie prawa prywatnego, lecz wszelkie prawo istniejące w państwie, czyli tak zwane prawo pozytywne.

obowiązek posłuszeństwa opiera się tylko na wyraźnym lub milczącym układzie, wprawdzie w dziele Grocyusza nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa; atoli konsekwentnie rozwinięta musiała w 150 lat później obalić „porządek“ Europy. Tak to niepozorna garstka śniegu, która się oderwie z wierzchołka góry, spada do doliny jako potężna lawina! Nie wchodząc w rozbiór tej post mortem denuncyacji — jak trafnie nazwano oskarżenia Stabla, — ani też zastanawiając się bliżej nad samą teorią umowy, wystarczy nam zaznaczyć, że, wyjąwszy tych rzadkich a głównie protestanckich teoretyków, którzy władzę wyprowadzają wprost od Boga, aby dojść do wniosku: „cujus regio, illius religio,“ nawet bardzo prawowierni pisarze uznawali i uznawają, że źródłem władzy jest ogół, a zatem nie odrzucają tak zwaną zasadę zwierzchnictwa ludu (*souveraineté du peuple*). Czy państwo powstaje drogą umowy, czy innym sposobem, to rzecz mniejszej wagi, zwłaszcza, że z owęj przesłanki o umowie można wyprowadzić sprzeczne wnioski.

I tak skrajny przeciwnik Grocyusza, Hobbes, przypuszczał również umowę, którą jednak uzasadniał jedynie potrzebą przytłumienia powszechną wojny, jaka niby to istniała w pierwowstanie. Żądza pokoju, obawa przed niebezpieczeństwem — miały być powodem powstania państwa. Natomiast Grocyusz uważa to jako dalsze oddziaływanie zmysłu społecznego, a zatem też państwo wystawia jako instytucję nie tylko przypadkową i utylitarną lecz konieczną. „Zdanie Carneadesa — powiada — oraz innych, jakoby jedynie wzgląd na korzyść był ojcem prawa, nie jest słusznym. Bo matką naturalnego prawa jest sama natura ludzka, która nas skłania, bez względu na pożytek, wejść w związki społeczne; matką zaś państwa jest wynikająca z umowy powinność, czerpiąca swych sił z prawa naturalnego, tak, że natura może być uważana jako babka państwa.“ Nie przeczy jednak, aby to prawo naturalne nie odpowiadało także korzyści. „Twórca chciał, abyśmy jako jednostki byli słabymi i mieli różne potrzeby, które nas tym więcej skłaniają do życia społecznego. Tak samo utworzenie państwa uwzględnia także korzyść.“ A zatem państwo powstaje na mocy zmysłu społecznego, wskutek wolnej woli ludzi, zawierających umowę, wreszcie dla korzyści, jakich ludziom zapewnia trwały związek państwowy, władza, prawa cywilne i t. d. Wszystko to jest logiczne i rozumne, i nie zawiera w sobie żadnej z tych sprzeczności, których tam dopatruje się np. Kirchmann, który wszelkie prawo uzasadnia cudzą powagą (*autoritaet*), a więc hołduje zasadzie heteronomii, gdy Grocyusz stoi na nierównie wyższym i moralniejszym stanowisku autonomii.

Przypuszczenie pessimistów, jakoby państwo powstało tylko z obawy przed przewrotnymi popędami ludzkimi, niezawodnie jest obrazą godności ludzkiej, a zarazem powagi państwa. To też Grocyusz stanowczo potępia tę teorię. „Niesłusznym jest zdanie, jakoby prawo (cywilne) powstało tylko z obawy przed bezprawiem. U Platona

ktoś objaśnia to w ten sposób, że prawa zostały wymyślone z obawy przed uszkodzeniem i że ludzi niejako przemocą trzeba zmuszać do sprawiedliwego życia. Niezawodnie czasem do zabezpieczenia prawa potrzebna jest siła i w tym duchu Solon spełnił swe wielkie czyny, „łącząc siłę z prawem.“ Atoli prawo, pozbawione siły, nie traci wcale swęj doniosłości. Bo sprawiedliwość zapewnia spokój sumienia, bezprawie sprowadza tortury duszy, jakim według Platona ulega serce tyranów. Wszyscy uczciwi ludzie chwalą sprawiedliwość, a potępiają niesprawiedliwość“¹⁾. Słowem, Grocyusz nie zapomina nigdy o tych wyższych, moralnych czynnikach, które niekiedy zdolne są zastąpić prawo, a dopiero nadawają mu wartość i bez których najpiękniejsze prawa nie zdołają społeczeństwu zapewnić pomyślności.

Na jakich jednak podstawach przychodzi do skutku owa umowa, będąca początkiem państwa? „Umowa, za pomocą której łączy się pewien zastęp ojców rodzin w naród lub państwo, nadaje ogółowi wszelkie prawo wobec jednostek; jest to bowiem najdoskonalsza spółka i niema żadnej czynności ludzkiej, któraby się pośrednio lub bezpośrednio do niej nie odnosiła. Dla tego powiada Arystoteles, że prawa rozciągają się do wszystkiego“²⁾.

Z tego zdania możnaby wnosić, że Grocyusz również dochodzi do wszechwładzy państwa. Wszelako tak nie jest, bo państwo pojmuje on całkiem inaczej, niż Hobbes i pesymiści. Hobbes nie poprzestał na umowie wolnych ludzi celem utworzenia państwa, lecz wsunął jeszcze drugą umowę, czyli akt poddańczy, na mocy którego poddawają się ciałem i duszą władzy. Tylko w ten sposób mógł dojść do potwornego ideału wszechmocnego państwa-lewiathana, panującego bezwzględnie nad rozumem, sumieniem i mieniem poddanych. Tymczasem według Grocyusza zwierzchnictwo przynależy temu „doskonałemu ciału wolnych osób, które się stowarzyszyły, aby używać w pokoju swych praw celem spólnego pożytku.“ „Coetus perfectus liberorum hominum juris fruendi et communis utilitatis causa sociatus,“ a władza (potestas) o tyle tylko pochodzi od Boga, o ile potęga społeczna, której jest narzędziem, stworzoną została przez Boga. Tak tłumaczy się zdanie: „Omnis potestas a deo.“ Nowożytne godło, używane przez monarchów konstytucyjnych: „Par la grâce de Dieu et la volonté nationale,“ dokładnie odpowiada téj teorii Grocyusza, a wszechwładzy hobbesowskiej sprzeciwiają się stanowczo starsze od państwowych przyrodzone prawa ludzi, które Grocyusz nieustannie podnosi.

Będąc nie tylko filozofem i prawnikiem, lecz także niepospolitym znawcą dziejów, unika on błędów jednostronności. Zaznaczywszy więc, że „podmiotem ogólnym najwyższej władzy jest naród, podmiotem szczegółowym zaś osoba lub kilka osób według praw i zwyczajów

¹⁾ Prolegomena, § 19.

²⁾ Księga II, rozdział V, § 23.

każdego kraju“¹⁾, dowodzi i wyjaśnia licznymi przykładami z dziejów, że społeczeństwo może wprawdzie przelać wszystkie swe prawa na władzę, ale też może sobie zastrzedz znaczną część swych pierwotnych praw. Pessimista Hobbes twierdził, że społeczeństwo musi koniecznie wszystkie swe prawa przelać na władzę; idealistyczny optymistą J. J. Rousseau przeciwnie dowodzi, że społeczeństwo zastrzega sobie wszystkie prawa, tak, że władca pozostaje ciągle odwołalnym organem wykonawczym ogółu. Są to dwie skrajne, oderwane teorie, które w praktyce nie doczekały się nigdzie zastosowania. Umiarkowany a uwzględniający przedewszystkiēm rzeczywiste stosunki²⁾, Grocyusz najwięcej zbliżył się do tēj wielkiēj prawdy, że forma państwa nie jest abstrakcją, lecz zależy od czasu, temperamentu narodu, stosunków historycznych i geograficznych, które tłumaczą, dla czego w danym razie możliwą i odpowiednią być może forma republikańska, w innym razie nieograniczona monarchia. „Bo jak są różne tryby życia, z których jeden lepszy jest od drugiego, a każdemu przysługuje prawo wybrać, który mu się podoba, tak też naród może dowolnie wybrać sobie formę państwową, a prawo to nie zależy od wyższēj wartości tēj lub owēj formy (państwowēj), o czēm są różne zdania, lecz od wolnēj woli“ (Ks. I, rozdz. III, § 8).

W pierwszēj alternatywie naród przelewa wszystkie swe prawa na władzę. Zdaniem Grocyusza, jak jednostka ma prawo oddać się w niewolę, choć tego nie uczyni żaden człowiek zacy, tak też narodowi przysługuje prawo przelać wszelkie swe prawa na jednostkę lub kilka osób, nie zastrzegając sobie żadnych praw. Takie zupełne poddanie się może nastąpić z różnych powodów, np. wskutek wielkiego niebezpieczeństwa, z którego niema innego wyjścia, albo gdy w czasie powszechnego głodu nie może sobie innym sposobem zapewnić żywności, jakoż Kampanczycy dla tego poddali się Rzymowi. Dla czegóżby podobnym sposobem nie mógł naród poddać się pojedynczemu, potężnemu człowiekowi, zwłaszcza, gdy ten zapewnia mu znaczne korzyści? Nadto zważyć należy, że, jak to powiada Arystoteles, niektórzy mają skłonność do niewolnictwa. „Tak samo istnieją narody tego usposo-

¹⁾ „Subjectum ergo commune potestatis esto civitas, subjectum proprium est persona una pluresve, pro cuiusque gentis legibus ac moribus.“ Liber I: caput III, § 7.

²⁾ Z tego powodu J. J. Rousseau zarzuca mu: „Sa plus constante manière de raisonner est d'établir toujours le droit par le fait“ i mocno to gani („Le contrat social,“ I, 2). Atoli właśnie na tēm uwzględnieniu faktów polega główna zasługa Grocyusza. Na cōż się zda twierdzić, że może istnieć tylko państwo o nieograniczonēj władzy (Hobbes), albo też, że może istnieć tylko państwo o ograniczonēj władzy (Rousseau), — kiedy fakta temu się sprzeciwiają i wykazują, że może istnieć takie i takie państwo? Co innego, jako istnieć pow inno. Grocyusz zaś nigdzie nie twierdzi, aby powinno istnieć państwo despotyczne.

bienia, że lepiej umieją słuchać, niż rządzić.“ Tak np. Kapadoccy, gdy im Rzymianie ofiarowali wolność, woleli rządy króla, oświadczając, że nie mogą żyć bez króla. Tak też Philostratos w życiorysie Apoloniusza zauważa, że jest niedorzecznością obdarzać Traków, Mysiów i Gotów wolnością, ponieważ nie umieją z niej czynić użytku. Niekiedy też stosunki są takie, że tylko król ocalić zdoła państwo. „Z tych i innych powodów może się zdarzyć i zdarza się, że ludzie poddawają się pod panowanie i władzę jednostki, albo też grona osób, rządzących z wykluczeniem niższych warstw ludu.“

I tu Rousseau mocno się oburza na Grocyusza i na Arystotelasa, którzy nibytu skutek mieszają z przyczyną. „Każdy człowiek — powiada — urodzony w niewoli rodzi się dla niewoli, nic nie jest więc jej jasnym. Niewolnicy w swych kajdanach tracą wszystko, nawet pragnienie zrzucenia ich; kochają niewolę, jak towarzysze Odysseusza lubowali się w swém spodzeniu. Jeżeli więc są niewolnicy z natury, to dla tego, ponieważ utworzono niewolników wbrew prawom natury. Na mocy gwałtu powstałi pierwsi niewolnicy, własna podłość uwieczniła ich rodzaj.“ Niezawodnie brzmi to wszystko bardzo pięknie i wzniosłój, niż chłodne rozumowanie Grocyusza, atoli nie zgadza się z faktami. Jakim bowiem sposobem możnaby wytłómaczyć, że naród rzymski, przywykły przez tyle wieków do wolności, w stosunkowo tak krótkim czasie mógł się stać zdolnym znieść nie tylko panowanie Cezara i Augusta, lecz Tyberyusza, Caliguli, Nerona aż do Dyoklecjana i t. d.? Albo na odwrót, że narody, które przez kilka wieków jęczały pod bardzo ciężkim jarzmem np. tureckim, nagle na mocy bohaterskiego wysiłku stawają się całkiem godnymi wolności, rządów konstytucyjnych? Rzeczywiście więc, czy naród poddaje się nieograniczonej władzy, czy też zastrzega sobie wszelkie prawa, to jak słusznie na mocy faktów twierdzi Grocyusz, zależy od temperamentu, czasu, okoliczności, a w żadnym razie nie można zapewniać, że jedna lub druga alternatywa jest zasadniczo niemożliwą.

Nie na tém też zasadza się różnica pomiędzy ograniczoną a nieograniczoną władzą, czy ona powierzona jest gronu osób (np. w rzeczywospolitej arystokratycznej), lub jednostce (w monarchii), lecz na tém, ile praw sobie zastrzegli obywatele? Monarcha może być co do władzy bardzo ograniczony, w tym sensie Lafayette Ludwika Filipa przedstawił francuzom jako „najlepszą rzeczywospolitę“, a królowa angielska jest tylko wykonawczynią uchwał parlamentu; a natomiast w rzeczywospolitej może istnieć władza despotyczna, jak np. istniała w Wenecyi. Nie popadając w dawny błąd, Grocyusz wystrzega się przeciwstawiania monarchii a rzeczywospolitej, lecz przeciwstawia władzę nieograniczonej władzy ograniczonej. I dowodząc niezbitemi przykładami z dziejów, że pierwsza istniała de facto, a zatem istnieć może, jednak zawsze czyni zastrzeżenie, że nawet nieograniczona władza zobowiązana jest szanować pewne prawa, starsze od państwa. „Ci, co twierdzą, że, gdy nieograniczony monarcha nakazuje czyn niesprawic-

dliwy, nie trzeba usłuchać, mają słuszość i wszyscy uczciwi ludzie zgodzą się na to.“ „Królowie i bez wyraźnego zobowiązania muszą przestrzegać prawa naturalnego, bożkiego i międzynarodowego...“ O takiej nieograniczonej władzy, jakiej ideał wystawił nam Hobbes, w nauce Grocyusza nie może więc być mowy.

Przechodzimy do drugiej alternatywy. Ogół, zastrzegając sobie swe prawa, jednostce lub osobie zbiorowej powierza władzę ograniczoną, doczesną, odwoalną. I tak u Wandalów w Afryce, u Gotów w Hiszpanii lud królom powierzał władzę odwoalną i mógł ich zatem każdej chwili złożyć z urzędu. „Jeżeli władzca uzyskał tron na mocy pewnych warunków, natenczas władza jego jest ograniczona, bądź że jego zobowiązania odnoszą się do sposobu rządzenia, bądź do prawa samego; w pierwszym razie czyn sprzeczny zobowiązaniom jest nieważny, ponieważ przyrzeczenie daje temu prawo, który je otrzymał; w drugim razie czyn władzy będzie również nieważny, ponieważ niedostaje prawa“ ¹⁾. Król perski posiadał bardzo wielką władzę, jednakże wstępując na tron składał przysięgę i nie było mu wolno zmieniać niektórych kardynalnych ustaw. Królowie Egiptu, jak inni władcy wschodu, posiadali bardzo wielką władzę, jednak byli zobowiązani do przestrzegania różnych przepisów; za naruszenie ich nie mogli wprawdzie być oskarżeni za życia, atoli po śmierci wytaczano skargę, a uznani winnymi tracili zaszczyt uroczystego pogrzebu, który według religijnych wyobrażeń Egipcyan miał ogromną doniosłość. Jeżeli więc nawet nieograniczony monarcha zobowiązany jest przestrzegać pewnych praw, dla czegożby naród, wybierając monarchę, nie miał prawa ustanowić pewnych warunków? Dzieje na to liczne przytaczają przykłady. Niekiedy monarcha posiada władzę pod warunkiem, że ją utraci, jeżeli nie dotrzyma przyrzeczeń. Czy taka władza nie zasługuje na tytuł najwyższy? Owszem, tylko że tytuł własności stał się warunkowym, jak przy panowaniu na pewien ograniczony czas. Z teoryi o niepodzielności najwyższej władzy zawsze usiłowali korzystać ci, którzy chcą ją mieć nieograniczoną. Grocyusz wykazu-

¹⁾ Grocyusz swych przykładów prawie wyłącznie czerpie z dziejów starożytnych. Co do powyższego zdania byłby mógł powołać się na różne konstytucye społeczne. I tak prawo publiczne Polski bardzo dobitnie określało warunkowość tronu. Według „artykułów Henrykowych“ król przysięgał, że jeżeli nie dotrzyma obietnic, naród będzie uwolniony z posłuszeństwa. W Węgrzech istniało prawo insurekcji, zniesione dopiero w r. 1687. Bardzo ciekawy urząd piastował tak zwany „justitia“ w Aragonii; był to najwyższy sędzia, do którego mógł się każdy obywatel odwołać i który miał nawet prawo naród wezwać do broni, skoro król naruszał konstytucyą. Wprawdzie król mianował tego najwyższego sędziego, ale tylko sejm generalny (cortes) mógł go złożyć z urzędu. Podział władzy, rozdział sądowniczej od wykonawczej władzy króla, był więc wtedy ściśle przeprowadzony w królestwie aragońskim.

je, że ta teoria nie jest bezwzględnie słuszną, gdyż najwyższa władza może być podzieloną tak do swych funkcyj, jako też co do osób. I tak w cesarstwie rzymskiem zdarzało się, że jeden cesarz rządził zachodem, drugi wschodem, niekiedy zaś rządziło równocześnie w zgodzie z sobą kilku cesarzy. Tak samo naród może władzcy oddać nieograniczone prawo co do pewnych spraw, zaś co do innych zastrzedz sobie wszelkie prawa. I tak np. u macedończyków „zdradę stanu według dawnego zwyczaju sądziło w czasie wojny wojsko, w pokoju lud, królowie nie mieli w tej sprawie żadnej władzy, dopóki nie przemówiło wojsko albo lud.“ W Rzymie pierwszych czasów istniało prawo odwołania się od wyroku króla do ludu i t. d.

Pytanie, jak powinien się zachować naród, skoro najwyższa władza wydaje rozkazy nieprawne? nie istnieje wcale dla zwolenników teorii o wszechmocnym państwie, będącym wyłącznym źródłem wszystkich praw; cokolwiek bądź bowiem nakaze najwyższa władza, tém samem jest sprawiedliwem i słusznem. Natomiast Grocyusz oświadcza: „Żaden uczciwy człowiek nie wątpi, że jeżeli władza nakazuje coś, co się sprzeciwia prawu naturalnemu lub przykazaniom Bożym, nie potrzebujemy usłuchać rozkazu. Gdy bowiem apostoł rzekł, że trzeba więcej słuchać Boga niż ludzi, powoływał się na niewątpliwą zasadę, wrytą każdemu w serce i którą już Plato wypowiedział mnieję więcej w tych samych słowach.“ Że w takim razie zwłaszcza chrześcianom dozwolony jest tylko opór bierny, Grocyusz wyjaśnia licznemi znanemi zdaniaimi z Ojców kościoła. Z swęj strony opór czynny uważa jako uprawniony tylko wtedy, jeżeli władzca, wykonywujący rządy z polecenia narodu, zgwałci prawo lub interes kraju, jak to uczynił lacedemoński król Pauzaniasz; powtóre, jeżeli król w nieprzyjacielskim zamiarze prowadzi naród do zguby, bo wola panować z wolą zgubić naród nie mogą istnieć ze sobą, kto więc naraża naród umyślnie na zgubę, tém samem utracą władzę ¹⁾; po trzecie, jeżeli król nie dotrzymał przyrzeczeń, a wybrany został pod warunkiem, że gdyby ich nie dotrzymał, poddani będą zwolnieni z posłuszeństwa; po czwarte, jeżeli w państwie, w którym władza podzieloną jest pomiędzy królem a narodem lub senatem, król przywłaszcza sobie prawa, które do niego należą; wreszcie, jeżeli przy nadaniu władzy wyraźnie naród zastrzegł sobie na pewne przypadki prawo oporu (jak to rzeczywiście w różnych konstytucjach miało miejsce). Te to właśnie teorye T. Hobbes odrzuca stanowczo i potępią jako „buntownicze.“

¹⁾ Grocyusz w tém miejscu zauważa, że nie może się zdarzać, aby władzca posiadający swo zmysły, nastawał na zgubę narodu. Jednakże, gdy panuje nad różnemi narodami, może się zdarzyć, że na korzyść jednego z nich pragnie zgubić drugi „aby tam założyć kolonje.“ Oczywiście patriota holandzki miał na myśli system rządowy hiszpański, praktykowany w Belgii i Hollandyi.

Reasumując wywody Grocyusza dochodzimy więc do następującego rezultatu: Zwierzchnictwo, potestas, moc, albo jak się wyraża Trentowski: Mość pospolita (wyraz souveraineté du peuple nie był jeszcze znany za czasów Grocyusza) przysługuje narodowi; ten całą swą moc może przelać na nieograniczoną władzę, która jednak powinna szanować prawo naturalne, starsze od państwa; albo też naród może tylko pewną część swój mocy przelać na władzę, która wtedy jest ograniczoną bądź to co do czasu, jak w rzeczypospolitej, wybierając prezydenta na pewien peryod, bądź co do swych funcyi, jak w monarchii konstytucyjnej. Taka ograniczona władza musi przestrzegać nie tylko naturalnego prawa, lecz także tych wszystkich ustaw (konstytucyi), na mocy których powstała. Zawsze zaś stosunek pomiędzy władzą a społeczeństwem opiera się na prawie naturalnym, moralnym lub państwowym, ale na prawie.

W tej mierze teorye Grocyusza pozostawiają w skrajnej sprzeczności z zasadami tych, którzy albo źródła wszelkiego prawa dopatrują się w rozkazach nieograniczonej władzy, albo też twierdzą, że prawo o tyle tylko ma doniosłość, o ile po jego stronie znajduje się siła, że zatem np. w monarchii konstytucyjnej o wszystkich kwestiach spornych ostatecznie rozstrzyga jedynie siła, z czego wynika, że monarcha, jeżeli ma po temu siłę, może po prostu zniweczyć konstytucyą, i przywłaszczyć sobie wszechwładzę, naród zaś o tyle tylko może się domagać przestrzegania konstytucyi i opierać się jej pogwałceniu, o ile ma do tego siłę. To twierdzi mianowicie niemiecki komentator Grocyusza Kirchmann.

Przed Grocyuszem najdobitniej tę teoryą „siły przed prawem“ wygłosił Macchiavelli ¹⁾ w swém znaném dziele „O księciu.“ Wykła-

¹⁾ Niccolo di Bernardo dei Macchiavelli urodził się 3 maja 1469 r. w Florencyi, nauki pobierał u Marcellego Virgiliusza, pod tegoż kierownictwem r. 1494 wstąpił do służby publicznej a gdy Virgiliusz r. 1498 został kanclerzem, Macchiavelli otrzymał urząd sekretarza stanu. Na tém stanowisku prowadził układy rzeczypospolitej florenckiej z obcemi państwami, równocześnie posłował 23 razy w Francyi, Rzymie i Niemczech. Gdy w r. 1512 rodzina Medyceuszów powróciła do Florencyi, Macchiavelli utracił urząd, a podejrzany o udział w spisku został uwięziony, następnie osiadł na szczupłym majątku Strada, pod San Casciano. Tu napisał dzieło „Il principe“ dla Wawrzyńca Medyceusza, bardzo otwarcie, a raczej cynicznie wyrażając powód napisania tej książki w liście do Vettori, posła florentyńskiego u Watykanu: „Nędza zmusza mnie ogłosić to dzieło, nie mogę dłużej pozostać w tém położeniu, bez narażenia się przez moje ubóstwo na pogardę. Oby Medyceuszowie zechcieli użyć moich zdolności; jeżeli przeczytają moje dzieło, poznają, że nie przespałem 15-letniej służby państwowej. Człowieka tak doświadczonego powinien każdy użyć. Moja dotychczasowa uczciwość—mam teraz lat 43—i moje ubóstwo najlepiej ręczą za moją wierność.“ Jednakże Medyceuszowie nie ufali takiemu człowiekowi,

da on tam sposób, jakim monarcha (książe) może się upewnić w nowonabytej władzy. O prawie, bądź naturalnym, bądź innym niema wzmianki. Przemoc i podstęp są jedynymi środkami, które Macchiavelli zaleca księciu, ludzi uważa jako stworzenia mierne i bezrozumne, w obec których wszystko wolne. Żaden z późniejszych pesymistów, nie wyjąwszy Schopenhauera, nie wypowiedział aforyzmów więcej obraźliwych dla ludzkości. „Ludzi trzeba albo pochlebstwami przywieść do posłuszeństwa, albo od razu zgnieść, z powodu bowiem drobnej obrazy mszczą się, za wielką zemścić się nie mają siły. Każda więc rana powinna im być zadana w sposób tak stanowczy, aby odwet był nie możliwy.“ „Ludzie z natury są podejrzliwi i tak chwiejni, że łatwo pozwalają coś wmówić w siebie, ale rzadko dadzą się utrzymać przy tej wierze; gdy więc przestaną ci wierzyć, musisz mieć siłę, aby ich utrzymać w posłuszeństwie.“ „Okrucieństwa powinny być wykonane na raz, aby o nich mniej rozmawiano i rozmyślano.“ „Ktoby usiłował postępować zawsze moralnie, zginie wśród tłumu, który o moralności nie myśli; dla tego władzca, aby się utrzymał na tronie, musi być zdolnym, działać w danym razie niemoralnie i zastoso-
wywać swe postępowanie zawsze do okoliczności.“ „Bezpieczniej dla księcia, aby się go obawiano, aniżeli aby go kochano.“ „W ogóle

nie powierzono mu żadnej z wpływowych posad rządowych, lecz otrzymał polecenie napisania dziejów Florencyi. Z zadania tego wywiązał się tak świetnie, że np. Napoleon I oświadczył: „Tacyt pisał romanse, Gibbon jest deklamatozem, Macchiavelli jest jedynym dziejopisarzem, którego warto czytać.“ Rzeczywiście był to pisarz niepospolitych zdolności, ale człowiek bez charakteru. To też po upadku Medyceuszów w r. 1527 wystąpił natychmiast znowu w roli gorliwego republikanina, atoli nie otrzymał posady sekretarza stanu, o którą się ubiegał, i umarł już 22 czerwca r. 1527. Florentyńczyk Varchi, który go znał doskonale, pisał o nim: „Namiętna nienawiść wszystkich obywateli przeciwko Macchiavellemu tłomaczy się tak cynizmem, jakim się popisował w słowach i rozmowach, jako też niemoralnym życiem, przedewszystkiém zaś jego dziełem o księciu, które ofiarował Warrzyńcowi de Medici, aby tenże mógł się stać samowładnym panem Florencyi. W tém bowiem dziele, które zasługuje nie tylko na nagane, lecz na zniszczenie, zdawał się pouczać ludzi o sposobie, jakby bogatym odebrać miennie, ubogim cześć, a jednym i drugim wolność. Z śmierci jego cieszyli się, co pewnie nigdy już nie zdarzy się, tak uczciwi, jak przewrotni, ponieważ pierwsi uważali go jako człowieka bezpiecznego, drudzy zaś widzieli w nim człowieka nie tylko od siebie gorszego, lecz także mędrszego i rozumniejszego: jednak w obojętciu był dla wszystkich grzeszny, dla przyjaciół usłużny, poszukujący chętnie towarzystwa najlepszych ludzi, i byłby zasługiwał na to, aby go przyroda była zaopatrzyła w mniej zdolności, albo w więcej charakteru.“ Im łatwiej w kolejach losu Macchiavella a Grocyusza dopatrzeć się pewnych analogii, tém więcej jasnieje uczciwość i cnota drugiego obok przewrotnego charakteru pierwszego.

ludzie są niewdzięczni, zmienni, skryci, podli w niebezpieczeństwie i chciwi zysku; dopóki im wyświadczasz dobrodziejstwa, udawają, że gotowi wszystko poświęcić dla ciebie—dopóki niebezpieczeństwo jest dalekie; gdy się zbliży, zbuntują się przeciwko tobie; władzca, który ufa ich słowom, zginie.“ Władzca nie potrzebuje dotrzymać słowa. „Ludzie są tak głupi i tak zależą od wrażeń chwilowych, że kto ich chce podejść zawsze znajduje takich, co się dadzą oszukać.“ „Być zawsze uczciwym, jest rzeczą nader szkodliwą, ale wydawać się pobożnym, ludzkim, uczciwym, to dla władzcy pożyteczne...“ Kogóż zdziwi, że głosiciel takich zasad jako nadzwyczaj zręczny a zatem też dozwolony środek rządzenia wystawia następujący złoczyńca Cezara Borgia: „..., Opanowszy Romagnię poznał, że ta prowincya wrzała od walk stronnicych, rozboju i wszelkich gwałtów. Aby przywrócić zupełny porządek, zamianował swym namiestnikiem Remira d'Orco, człowieka energicznego i srogiego, i powierzył mu nieograniczoną władzę. Namiestnik w krótkim czasie przywrócił porządek. Potem jednak księciu zdawało się, że ta nieograniczona władza namiestnika mogłaby się stać szkodliwą, ponieważ mogłaby wywołać nienawiść. Aby tę złagodzić, ujął sobie lud i wmówił weń, że popełnione okrucieństwa nie były skutkiem swych rozkazów, lecz srogiego usposobienia namiestnika, dnia pewnego rozkazał go rozszarpać i trupa wystawić na rynku w Cezenie z kawałkiem drzewa i krwawym mieczem u boku. Na to okrutne widowisko lud był poniekąd zadowolony i osłupiał!...“

III.

Najważniejszym argumentem, na który powoływali się i zawsze powoływać będą pesymiści, pozostanie: wojna. Napróżno sławni wojownicy zapewniają nas, że wojna nie tylko nie jest zgrozą, lecz przeciwnie przyczynia się do wyzdrowienia narodów, obudzając wśród nich najszlachetniejsze cnoty męskie (Moltke). Nawet, gdyby to było prawdą, trzebaby zapytać się, cóż to warte cnoty, które obudzone być mogą tylko tak srogimi środkami? Napróżno statyści tłómaczą nam wojnę jako konieczną konsekwencyą pokoju: „La guerre en général est une conséquence de l'état de paix“ (Funk-Brentano). I napróżno ekonomiści wykazują cyframi, jak to pożyteczną i potrzebną jest rzeczą, aby co kilkanaście lat tyle a tyle set tysięcy ludzi poległo na pobojowiskach, usuwając tym sposobem niebezpieczeństwo przeludnienia ziemi. Człowiek pałający gorącą miłością ludzi, w wojnie nie przestanie widzieć dzieła Kaina ¹⁾, i jako ideał uważać będzie

1) „Homidicia compescimus et singulas caedes? Quid bella et occisurarum gentium gloriosum scelus? Non avaritia, non crudelitas modum novit... Ex senatus consultis plebisque scitis saeva exententur, et publice jubentur votita privatim.“ Seneca.

taki ustrój międzynarodowy, aby możliwe spory były załatwione nie z zabójczą bronią w rękę, lecz za pomocą uchwał parlamentarnych, sądów rozjemczych, kongresów i t. d. Wyszadzane usiłowania „ligi pokoju“ i licznych tego rodzaju stowarzyszeń angielskich, zasługują więc na wszelką pochwałę, choć na teraz pono nie można się po nich spodziewać pożądanego owocu.

I za czasów Grocyusza byli tacy, którzy zwłaszcza ze stanowiska teologicznego, wojnę uważali jako niedozwoloną. Odznaczył się w téj mierze sławny Erazm z Rotterdamu. Grocyusz jednak był za nadto mężem stanu, aby nie rozróżniać pomiędzy słusznym ideałem a tém, co na razie da się osiągnąć. Przypomnijmy sobie tylko, że pisał w chwili, gdy się jeszcze nie skończyła 80-letnia wojna o niepodległość Holandyi, a już się rozpoczęła 30-letnia wojna w Niemczech, nie wspominając o innych wielkich wojnach, które równocześnie wrzały w różnych stronach Europy! Jakkolwiek więc logicznie z teoryi Grocyusza o solidarności społeczeństwa ludzkiego wynika wniosek, że wojna powinna ustać, autor nasz poprzestał jednak na tém, aby ją uczynić mniej okrutną i właśnie w téj mierze zaskarbił sobie ogromne zasługi, ponieważ idąc za jego wskazówkami, coraz dokładniej zaczęto rozróżniać pomiędzy walczącymi wojskami a ludnością cywilną, która i w czasie wojny powinna doznawać jak najmniej przykrości; powtóre zaś, wyjaśniając gruntownie sprawiedliwe a niesprawiedliwe przyczyny wojny i piętnując należyte wojnę, podjętą z przyczyn niesprawiedliwych, starał się uczynić wojnę rzadszemi.

Któreż więc są sprawiedliwe przyczyny wojny?

Jak każda jednostka, tak też naród (państwo) posiada przyrodzone prawo niepodległości, równości, samozachowania, uszanowania swej godności, zawierania traktatów i t. d. Jako „osoby moralne“ czyli zbiorowe, narody wszystkie są sobie równe. Jak pomiędzy ludźmi różnica zdolności, majątku, siły i t. d. nie znosi zasadniczej przyrodzonej równości, tak też bez względu na obszar kraju lub potęgę, wszystkie narody (państwa) posiadają to samo prawo nietykalności. Mała Szwajcaryja posiada je w tym samym stopniu, jak olbrzymie państwo chińskie. Bronić swéj nietykalności i niezależności jest więc pierwszym przyrodzonym prawem a zarazem obowiązkiem każdego narodu, i każda podjęta w tym celu wojna będzie sprawiedliwa.

„Wojna, podjęta celem zachowania życia i członków, tudzież obrony lub uzyskania niezbędnych do życia warunków, nie sprzeciwia się prawu naturalnemu... Ku temu przyroda zaopatrzyła wszystkie stworzenia odpowiedniami członkami obrony, człowieka rękami, zdolnemi wyrabiać broń najskuteczniejszą; ale także rozum i zmysł społeczny nie zabrania w takim razie użyć siły. Zabronioném użycie siły jest tylko o tyle, o ile gwałcąc prawa bliźniego, narusza kardynalne zasady społeczeństwa. Celem społeczeństwa jest spólnemi siłami zabezpieczyć każdemu, co mu się należy. Otóż życie, członki, wolność — przysługują każdemu, a kto ich pożąda, narusza prawo społeczne.

W takim razie zagrożony prawnie ucieka się do walki. Stuszenie bowiem zauważa Ciceró: *Quid est, quod contra vim fieri sine vi possit?* Podobnie oświadcza Ulpianus: „Cassiusz powiada, że wolno siłę odeprzeć siłą, to jest prawo natury.“ Owid był oświadczył: *Armaque in armatos sumere jura sinunt.* (Ks. I, rozdz. II). Prawo obrony jest najważniejszém z praw przyrodzonych. Atoli, aby wojna podjęta w tym celu była sprawiedliwą, potrzeba, aby napaść była rzeczywista. Nie wolno zaś chwytac za broń z samego podejrzenia, że sąsiad żywi wrogie zamiary. To bywa często niesprawiedliwym pretekstem wojny, często też właśnie z owój podejrzliwości wynikają wojny niepotrzebne. Trafnie uważa Thucydýd: „Przyszłość jeszcze ciemna, a zatem niesłusznie, już w terażniejszości rozpoczynać wojnę,“ i opisując złowrogie skutki wojen domowych w Grecyi, ubolewa, że ten tylko dostępuje chwały, który uprzedza tych, co mu niby to zamierzają wyrządzić krzywdę. (Ks. II, rozdz. I). „W żadnym razie nie jest wolno, jak twierdzą niektórzy, rozpoczynać wojny, aby zapobiedz wzrostowi potęgi, która kiedyś mogłaby się stać niebezpieczną. Wprawdzie przy naradach o wojnie i ten wzgląd może wejść w rachubę, ale nie jako argument prawny, lecz tylko uylitarny; to znaczy, że wojna skądinąd sprawiedliwa, w takim razie wyda się także mądrą. Atoli nie mogą przyznać, aby możliwość, że państwo będzie wystawione na pogwałcenie, dostarczała mu już prawa, użycia gwałtu. Życie ludzkie jest takie, że nigdzie nie mamy zapewnionego zupełnego bezpieczeństwa. Przeciwno możliwym ale niepewnym niebezpieczeństwom trzeba szukać opieki w Opatrzności Bożej lub w innych rękojmiach, ale nie w zbrojnej zaczepce.“ (Ks. II, rozdz. 1, 17). Przez te „inne rękojmie“ Grocyusz oczyście rozumie przedewszystkiém sojusze narodów mniejszych, którym mogłoby zagrażać niebezpieczeństwo od zbyt wzrastającego w potęgę sąsiada, i niezawodnie ta zasada federacyi słabszych przeciwko potężnym organizmom zcentralizowanym bardzo znacznie przyczyni się do ustalenia prawa międzynarodowego.

Drugą sprawiedliwą przyczyną wojny jest obrona własności względnie odzykanie zabranój nam. Własność trzeba tu rozumieć w najszerszém znaczeniu wyrazu. Terytorjum należy tak samo do istoty państwa, jak członki stanowią integralną część organizmu ludzkiego. Napaść na terytorjum stanowi więc już powyżej wymienioną pierwszą sprawiedliwą przyczynę wojny. Atoli państwa mają obowiązek bronięcia jeszcze innych praw własności. I tak np. zabranie okrętów państwowych na dalekiem morzu przez drugie państwo, choć nie jest napaścią na terytorjum, pierwszemu niezawodnie dostarcza sprawiedliwego powodu do wojny. Tak samo ukrzywdzenie pojedynczych obywateli w obczyźnie dostarcza państwu prawa domagania się należytego zadośćuczynienia, ewentualnie rozpoczęcia wojny. Zasadę tę w nowszych czasach praktykuje najściślej Anglia, w starożytności surowo obstawało przy niej państwo rzymskie, tak, że sławne „*civis sum romanus*“ było poważną tarczą każdego obywatela rzymskiego w ob-

czyźnie. Przez odzyskanie zabranéj nam własności rozumie się tutaj także wymuszenie na drugiem państwie tego, co nam winne. W téj myśli oświadczył Platon: „Wojna toczy się nie tylko jeżeli ktoś został przemocą napadnięty lub zrabowany, lecz także, jeżeli został oszukany.” Z tém zgadza się zdanie Seneci: „Najsprawiedliwszą zasadą prawa narodów jest ta: daj, co jesteś winien.” Zapowiadająca wojnę formułka rzymskich feycalów opiewała: „Nec dederunt, nec solverunt, nec fecerunt, quas res dari, fieri, solvi oportuit.“ I tak 6-ty Augustyn oświadcza: „Wolno wytoczyć państwu wojnę, jeżeli się wzbrania ukarać popełnioną przez swych poddanych zbrodnię, lub oddać, co nieprawnie zabrał.”

Tu następuje się pytanie, w którym razie zmiana terytoryalna, będąca skutkiem wojny, staje się prawowitą? Hugo Grocyusz w téj mierze wygłosił już niektóre z tych zasad, które uważane są dziś jako dowód wielkiego postępu w cywilizacyi, ale niestety dziś jeszcze nie weszły powszechnie w prawo międzynarodowe. I tak twierdzi, że przy odstąpieniu pewnej części państwa (prowincyi) nie wystarcza przyzwolenie całości, t. j. władcy w nieograniczonej monarchii, władcy i parlamentu w monarchii konstytucyjnej, lecz potrzeba nadto przyzwolenia odstąpionej prowincyi: „In partis alienatione aliud insuper requiritur, ut etiam pars, de qua alienanda agitur, consentiat“ (Ks. II, rozdz. VI, 4). Według téj zasady Francya w r. 1859 nie zadowoluiła się przyzwoleniem króla i parlamentu włoskiego, lecz zarządziła powszechne głosowanie w Nicei i Sabaudyi. Natomiast ks. Bismarck nie uwzględnił owéj zasady ani przy aneksyi Szleswigu i Holsztynu, Hanoweru, Frankfurtu, ani przy aneksyi Alzacyi i Lotaryngii. Na odwrót, według teoryi Grocyusza oderwać się od całości część dopiero wtedy ma prawo, jeżeli w inny sposób ocalić się nie może, bo „in omnibus iis, quae humani sunt instituti, excepta videtur necessitas summa, quae rem reducit ad merum jus naturae“ (Ks. II, rozdz. VI, 5). Nie mniej ważną jest wygłoszona na inném miejscu zasada: „Jeżeli dwa narody złączą się w jeden, prawa ich nie giną, lecz stawają się spólnymi“ (Ks. II, rozdz. IX, 9).

Słowem, Grocyusz nigdy nie pojmuje państwa jako proste terytoryum, które, jako rzecz bierna, może być wystawione na wszelkie dowolne kombinacye i vivisekcyje dyplomatów i zdobywców, lecz zawsze ma na oku naród, jako zbiór obdarzonych przyrodzonymi prawami ludźmi, których przyzwolenia wymaga każda prawna zmiana granic państwowych. Pomimo nauki Grocyusza owa teoria czysto terytoryalna przeważała zwłaszcza w XVIII-ym wieku. Wtedy dyplomaci liczyli tylko milami kwadratowemi, nie troszcząc się bynajmniej o zdanie ludności. W ten sposób wyposażano ambitnych książąt hiszpańskich i innych kosztem Włoch, uważanych wtedy jako „pojęcie geograficzne,“ w tenże sposób Fryderyk II zajął Szlązk i t. d. Natomiast nauka Grocyusza mocno się zbliża do nowożytnéj zasady naro-

dowości, która jednak dotąd przynajmniej w znacznej części także służyła wielkim mocarstwom jako pretekst do zaborów.

Trzecią sprawiedliwą przyczyną wojny jest obrona sprzymierzeńców, przyjaciół, a nawet wszystkich uciśnionych. Obzernie to wykłada Grocyusz w rozdziale 25-ym księgi II-jej: „O przyczynach toczenia wojny dla drugich.“ Obok poddanych, powiada tam, i na równi z niemi bronić trzeba sprzymierzeńców, jeżeli była wzajemna pomoc umówiona. Ambrozyusz zauważa: „Kto od sprzymierzeńca nie odwraca krzywdy, gdy to może uczynić, jest tak samo winnym, jak ten, który ją wyrządza.“ Jednakże umowy takie nie powinny być zawarte celem rozpoczęcia niesprawiedliwej wojny. Dla tego Lacedemonczycy, zanim rozpoczęli wojnę z Ateńczykami, zapytali wszystkich sprzymierzeńców co do sprawiedliwości tego zamiaru; to samo pytanie przedłożyli Rzymianie Grekom przed wojną przeciwko Nabisowi. Przyjaciołom, choćby pomoc nie była obiecana, trzeba jej dostarczyć, jeżeli to uczynić możemy bez narażenia się na straty. Tak Abraham wziął się do broni celem poparcia swego krewnego Lotha; tak Rzymianie Antiberom zabronili piraterji przeciwko Grekom, jako pokrewnym Italików, i niejednokrotnie rozpoczynali wojnę lub grozili nią w obronie nie tylko sprzymierzeńców, lecz także przyjaciół. Ostatecznie solidarność ludzkości zobowiązuje do udzielania sobie nawzajem pomocy. W tym duchu oświadcza Seneca: „Ludzie zrodzeni są na to, aby sobie nawzajem dopomagali.“ Eurypides powiada: „Przytulku dostarczają dzikim zwierzętom skały, niewolnikom ołtarze, miastu nawiedzonym nieszczęściem miastom,“ a według Ambrozyusza: waleczność, użyta na obronę słabych, jest zawsze sprawiedliwą. Menander zauważył: „Gdyby każdy uważał się pokrzywdzony krzywdą bliźniego i karcił niecnym autorów bezprawia, gdybyśmy w tym duchu działali zespolonemi siłami, niewinni nie upadaliby pod zuchwałą napaścią przewrotnych.“ Lactantius tę samą myśl wyraził w słowach: „Twórca wprawdzie nie obdarzył zwierząt rozumem, ale wyposażył je w naturalną broń od niebezpieczeństwa. Człowiekowi, którego stworzył nagiego i wiotkiego, dał rozum, tudzież zmysł miłości, na mocy którego człowiek broni, kocha, wspiera bliźniego i dostarcza mu pomocy w niebezpieczeństwie.“ Zdania te i podobne całkiem przystawają do optymistycznego systemu Grocyusza, a pozostawają w rażącej sprzeczności z teoryami pessimistów, tudzież z tą praktyką międzynarodową, która dziś przeważa i w pesymizmie znajduje swe filozoficzne uzasadnienie.

Przechodząc do niesprawiedliwych przyczyn wojny (ks. II, rozdz. 22), Grocyusz nasamprzód rozróżnia pomiędzy przyczyną a pretekstem. I tak co do wyprawy Aleksandra W. przeciwko Daryuszowi krzywdą, którą Persowie dawniej wyrządzili Grekom, była pretekstem, zaś żądza sławy, potęgi i bogactw obok nadziei powodzenia, przyczyną. Pretekstem do drugiej wojny samnickiej był spór o Sagunt, zaś przyczyną oburzenie Kartagińczyków z powodu ciężkich warunków pokoju

jakie im nałożyli byli dawniej Rzymianie, tudzież podniesiona wskutek powodzenia w Hiszpanii odwaga. Podobnie zauważa Thucydides: „Właściwym powodem wojny peloponezyckiej była wzrastająca potęga Ateńczyków, która obudziła nieufność Lacedemończyków, pretekstem zaś spór o Korczyę.“ Tę samą różnicę robili Kampańczycy, gdy oświadczyli Rzymianom, że przeciwko Samnitom walczyli niby to celem obrony Lidyńczyków, w rzeczywistości zaś w własnym interesie, ponieważ zrozumieli, że po zgnieceniu Lidyńczyków przyjdzie kolej na nich samych. O Antiochusie opowiada Liviusz, że rozpoczął wojnę przeciwko Rzymowi niby to z powodu zabójstwa Bercillesa i innych, rzeczywiście zaś, ponieważ wzmagające się w wojskach rzymskich bezkarność obudziła w nim nadzieję zwycięstwa. Idąc za Grocyuszem, moglibyśmy z ostatnich trzech wieków przytoczyć mnóstwo przykładów, wyjaśniających różnicę pomiędzy przyczyną a pretekstem wojny. Właśnie w tym punkcie znaczne uwagi Grocyusza najmniej odniosły skutku, ponieważ dyplomacy coraz zręcznej umie właściwe przyczyny wojny ukrywać pod fałszywymi pretekstami. Poprzestaniemy jednak na jednym przykładzie. Pretekstem do pierwszej wojny szląskiej r. 1740 były rzekome pretensje pruskie do kilku księstw szląskich. Właściwą przyczyną zaś napadu pruskiego była ambicja młodego Fryderyka II oraz trudne położenie w jakim się znajdowała młoda królowa Marya Teresa. Sam Fryderyk II w swej autobiografii oświadczył: „wystawcie sobie gotowe do marszu wojsko, pełne kasy i chęć zarobienia sobie na sławę, wszystko to spowodowało króla do wojny z Maryą Teresą.“ Wprawdzie Voltaire, który pomimo swego cynizmu, lubiał przestrzegać pozorów, zgorszył się to szczerością i pisał do Fryderyka II: „zdaje mi się, że w pięknej przedmowie swych pamiętników W. Król. Mość za nadto się poświęcasz; zbyt wyraźnie pozwalasz się domyślać, że zasady moralności podporządkujesz żądzy zaboru.“ — i wskutek tego ostrzeżenia owo zdanie opuszczone zostało w wydaniu pamiętników, z r. 1746, ale pojawiło się tam znów w wydaniu z r. 1775. Widocznie sędziwy król, który w młodości napisał Antimacchiavela, chciał koniecznie sam w autentyczny sposób wyjaśnić różnicę pomiędzy przyczyną a pretekstem wojny.

Wspomniawszy krótko o tych, którzy wojnę rozpoczynają bez przyczyny i bez pretekstu, jedynie z zamiłowania w wojnie i o których oświadcza Arystoteles: „Ten uchodzi za całkiem okrutnego, kto z przyjaciół robi nieprzyjaciół jedynie z żądzy przelewu krwi,“ Grocyusz wykłada niesprawiedliwe przyczyny wojny.

I tak obawa przed potęgą sąsiada nie usprawiedliwia wojny. Obrona bowiem dopiero wtedy staje się konieczną a więc sprawiedliwą skoro nie tylko jest niewątpliwą potęgą sąsiada, lecz także jego zamiar uszkodzenia nas. Jeżeli np. sąsiad wystawia na swem terytorium warownie, należy zabezpieczyć się podobnemi środkami, nie zaś rozpoczynać wojnę. Grocyusz kwestyę tę zbywa dość powierzchownie chociaż właśnie z tej przyczyny, t. j. z obawy przed potęgą sąsiada,

największe wybuchły wojny. Bo też jest to nader trudnem ocenić należycie, kiedy przemożny sąsiad ma nietylko potęgę, lecz także zamiar uszkodzenia nas? Dla tego też dopóki wojny istnieć będą, zawsze głównie rozpoczną się w tym celu, aby zawczasu zabezpieczyć się przed przemożnym sąsiadem i z wszelkich niesprawiedliwych przyczyn wojny, ta jeszcze najmniej zasługuje na naganą. Usunięta zaś z dziejów ludzkości mogłaby zostać wtenczas tylko, gdyby przestały istnieć zbyt potężne państwa, albo gdyby obok nich lub pomiędzy nimi powstał szereg mniejszych państw, któreby razem mniej więcej tyle reprezentowały siły odporniej ile potężny sąsiad posiada siły zaczepnej. Na tej zasadzie polega np. wyższa racya bytu monarchii Austriacko-Węgierskiej, jako federacyi mniejszych narodów, albo też racya bytu Belgii, Szwajcaryi, Serbii, Rumunii i t. d., tworzących żywy mur pomiędzy zbyt potężnymi sąsiadami.

Niesprawiedliwą dalej jest wojna, rozpoczęta jedynie ze względu na korzyść, a zatem w celu zaboru. Według teoryi pessimistycznej jest to całkiem wystarczająca i godziwa przyczyna wojny. Jak bowiem jednostka powoduje się jedynie względem na korzyść, tak samo powoduje się nim zbiorowa jednostka, czyli naród. Walkę powszechną, którą sprowadziłby przyrodzony egoizm pomiędzy jednostkami, uśmierza władza. Ponieważ zaś po nad narodami nie istnieje żadna taka wyższa władza, przeto też każdy naród, ile ku temu starczy siły, nie tylko może, lecz powinien czynić jedynie to co mu się zdaje korzystnem. Nie zaczepić sąsiada, jeżeli temu sprzyjają okoliczności, jest więc niedorzecznością, zaczepić i złupić go, szczytem genialnej polityki zagranicznej. Pretekstu oczywiście nigdy nie zabraknie, bo są tysiączne pozory, pod jakimi pożądać można cudzoj własności. Taka, w pojęciu pessimistycznym całkiem dozwolona wojna, ze stanowiska Grocyusza i tych wszystkich, co wierzą w cnotę i w solidarność rodzaju ludzkiego, zawsze zasługiwać będzie na nazwę rozboju. Bo tak, jak wyuzdany egoizm jednostek rozsądza społeczeństwo, tak egoizm narodowy, podniesiony do godności uprawnionej zasady, znosi wszelkie prawo międzynarodowe i wywołuje wieczną wojnę. Niestety usiłowania Grocyusza co do usunięcia tej niesprawiedliwej przyczyny wojny, dotąd nie odniosły żadnego skutku. „Przyrodzoną i powszednią jest rzeczą rządu zdobyć: a zawsze ludzie którzy się do tego zaborą, dostąpią chwały, jeżeli postawią na swoim, tylko, jeżeli się zaborą do zdobyć, a nie dokonają dzieła, narażają się na naganą“ — powiedział Macchiavelli przed Grocyuszem. Zdanie to i dziś jest w głównej rzeczy prawdziwe. Jako zwyczajny i dziś w stosunkach międzynarodowych występki i najnowsi statysci wymieniają „pogwałcenie słabszych, bądź to przez zupełny podbój, bądź przez wyzyskiwanie i niespełnienie ich słusznych żądań, gdy sprawiedliwość nakazuje nie tylko równe poszanowanie praw silnych, jak słabych, lecz także wspieranie tych ostatnich przeciwko przemocy“ ¹⁾.

¹⁾ Mohl. „Encyklopedia der Staatswissenschaften“, str. 537.

Do niesprawiedliwych przyczyn wojny Grocyusz zalicza dalej żądę przywłaszczenia sobie tak zwanych barbarzyńskich krajów. „Nietykalność własności nie zależy wcale od cnoty, religijnych wyobrażeń lub stopnia oświaty właścicieli. Niesłusznie grecy „barbarzyńców“ nazywali swymi przyrodzonymi wrogami, ponieważ różnili się od nich obyczajami i stopniem oświaty.“ Niesłusznie, bo zdaniem Grocyusza, wszyscy ludzie są braćmi. Dla tego też prawo nietykalności przyznaje stojącym nawet na najniższym stopniu oświaty ludom. Miał on głównie na myśli ludy amerykańskie i indyjskich wytopianych przez europejczyków pod pretekstem ich niższej cywilizacji. I w tej mierze praktyka od czasu Grocyusza nie stała się wcale moralniejszą. Guizot w życiorysie Waszyngtona zauważa: „La civilisation a le privilège de piller les peuples ignorants et sans defense.“ To samo zdanie podziela sławny pisarz francuzki Tocqueville, tylko że przenosi „umiejętne, legalne“ tępienie narodów „dzikich.“ „Sposób postępowania amerykańców St. Zj. z ludnością tubylczą tchnie najczystsze zamiłowanie form i prawności. Hiszpanie przy pomocy bezprzykładnych okrucieństw (!) nie mogli dopiąć wytopienia rasy indyjskiej, ani nawet przeszkodzić jej dostąpieniu spólnych praw. Amerykanie St. Zj. dosięgli tego podwójnego rezultatu z zadziwiającą łatwością, spokojnie legalnie, filantropijnie (!), bez przelewu krwi i pogwałcenia wielkich zasad moralnych (?) w oczach świata. Trudno umiejętniej tępić ludzi z większym poszanowaniem praw ludzkości.“ W najnowszych czasach rozbój międzynarodowy usiłowano usprawiedliwić filozoficznie, zastosowując teorię Darwina o „walce o byt“ do stosunków międzynarodowych i twierdząc, że z podbicia i pochłonięcia słabszego, a mianowicie niższego co do oświaty narodu, powstaje ogólna harmonia i postęp. Na mocy tej teorii polityka międzynarodowa nie jest niczem innem, jak sztuką toczenia walki o byt pomiędzy organizmami społecznymi: „La politique internationale est l'art de conduire la lutte pour l'existence entre les organismes sociaux“ ¹⁾. Walka ta odbywa się w trzech kierunkach: biologicznym, polityczno-ekonomicznym, intelektualnym i to za pomocą eliminacji lub pochłonięcia. Plemię odnosi zwycięstwo nad drugim, które zostaje wycięte—to eliminacja biologiczna. Społeczeństwo silniejsze podkopyje dobrobyt słabszego, pozbawiając je targów handlowych, albo państwo zagarnia kraj i zmusza zwyciężonych pracować dla zwycięzców—to absorpcja polityczno-ekonomiczna. Zwycięzca przemocą wytępią oświatę narodu zwyciężonego—to eliminacja intelektualna ²⁾. To wszystko zdaniem pessimistów jest zupełnie słuszne i pożądane, i każda podjęta w takich celach wojna jest godziwą, bo odpowiada rzekomym ogólnym prawom wszechświatowym. Te same teorie wykłada dr. L. Gumplowicz w dziele: „Der

¹⁾ J. Novicov: „La politique internationale,“ Paris, 1886.

²⁾ Tamże, str. 167.

Rassenkampf“¹⁾. I według niego z konieczności odbywa się pomiędzy plecionami nieustanna walka. „Skutek jej zawsze ten sam: Zwycięstwo i wzrost narodu potężniejszego, który amalgamuje, zlewa żywioły różnorodne, przeprowadza podział pracy, podnosi oświatę, tworzy rasy. I zawsze znowu nastaje to samo wycięczenie kultury i upadek pod napaścią żywiołów barbarzyńskich.” Zdaniem Gumpłowicza to nie jest ani postępem, jak twierdzą jedni, ani reakcją jak ubolewają drudzy, lecz po prostu konieczną, przyrodzoną walką, z której ludzkość nie wychodzi lepszą. „Ludzie zawsze pozostawają temi samemi, czy wiosłują w czółenku z pnia drzewa, czy na parostatku przebiegają morza; czy na dwóch półkulach świata nie mają o sobie najmniejszego wyobrażenia, albo też za pomocą telegrafu i telefonu usiłują podejść się z jednej półkuli świata na drugą; czy się mordują za pomocą maczugi i jataganu, albo strzelają do siebie karabinami odtylcowemi lub za pomocą dynamitu wysadzają się w powietrze. Niema ani postępu ani cofnięcia, jest zawsze to samo, bo ludzie zawsze pozostawają temi samemi.“ Gumpłowicz więc w pesymizmie zachodzi jeszcze dalej, niż ci, którzy zalecają pochłonięcie słabszych przez mocniejszych pod pretekstem, że ta operacya służy postępowi; tu już niema mowy o postępie, lecz na mocy niezmiennego prawa natury i bez względu na możliwy postęp narody silniejsze tępią słabsze a mianowicie „barbarzyńskie!” Według Grocyusza zaś wszelka taka wojna jest występkiem, bo nawet stojący na najniższej skale oświaty naród posiada swe przyrodzone prawa nietykalności, własności i t. d.

Uczciwy system polityki międzynarodowej nie tylko więc nie przyzna nikomu prawa podbijania i wytępienia tak zwanych barbarzyńskich narodów, lecz przeciwnie na społeczeństwa cywilizowane nakłada obowiązek wspierania ich, ułatwiania im nabycia oświaty, dostarczania im odpowiednich środków, opiekowania się ich bytem a zatem też obrony od chciwego sąsiada. To też amerykanie północnych Stanów Zjednoczonych nie tylko za swój sposób „umiejętnego tępienia“ tamtejszych tubylców nie zasługują na żadną pochwałę, tak samo jak niemcy nie przysłużyły się ludzkości wytępieniem tubylców słowiańskich, którzy niegdyś zamieszkiwali przestrzeń pomiędzy Łabą a Odrą, — lecz jedni, jak drudzy ze stanowiska rzeczywistego prawa międzynarodowego zasłużyli sobie za to na najcięższe zarzuty.

Do niesprawiedliwych przyczyn wojny Grocyusz zalicza również tak oswoobdzenie ujarzmionego narodu pod pretekstem, że zasługuje na wolność, jako też podbicie narodu pod pretekstem, że to jeden z tych, które się zdawają się być zrodzone do niewoli. Że nasz zacny autor nie przyznaje nikomu prawa podbijać sąsiada pod pozorem, że mu będzie korzystniejszą służyć, i zaznacza, że nawet tego, co komu korzystne, nie wolno mu narzucać przemocą, logicznie wynika z jego uczciwych zasad. Natomiast zadziwić może, że także oswoobdzenia

¹⁾ Innsbruck, 1883, str. 346 i nast.

narodu z ciężkiego, obcego jarzma, nie uważa jako sprawiedliwą przyczynę wojny. W takim razie Holandczycy, którzy się oderwali od Hiszpanii, Francuzi i Anglicy, którzy im w ciągu 80-letniej wojny na przemian dostarczali pomocy, nie mieli sprawiedliwej przyczyny do wojny? Tak samo niesprawiedliwą była więc wojna Francyi przeciwko Anglii celem oswobodzenia północnej Ameryki, tudzież przeciwko Austrii celem oswobodzenia Lombardyi! Atoli na inném miejscu (Ks. II, rozdz. 25) Grocyusz rzecz tę dokładnie wyjaśnia. Jedyne dla tego był powyższą przyczynę wojny umieścić pomiędzy niesprawiedliwymi, ponieważ „wiadomo ze starożytnych i nowoczesnych dziejów, że chciwość cudzej własności zbyt często oswobodzenia ujarzmionych narodów nadużywało jako pretekstu.” Rzeczywiście Rzym aż nadto często posługiwał się tym pretekstem, i oswabadzając nibyto narody z pod obcego jarzma, sam niebawem je pochłaniał, tak, że bardzo trafną stała się uwaga sławnego dziejopisarza „mutat jugum qui liberatur ab alio.“ Aż do najnowszych czasów nie brakło przykładów, że wojny podjęte nibyto celem oswobodzenia ujarzmionych narodów, rzeczywiście były wojnami zaborczemi, choć nie zawsze udało się przeprowadzić te zamiary. Dla tego Grocyusz w tym względzie zaleca pewną ostrożność. Wiedział on doskonale, jak to i Francuzi i Anglicy, popierając powstanie neederlandzkich prowincyi przeciwko Hiszpanii, żywiły z swój strony ambitne zamiary to wobec Belgii, to wobec Holandyi! Natomiast, jak to wynika logicznie z jego teoryi o solidarności ludzkości, uznaje w pewnych przypadkach obowiązek interwencyi, czyli pomocy dla ucisnionych. „Jeżeli bezprawie jest tak jasne, jak to, którego się dopuszczali Busiris, Phalaris, Diomedes względem swych poddanych i którego żaden ucziwy człowiek pochwalić nie może, natenczas prawo społeczeństwa ludzkiego wkracza. Tak Konstantyn wziął się do broni przeciwko Maxancyuszowi, a inni cesarze przeciwko Persom, albo grozili wojną, aby ich powstrzymać od uciskania chrześcian. Nawet, gdybyśmy uznawali, że poddanym choć pod największym uciskiem nie wolno wszcząć rokoszu przeciwko władzy, to ztąd nie wynika, aby kto inny nie miał prawa ująć się za nimi.“ Grocyusz więc uznaje prawo interwencyi i w tój mierze jest teoretycznie w zgodzie np. z księciem Metternichem. Tylko, że ten interwencyą uważał jako słuszną i nakazaną, ilekroć chodziło o obronę monarchy przed „demagogami,“ a nawet żądał jój celem wstrzymana króla od nadania swemu państwu konstytucyi (odnośne zdania często się powtarzają w pamiętnikach ks. Metternicha), gdy Grocyusz interwencyą o tyle tylko uważa jako słuszną, o ile ma na celu uwolnienie narodu od nieznośnego ucisku. W najnowszych czasach, w teoryi przeważa zasada nieinterwencyi. Wygłasza ją zwłaszcza od r. 1870 rząd niemiecki, — co nie przeszkodziło, że się bardzo często mieszał do spraw wewnętrznych sąsiadów, chociaż nie rozpoczął z tego powodu wojny ¹⁾.

¹⁾ Przykład takiej interwencyi z roku 1871 odsłonił nam br. Boust

Obszernie Grocyusz zbija średniowieczną teorią, jakoby cesarzowi rzymskiemu przysługiwało prawo panowania nad najodleglejszymi narodami. Fikcja taka nieustannie dostarczała „cesarzom rzymskim narodu niemieckiego” pretekstu do niesprawiedliwych wojen, a zatem w pierwszym naukowym systemacie prawa międzynarodowego zasługiwała na dokładny rozbiór, dziś jednak w niczem nie oddziaływała na stosunki międzynarodowe.

Nie wolno także wymuszać orężem na drugim narodzie tego, czego nam winien nie na mocy prawa, lecz z obowiązku hojności, miłości lub wdzięczności. To też np. wojna, którą Rzymianie rozpoczęli przeciwko królowi Cypru z powodu niewdzięczności, nie była sprawiedliwa: „Bo moralny obowiązek wdzięczności nie nadaje dobrodziejowi żadnego prawa, inaczej byłby to układ, a nie dobrodziejstwo.“ I tak Francya, przyczyniwszy się w r. 1859 do oswobodzenia Lombardyi, zapewniła sobie odpowiednią nagrodę, wcielając Sabaudyą i Niceą. Pomimo tego Francuzi przekonani są i w tém też zapewne nie mylą się, że na Włochach ciąży obowiązek wdzięczności. Gdyby jednak w imię tej wdzięczności Francya pożądała czegoś od Włoch, a usiłowała przemocą postawić na swoim, byłaby to, według Grocyusza niesprawiedliwa wojna. Serbia zobowiązana jest Austrii do wdzięczności za to że w r. 1885 interwencya rakuskiego dyplomaty hrabiego Khevenhüllera ocaliła wojsko króla Milana od zupełnego zniszczenia przez zwyciężką armią księcia Aleksandra bułgarskiego. Jednak Austriya nie ma prawa w imię wdzięczności żądać od Serbii np. wybrania sobie władzcy z poręki austryackiej, powierzenia steru rządu tylko takim ministrom, którzy się podobają w Wiedniu i t. d., ani rozpocząć wojny celem zmuszenia Serbii do okazania tym sposobem swęj wdzięczności. Anglia znacznie się przyczyniła do oswobodzenia Grecyi, nietylko jednak w imię wdzięczności nie wymuszała niczego na Grecyi, lecz dobrowolnie oddała jej zajęte w wojnie z Turcyą wyspy Jońskie. Belgia swe oswobodzenie w r. 1830 głównie zawdzięcza interwencyi Francyi i Anglii, jednak te mocarstwa rozpoczęłyby niesprawiedliwą wojnę, gdyby w imię wdzięczności domagały się od Belgii np. ustąpienia jakiego portu i t. d.

Rozumie się, że Grocyusz byłby zaliczył także do niesprawiedliwych przyczyn wojny, co Macchiavelli zaleca swemu księciu: podburzyć zżęcznie sąsiada przeciwko sobie do wojny, aby zwycięstwami zjednać sobie sławę i tym sposobem upewnić swą władzę w własnym kraju. Zwłaszcza w naszych czasach względ ten oddziaływał na stosunki międzynarodowe. Tak Napoleon I jak III-ci często powodowali się tą zasadą, która wyda się korzystną przedewszystkiem rządóm

w swych Pamiętnikach, opowiadając, jak to cesarz Wilhelm w Gasteinie dobitnie ostrzegwał ces. Franciszka Józefa, aby systemem federalistycznym hr. Hohenwarta nie przywoził niemców austryackich do rozpacz, gdyż on, ces. Wilhelm, nie mógłby na ich jęki boleści pozostać obojętnym.

nowym, nie opartym na tradycji i legalności, albo też rządów, które z jakichkolwiek bądź przyczyn znajdują się w sprzeczności z życzeniami przeważnej części narodu swego. W dziejach naszych zasada ta niejednokrotnie występowała na jaw. Oskarżano niesłusznie królów, że to tego, to owego sąsiada zwłaszcza Sułtana, umyślnie podburzali do wojny przeciwko Rzpłtėj, aby za pomocą pomyślnėj wojny ugruntować „absolutum dominium.“

Wyłożywszy tak sprawiedliwe i niesprawiedliwe przyczyny wojny, Grocyusz jednak bardzo dobitnie zaznacza, że wojnę uważa jako nie-szczęście a gorąco pragnie pokoju między narodowego. Główną rzeczą jest wierność ¹⁾. Bo ona jest nie tylko, jak zauważa Cicero, podstawą państwa, lecz także większego owego społeczeństwa międzynarodowego t. j. harmonii ludzkości. „Jeżeli ustaje wierność, powiada Arystoteles, ustaje także obcowanie ludzi.“ Dla tego tenże Cicero zbrodnią nazywa złamanie wierności, na której polega życie, a Seneca uważa ją jako „sanctissimum humani pectoris bonum.“ Kierownicy narodów tém bardziej powinni przestrzegać wierności, im mniej w stosunku do drugich, potrzebują się obawiać kary za swe błędy. Wyrzekłszy się wierności, podobni są do dzikich zwierząt, których gwałtami przeciw wszyscy się brzydzą. Sprawiedliwość nie raz jest ciemną; ale obowiązek wierności jest sam przez się całkiem jasny. Tém więcej powinni jej przestrzegać królowie tak dla swego spokoju, jako téż dla swėj sławy, na których spoczywa siła prawa. Niechaj ci, którzy ich uczą sztuk oszukaństwa (Macchiavelli!) sami to czynią, co radzą. Nauka, która znosi obcowanie ludzkie, nie może długo być korzystną ²⁾, a wstrętną jest Bogu.

Wreszcie w wojnie nie można sobie zachować spokoju sumienia, jeżeli się nie ma zawsze na oku pokoju. Sallustius słusznie zauważa: „Sapientes pacis causa bellum gerere,“ i z tém zgadza się zdanie św. Augustyna: „Nie szukamy pokoju, aby prowadzić wojnę, lecz toczymy wojnę, aby uzyskać pokój.“ Także Arystoteles potępia te narody, które czynność wojenną uważają jako cel swego życia. W wojnie występuje na jaw zwierzęco dzika siła, tém potrzebuiėj złagodzić ją po ludzku, aby przy naśladowaniu zwierząt nie zapomniano o człowieku. Dla tego téż wszelkimi środkami trzeba się starać o utrzymanie pokoju, choćby nawet przyszło uczynić pewne ustępstwa. To odnosi się nie tylko do słabych, lecz także do silniejszych, ponieważ jak słusznie zauważa Liviusz, pokój, na który przystaną, zapewnia im większą sławę, niż spodziewane zwycięstwo. Nie zapominajmy bowiem, że po nad obiema stronami stoi Bóg wojny Mars. „Zmienne i sprzeczne z nadziejami są losy wojny,“ jak powiada Arystoteles,

¹⁾ Wyraz wierność, fides, użyty tu w najszerszem znaczeniu, jako dotrzymanie obietnicy, uczciwość, zaerność i t. d.

²⁾ Bo władzca, albo mąż stanu, który kilka razy podejdzio drugich, straci wszelkie zaufanie.

a w mowie swój za pokojem Diodor gani tych, „którzy się powołują na swe wielkie czyny, jak gdyby nie było zwyczajem fortuny wojennej, że zwycięstwo rzuca to na tę, to na drugą stronę.” Najwięcej trzeba się obawiać waleczności zrozpaczonych: „maxime metuenda desperantium audacia, tanquam acerrimi morientium belluarum morsus.” Podobnie Thiers w swych dziejach cesarstwa zauważa, że „trzeba się strzedz ludzi przywieść do rozpaczy, obudzając bowiem w nich to uczucie, dajemy im siłę nadprzyrodzoną, która niweczy wszelkie rachuby i często odnosi zwycięstwo nad najumiejętniejszą sztuką“ (polityczną). Tu też warto przytoczyć zdanie Helvetiusza: „Il n'y a pas de dette plus fidèlement acquittée que le mépris.”

Skoro zaś pokój na jakich bądź warunkach został zawarty „powinien być dochowany z wymienioną, świętą wiernością i należy się wystrzegać każdej niewierności i wszystkiego, co by mogło wzburzyć umysły. Bo to, co Cicero zauważa o przyjaźni pomiędzy jednostkami, odnosi się także do przyjaźni pomiędzy państwami, która powinna być dochowana święcie, mianowicie, kiedy została zawarta na nowo po krwawej walce...

Nie są to bynajmniej szumne deklaracje, służące tylko na świetne zakończenie wiekopomnego dzieła Grocyusza, lecz są to głębokie przekonania tego zacnego optymisty, który namiętnie pragnął ustalenia międzynarodowego pokoju. Świadczą o tém liczne listy do krewnych i przyjaciół, w których odsłania tajniki swego szlachetnego serca. Okrutna zgroza 30-letniej wojny i krwawe zamieszki w Holandyi wznagały jego przyrodzony wstręt do mężobójstwa. Nie posiada się z radości, dowiadując się, że Richelieu zamierza podjąć się przywrócenia powszechnego pokoju. Raporta jego do królowej Krystyny i do W. kanclerza Oxenstierny pałają gorącym zamiłowaniem pokoju. Z zapałem podnosi w jednym z swych listów do przyjaciół, że Fraucuzi zaczynają miłować pokój i pojmovać, że wojna jest tylko wybiegiem, którego się chwytają rządy, aby przytłumić wewnętrzne niebezpieczeństwa. Pokój jest ideałem Grocyusza. To też, gdy go doszła wieść o rozpoczęciu układów w Muensterze i Osnabruecku, z radością wita je jako zapowiedź lepszej przyszłości. Niestety nie doczekał się zawarcia traktatu westfalskiego, który wprowadzić ukończył wojnę 30 letnią i wojnę pomiędzy Holandją a Hiszpanią, ale nie sprowadził bynajmniej ery powszechnego pokoju. Ale „in magnis voluisse sat est,” i „zamiarami, nie skutkiem” trzeba mierzyć charakter ludzi. Otóż niewątpliwie znakomity twórca teorii międzynarodowego prawa wszystko, na co się składa niepospolita bystrość umysłu, dokładna znajomość dziejów i praktyka męża stanu, niezrównany talent wykładu i najzacieńsza chęć, uczynił, aby złagodzić srogość wojny i stosunki międzynarodowe oprzeć na prawie.

Odpowiednio prawu naturalnemu, uczciwy stosunek międzynarodowy nakłada na każde państwo obowiązek:

- 1) Poszanowanie niezależności i nietykalności innych państw

i postępowania względem nich podług zasad prawnych, nie zaś wyłącznie według względu na własną korzyść.

2) Wspierania słabszego narodu, napadniętego przez przemożnego sąsiada, interwencji, skoro tego wymaga widoczne pogwałcenie praw ludzkich, w ogóle popierania się nawzajem, ułatwiania komunikacji, wymiany myśli i t. d.

3) Świętego dotrzymania wszelkich międzynarodowych traktatów, nie tylko wtedy, jeżeli korzyść takich zobowiązań jest wielka i oczywista, lecz także wtedy, jeżeli dotrzymanie traktatu wymaga ofiar:

Pokojowemi zaś środkami do zachowania tego prawnego stosunku międzynarodowego są: poselstwa, traktaty (np. handlowe, cłowe, dotyczące własności literackiej, patentów i t. d.) tudzież pośrednictwa czyli sądy rozjemcze.

Już w świecie przedchrześcijańskim narody porozumiewały się za pomocą poselstw. Ateńczycy powierzali takie misye wybranym ku temu „starszym” (presbeis), u Rzymian nazywali się oni legati oratores. W Rzeczypospolitych posłowie tacy występowali przed zgromadzeniami ludowemi i w długich mowach wyłuszczali swe propozycje. Powszechnie, t. j. także u narodów „barbarzyńskich” uznawano nietykalność posłów. I tak zauważa Papiniusz: „Od wieków świętą jest ludzom ta nazwa.” Cicero sądzi, że „prawa posłów stają pod opieką ludzi i bogów.” „Dla tego, — oświadcza Filip w liście do Ateńczyków — skrzywdzenie posłów nie tylko jest niesłuszném, lecz według powszechnego mniemania, bezbożném.” W średnich wiekach znano tylko jedną klasą posłów, którzy się zwali magni legati, oratores, po włosku ambasciatori, po francuzku ambassadeurs, po hiszpańsku embajadores, a wysyłani bywali zawsze w specjalnej missyi. Stałe poselstwa utrzymywała najprzód stolica apostolska, potem Wenecya, od czasu Ludwika XI-go Francya i t. d. Jednakże dość długo na posłów spoglądano okiem podejrzliwém. Uważano ich jako rodzaj szpiegów, często burzycieli porządku publicznego i podżegaczy spisków, jakoż nie raz dopuszczali się tego, jak np. francuzki poseł u dworu polskiego margrabia de Vitry, albo hiszpański poseł Cellamare w Paryżu, który ułożył spisek, celem usunięcia regenta, księcia Orleanu, i obwołania króla hiszpańskiego opiekunem Ludwika XV-go (1718). Podobnych przykładów nadużycia godności poselskiej dzieje dyplomacyi dostarczają aż nadto. Ztąd bardzo długo istniała pewna niechęć do stałych poselstw i także Grocyusz w rozdziale „o prawach posłów” (ks. II, rozdz. 18) nie uważa stałych poselstw jako rzecz niezbędną. Równocześnie wyrobiło się zdanie, albo przesąd, że głównym środkiem dyplomacyi jest kłamstwo: „Legatus est vir bonus peregre missus ad mentiendum reipublicae causa,” — zdanie poparte znanemi słowami mistrza w dyplomacyi Talleyranda, że słowa są nam na to dane, aby ukrywać myśli, a nie wykorzenione jeszcze trochę ironiczną uwagą Thiersa, że nie trzeba według powszechnego mniemania sądzić, „że

dplomata nie może inaczej, jak kłamać.“ Bądź jak bądź, dyplomaci nie muszą koniecznie „przygotowywać wojnę, którą prowadzą potem generałowie,” lecz mogą się wielce przyczynić do utrzymania przyjaznych stosunków pomiędzy państwami, zwłaszcza jeżeli się powodować będą zacnymi zasadami i przepisami Grocyusza.

Przechodzimy do traktatów. Właśnie tu zachodzi skrajna różnica pomiędzy nauką różnych pesymistów a uczciwą teorią naszego optymisty. Macchiavelli cały rozdział 18-ty dzieła „O księciu” poświęcił pytaniu: „O ile władzca powinien dotrzymać danego słowa?” aby odpowiedzieć, że go nie potrzebuje dotrzymać. „Bo doświadczenie naszych czasów poucza nas, że władzcy którzy lekceważyli wierność i uczciwość, a umieli podstępem oszukać ludzi, spełnili wielkie rzeczy i w końcu zwyciężyli tych, którzy postępowali sobie uczciwie. Są dwa sposoby walki: prawami lub przemocą, pierwszy jest zwyczajem ludzi, drugi zwierząt. Ale często pierwszy nie wystarcza i trzeba się uciec do drugiej metody. Książę więc powinien umieć odegrać rolę człowieka i drapieżnego zwierzęcia,— lisa i lwa, bo lew nie ujdzie zasadzce, a lis nie obroni się od wilka. Zmysł lisa jest więc potrzebnym, aby poznać zasadzkę, maska lwa, aby rozpedzić wilki. Ci którzy odgrywają jedynie rolę lwa, nie rozumieją powołania swego. Mądry władzca nie potrzebuje więc dotrzymać słowa, gdyby mu to przyniosło szkodę, i gdyby ustały powody, dla których dał słowo. Gdyby ludzie wszyscy byli zacnymi rada ta nie byłaby nic warta. Ponieważ jednak są przewrotni i nie dotrzymują ci słowa, przeto też nie potrzebujesz im go dotrzymać: księciu zaś nigdy nie zabraknie na pretkscie, gdy chce kłamać słowo. Ileżto z naszych czasów mógłbym przytoczyć przykładów, złamanych przyrzeczeń i traktatów, i że kto najzrzeczniej odegra lisa, zajdzie też najdalej!” W podobny sposób wyraża się o tej kwestyi Spinoza (choć tego nie zaliczamy do pesymistów) w swym „Traktacie politycznym“ rozdział 3, § 14: „Sojusz trwa, dopóki trwa jego powód, t. j. obawa przed szkodą lub nadzieja korzyści. Skoro ten powód ustaje dla jednej lub drugiej strony, odzyskuje ona zupełną wolność i sojusz sam się rozwiązuje. Każde więc państwo ma prawo, dowolnie odstąpić od sojuszu, i państwu, które tak czyni, nie można zarzucać nieuczciwości lub podstępu, ponieważ z obawą i nadzieją ustaje powód sojuszu.“ Zaś Fryderyk II jako królewicz (1739) napisał „Antimacchiavella,” jednakże co do łamania traktatów zupełnie się zgadza z autorem włoskim: „Naszym obowiązkiem jest czuwać nad pomyślnością naszych poddanych; skoro dla nich w jakimś sojuszu widzimy niebezpieczeństwo, musimy go raczej zerwać, aniżeli narazić ich na szkodę. W takim razie władzca czyni z siebie ofiarę. Kto to potępia, należy do tych ludzi, którzy dotrzymywanie słowa uważają jako rzecz świętą. Mają słusność, o ile chodzi o osobę prywatną ¹⁾. Ale

¹⁾ Marya Teresa nie zgadzała się na podobną dystynkcyę pomiędzy osobą prywatną a władzcą, i w ważnej chwili z powodu pewnej kombinacyi

władzca obowiązuje nie tylko siebie, lecz także naród i dla tego lepiej, aby w potrzebie złamał traktat, aniżeliby naraził naród na niebezpieczeństwo.”

Według téj zasady działał od wstąpienia na tron aż do śmierci, a jeżeli mógł z kolei zawierać sojusze z wszystkimi mocarstwami i wszystkie wywieść w pole, odpowiednio do tego czego wymagał jego interes, świadczy to o wielkiej prawdzie znanego zdania kanclerza Oxenstierny: „Disce, puer, quam pauca mundus regitur sapientia.”

Czy jednak lisia teoria Macchiavella, Spinozy i praktyka Frydryka II-go zawsze mogłyby się okazać skutecznymi, to rzecz co najmniej wątpliwa, boć któż będzie zawierał traktaty z władzcą, o którym się przekonano, że zdolnym jest nie dotrzymać danego słowa? Nie z tego jednak utylitarnego względu, lecz na mocy silnej wiary, że społeczeństwo ludzkie nie może istnieć bez dotrzymania danego słowa (obietnicy, umowy i t. d.) Hugo Grocyusz broni świętości i nienaruszalności traktatów. I przedewszystkiēm odrzuca ową dystynkcyę pomiędzy królem a narodem. Król przemawia i działa w imieniu narodu, a zatem zawierając traktat (sojusz) nie obowiązuje siebie samego, lecz naród. W monarchii ograniczonej może się zdarzyć, że król sam nie ma prawa do zawierania traktatu. Ale wtedy też druga strona niezawodnie zażąda potwierdzenia traktatu przez wszystkie powołane do tego konstytucyą czynniki, jak to np. od dawna dzieje się względem Anglii, gdzie wszystkie traktaty przedkładają się parlamentowi. Umowa obowiązuje królów tak samo, jak osoby prywatne (ks. II, rozd. 14). Grocyusz rozróżnia pomiędzy traktatami, zawartemi celem zakończenia wojny, a sojuszami i co do tych pięknie zauważa, że potrzebnemi stały się jedynie dla tego „ponieważ przepis prawa naturalnego, według którego zachodzi pomiędzy wszystkiemi ludźmi naturalne pokrewieństwo a zatem uszkodzenie jednego przez drugiego jest zbrodnią, nie tylko przed potopem, ale także po nim, w skutek wzmagającego się zepsucia poszedł w zapomnienie.” Istotnie, gdyby ludzie wszyscy przestrzegali uczciwie prawa naturalnego, sojusze byłyby zbędne, gdyż i tak jedni wspieraliby drugich. Tém świętszym oczywiście jest sojusz zawarty formalnie, którego nie wolno łamać z względów utylitarnych, ani wymijając sofistycznymi interpretacyami („de interpretatione“ (ks. II, r. 16); jedynie niemożliwość dotrzymania traktatu uniewinnia stronę, która go nie dotrzymuje, np. gdy kraj sam napadnięty od nieprzyjaciela, nie może sprzymierzeńcowi dostarczyć obiecanych posiłków.

Traktat, kończący wojnę, w monarchii nieograniczonej, zawiera władzca i może go zawrzeć prawnie, choćby się znajdował w mocy zwy-

oświadczyła: „Pomiędzy osobami prywatnemi taka propozycya byłaby uważana jako obelga, jēj przyjęcie jako niesprawiedliwość. Czyż prawo naturalne nie obowiązuje także władzców?“ Wolf: Geschichte Oesterreichs, str. 169.

cięzcy (III., 20, § 3). Natomiast do tego nie jest uprawniony król, rządzący na mocy woli ludu, „albowiem nie można przypuścić, aby lud był mu oddał władzę w taki sposób, aby ją sprawował także, nie będąc wolnym. W takim więc razie naród lub wyznaczona przezeń osoba staje się (jak w czasie małoletności króla) opiekunem,” któremu też przysługuje prawo zawrzeć traktat. W rzeczypospolitej traktat, uchwalony przez większość, zobowiązuje także mniejszość. „Skoro zapadła uchwała — powiada Liwiusz — wszyscy, i ci którzy głosowali przeciwko niej, muszą jej bronić, jako dobrego i pożytecznego traktatu.“ Plinius zauważa: „Co uchwali większość, tego wszyscy muszą dotrzymać” i t. d. Traktaty zaś, kończące wojnę, powinny być zawsze układane w tym duchu, aby każdy otrzymał to, co mu się należy; ten więc, który prowadził sprawiedliwą wojnę, powinien otrzymać to, dla czego ją rozpoczął, oraz zwrot kosztów (o kontrybucjach miliardowych Gr. nie myślał!); atoli to samo nie odnosi się do kary: „Kara, o ile dotyczy króla lub narodu, powinna być darowana, bo pokój nie miałby trwałości, gdyby i dalej istniały dawne przyczyny wojny.“ Bo, jak powiada Dionys z Halikarnassu, „trzeba nie tylko o tém myśleć, aby walka była chwilowo ukończona, lecz o tém, aby nie być zawikłanym w nowe wojny; nie dla tego zawieramy traktat pokoju, aby spór odroczyć, lecz aby go nazawsze usunąć.“

Ważnym środkiem zapobieżenia wojnie a zatem utrzymania pokoju jest sąd rozjemczy. Grocyusz o nim traktuje jeszcze dość powierzchownie (ks. III, rozd. XX). Atoli nie ulega wątpliwości, że gdyby wygłoszone przezeń zasady przeważyły w stosunkach międzynarodowych, sąd rozjemczy, bądź to osoby, bądź kongresu, wszedłby powszechnie w użycie. Już dotąd niejednokrotnie ważne spory międzynarodowe zostały załatwione za pomocą wyroku sądu rozjemczego. Król Leopold I belgijski, powszechnie szanowany z powodu swęj uczciwości i swego rozumu, niejednokrotnie podjął się tego zadania. Wielkię sławy dostąpił sąd rozjemczy, który załatwił drażliwą kwestyę „Alabamy,” grozącą wojną pomiędzy Anglią a Zjednoczonymi Stanami północnej Ameryki. Mniejszego uznania dostąpił książę Bismarck jako „uczciwy mekler“ na kongresie berlińskim r. 1878. Papież Leon XIII pomyślnie zapośredniczył w sporze niemiecko-hiszańskim, atoli ks. Bismarck później okazał się dość niegrzecznym, oświadczając, że dla tego tylko przyjął pośrednictwo papieża, ponieważ chodziło o rzecz tak małej wagi! Tymczasem liczne i złożone z bardzo poważnych osób stowarzyszenia pokojowe pracują nad tém, aby wszystkie spory międzynarodowe załatwić za pomocą sądów rozjemczych. Najważniejszymi stowarzyszeniami tego rodzaju jest londyńska „International Arbitration and peace association,” francuzka „Société française des amis de la paix,” medyolańska „lega della fratellanza“ i t. d. Dnia 31 paźdz. r. 1887 członek parlamentu angielskiego sir Lyon Playfair prezydentowi Zjednoczonych Stanów p. Clevelandowi wręczył podpisany przez 233 członków angielskiego parlamentu memoriał, domagający się ustano-

wienia sądu rozjemczego dla wszystkich możliwych sporów pomiędzy Anglią a Zjednoczonymi Stanami Ameryki północnej. Tym sposobem więc na przyszłość wojna pomiędzy temi dwoma mocarstwami stałaby się niemożliwą. Podobny wniosek był postawiony w kongresie waszyngtońskim a optymiści ci spodziewali się, że ten przykład niewątpliwie oddziała zbawiennie na mocarstwa stałego ładu, które się niszczą wyścigami w uzbrojeniach.

Przypomnijmy sobie przy tej sposobności, że pierwszy Karol de Saint-Pierre wystąpił z obszernie motywowanym projektem wiecznego pokoju: „Projet de paix perpétuelle entre les potentats de l'Europe“ (1710), który wywołał ogromne wrażenie, ale—nie odniósł pożądanego skutku. Znany zaś filozof niemiecki Kant swój projekt „wiecznego pokoju“ oparł na następujących zasadach: 1) wszystkie państwa przyjmą republikańską lub konstytucyjną formę, gdyż wtedy nie będzie możliwa wojna bez przyzwolenia ludu; 2) wszystkie narody połączą się w wielką federacyą; 3) ustanowioném zostanie obywatelskie prawo wszechświatowe. Wnioski te istotnie wynikają z systemu Grocyusza, choć ich ten nie sformułował jeszcze tak dobitnie.

Wyłuszczyliśmy pobieżnie główne zasady Grocyusza. Nie chodziło nam o dokładny rozbiór jego wiekopomnego dzieła. W tej mierze istnieją już całe księgozbiory komentarzy, przekładów, apologii i polemik. Nam chodziło jedynie o to, aby na tym znakomitym przykładzie wyjaśnić, jak to wiara w cnotę ludzką, w zmysł społeczny, w postęp, słowem to, co nazwać można optymizmem, uszlachetnia ludzi, takich jak Grocyusz, i jak zbawiennie oddziaływa na ich naukowe teorie. Przytoczone powyżej teorie Grocyusza co do prawa naturalnego, państwowego i międzynarodowego w przeciwstawieniu do teorii Hobbesa, Schopenhauera albo Hartmanna, nader dobitnie wyjaśniają zasadniczą różnicę w stosunku optymizmu a pesymizmu do socjologii i polityki.

PRZYGODY STACHA.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

Józefa Ignacego Kraszewskiego *).

W izdebce matki Korczaka, nazajutrz, gdy Stanisław był w biurze—staruszka w swoim białym czepeczku siedziała znowu na krześle, ale nie sama.

Na przeciwko niej mężczyzna nie młody, z wąsem siwym, w kaptocie wyszarzanój, w prostych butach kozłowych, z twarzą opaloną i pomarszczoną siedział, dwie ręce zapracowane trzymając sparte na kolanach.

Był to wieśniak widocznie, a strój i wyraz twarzy—ubogiego i pracowitego kolonistę lub podupadłego bardzo szlachcica zdawały się oznaczać.

Przed nim na rogu stolika z cegielką, stała lampka płynem burztynowym nalana. Pochylony ku staruszce, mówił coś powoli, gładził się po głowie i włosach szpakowatych, pociągał wąsa; oglądał się do koła, a ile razy podniósł nieco głos mimowoli, natychmiast go jakby onieśmielony zniżał.

— Mój drogi Michale—mówiła stara—jam już długo, dużo nad tém przemyśliwała. Okrutnie mi się serce kraje, gdy sobie powiem, że ja go muszę porzucić, opuścić,—ale to darmo... dla jego dobra tego potrzeba. On ze mną do niczego się nie dobije, ja mu będę zawadą... a ja jednego jego mam i tak go kocham, ach! tak go kocham.

To mówiąc, złożyła ręce i tży jój pociekły po twarzy.

*) Ciąg dalszy—patrz zeszyt za m. styczeń r. b.

— No, — począł jękając się p. Michał — ja tam tego nie rozumiem, to wam wiedzieć... ano mi się zdaje, że ani tobie syna się wyrzekać, ani jemu matki, nie godzi się.

Matki nikt nie zastąpi, — on téż ciebie ma jedną...

— No, tak — i będzie musiał czekać, aż ja oczy zamknę, żeby się ożenić! — westchnęła staruszka. A trzeba żebyś wiedział, że Staś może taką wziąć, co i wioski i pieniędzy huk będzie miała...

Skrzywił się p. Michał i popił.

— To co? — rzekł — jakby taka panna mojej matki znać nie chciała... nie ożeniłbym się z nią ni zaczął! Jak Boga kocham!

I pięścią namuloną w piersi się uderzył. Stara głową potrząsała.

— No, a ja ci powiadam, Michasiu — wtrąciła, — że najlepiej będzie, gdy ja ztąd pójdę precz. Przecież go widywać będę mogła? Ty mnie przyjmij na komorne. Nie bój się, ja ci za przekarmienie zapłacę.

— E! co zaś! — przerwał Michał — nie o głupią zapłatę chodzi... pani siostrze zawsze chata otworem, — ale tobie u nas dobrze nie będzie. Żonisko, złota kobieta, ale gderliwa i panią w domu zechce być, a tu dzieciska...

Potarł głowę.

— Toć ja jój w niczém nie zawadzę, Michasiu... a, uchwaj Boże, ażebym się sprzeciwić w czém miała! — prędko poczęła stara. — Dacie mi izdebkę byle jaką, alkierzyk, komórkę. Twoja kobieta mnie zna, że jój wody nie zamąca, rychlój w czém pomożę; a z przeżywie niem! Michale mój, to ja taka jestem nie trudna, tak jem mało, lada co, że się o to kłopotać nie będziecie potrzebowali. No — dwa, trzy dni w tygodniu z postem jestem i z suchotami, więc nic gotowanego nie jem.

Staruszka tak, składając ręce, prosiła brata, tak się korzyła, uśmiechała do niego, że p. Michał, choć włosy tarł, choć się opierał, w końcu się zlitował nad nią. Nie sprzeciwił się już — tylko zamyślił głęboko...

— Otóż to, panie, — począł z cicha — mówią wielkie szczęście, gdy uboga dziewczyna wyjdzie za bogatego pana. Piękne mi szczęście... Wszystkie kłopoty na jój głowie... a potem co? dzieci ją poniewierają i znać nie chcą.

Porwała się z oburzeniem stara i, wedle zwyczaju, gdy ją co bardzo poruszyło, ręce złożyła.

— Ale, Michasiu! na rany Pańskie — zawołała, — co téż ty mówisz! Czyż możesz myśleć, że mój Staś albo mnie wypędza, lub się mnie wstydzi?

On mnieby na pierwszém miejscu sadił przy nie wiem jakich gościach, on — to złote, pocziwe serce, któreby mi nieba przychylił to ja sama dla siebie i własnej wygody, i dla tego, że mu nie chcę przeszkodą być — muszę się ztąd wygnąć! Zobaczysz, co to będzie za lament, krzyk! żal! Ledwie nie ledwie się na to zgodził, że ja tu

z nim będąc, nie pokazuję się w pokoju i do jego przyjaciół i gości nigdy nie wychodzę. Co ja z tém biedy miałam! Gdy przyjdzie ztąd jechać, ja wiem, co za kweres będzie... Ale — cóż? kiedy potrzeba... potrzeba.

Michał wąsa pokręcał.

— Dziwaczysz-bo, moja stara, — rzekł — ta i, psujesz dziecko, mam prawdę powiedzieć! Dalibóg!

— No! mądry będzie, kto Stasia mego zepsuje! — szepnęła staruszka.

Siedzieli tedy i zerwana rozmowa na nowo się nie mogła związać. P. Michał nie spieszył, — siostra się lękała... Naostatek, — spojrzawszy na zegar prosty z wagami, wiszący na ścianie, z cyferblatem ozdobnym bukietem róż, namalowanym u góry, — p. Michał począł się poruszać, jakby miał się zegnać.

Staruszka wstała.

— Michasiu mój — szepnęła — więc jak? co będzie?

— A, co ma być? pogada się z żoną — odparł zafrasowany brat. Jakoś to będzie. Dobrzeby było, żebyście i wy do niej zjechali, a sami o to zaczęli. Porozumiecie się lepiej.

Ja — z duszy serca cię przyjmę... byle z tego potem waśń nie wyrosła.

— Chyba mnie nie znasz — dodała stara, ściskając go — ja ustępuję wszystkim... a kłócić się nie umiem. Choćby twoja jak prędką była, gdy nie odpowiem — nie rozjątrzę, ułagodzi się. Widzisz, że ja się nie boję.

Michał niedowierzająco głową potrząsał.

W tém wszedł Stanisław ze swą twarzą jasną i wejrzeniem łagodnym, spostrzegł wuja i uściskał go serdecznie. P. Michał chociaż siostrzeńca też witał z uciechą, ale pięknem jego ubraniem i elegancją był zakłopotany. Po uścisku poufałym cofnął się z uszanowaniem, zajmując odleglejsze nieco stanowisko, a ręce chowając w kieszenie.

— Przecieżeśmy się wuja doczekali — zawołał Staś. Pewnie wcześniej jadasz, niech mamunia każe obiad przyspieszyć.

— Kiedy on z nami jeść nie będzie, bo do domu powracać musi — odezwała się staruszka. Dałam mu przekąskę i czém popić — spieszy do gospodarstwa.

— Jużci, jużci — potwierdził Michał, który próżno chustki szukał po kieszeniach.

Chwilkę też ledwie jeszcze zabawiwszy, szlachcic się zabrał do wyjazdu, raz jeszcze uściskał siostrzeńca i przeprowadzony przez matkę Stanisława, wysunął się na ulicę.

— Niechże Michaś pamięta, com mówiła — całując go raz jeszcze, powtórzyła stara.

Wróciwszy do swojej izdebki, nie znalazła już w niej syna, który odszedł, mając robotę pilną, i aż do obiadu została z pończoszką

zadumana, nie chcąc mu przeszkadzać, chociaż wczoraj wieczorem nie widziała go, a zrana musiała wyjść na rynek, gdy spał, i nie przysłała nazad, aż gdy go już nie było.

Ciekawa wieczora tego u hrabiego, matka odłożyła rozpytywanie się do obiadu. Nareszcie Handzia wniosła wazkę rosółu do pokoiku małego, w którym jadali razem, położonego w końcu kurytarza, poszła staruszka po syna i z nim razem siedli do stołu.

— No,—zdobytając się na wesołość, odezwała się matka—powiedz mi ty co o wczorajszym przyjęciu u twoich hrabstwa?

— Było, jak zawsze, grzeczne i pańskie, nic więcej — odparł Staś.

— Gości dużo?

— Kilka osób tylko, — uśmiechając się, dodał Korczak, — ale, niech mama sobie wyobrazi, między nimi... kto? hrabia Obdorski.

Stara jakby przestraszona się rzuciła.

— I cóż?

— Nic a nic... — rzekł Staś. On, zdaje się, nie wiedział kto ja jestem, lub się może nie rychło dopytał, a ja miałem mu się czas przypatrzeć...

— Jakże koło niego?

— O! bardzo po pańsku—mówił syn. Ani znać téj biedy i płataniny, w jakiej był i ojciec i on z łaski ojca. Wszystko się zatarkło, zapomniano—boć go, widać, wszędzie przyjmują—i, jeżeli się nie mylę, prowadzą go przyjaciele do hrabianki.

Stara złożyła ręce znowu.

— Może odpokutował i poprawił się — szepnęła. Nam się nie godzi mu szkodzić, jak skoro raz interes ubity i zapomniany. Bóg z nim.

— Ale, jeżeli wiedział twoje nazwisko, sądzę, że przykro mu być musiało.

— Nie dał tego poznać po sobie — odparł Stanisław, wzdychając. Ożywiony był, mówił wiele...

Zamyśliła się staruszka i powtórzyła:

— Obdorski!... a po przestanku, podnosząc oczy na syna, zapytała:

— A hrabianka?

— Była bardzo, bardzo grzeczną dla mnie, tak dalece, że mnie to zakłopotalo. Ma dobre serce, bo widziała, że ja tam stałem jak okradziony, nie mając się przypytać do kogo — i zaszczyliła mnie rozmową...

Widocznie radość to sprawiło matce.

— Trzeba, żebyś tam częściej bywał—dodała.

— O! nie,—rzekł Stanisław.—Wysokie progi na moje nogi, matuniu. Głowa-by mi się mogła zawrócić, a ja nie lubię tego.

— Bo zawsze za mało trzymasz o sobie — smutnie przerwała stara. Patrzajże na takiego Obdorskiego. — Majątek, choć się niby

świeci, ale my najlepiej wiemy, co on wart... jeden ten tytulik ma za sobą, a głowę nosi górą. Ty majątku nie masz, ale imię czyste, młodość—no i piękny jesteś i chwała Bogu, w głowie dobrze.

— Obdorski też w salonie bardzo się pięknie prezentuje... — uśmiechnął się Korczak.

— Wytarte czoło! — mruknęła matka. Hrabianka-by mu była na rękę, majątek znaczny, imię piękne, panna piękna... Czego więcej chcesz; aby swoje i własne brudy zabielić... Gdy się pobogacieje — wszystko się zapomni.

— Ja sędzę, że już dziś o tém nikt nie mówi, o czém my tylko jedni lepiej wiemy...—rzekł Korczak,—a na to rachować może, iż, słowo dawszy, nie zdradzimy go.

— Nie radbym się jednak z nim spotykał i poznawał bliżej—rzekł ciszej Staś. Hrabia wie, że papiery, tyżące się sprawy, są w moim ręku. Rzecz skończona, zagodziona,—ale ślady po niej, jak po ospie, nie zmazane...

Ojciec i on... nigdy się z nich nie oczyszczą.

Urwała się rozmowa, i krótki obiad skończył. Staruszka odmówiła modlitewkę, Staś w rękę ją pocałował i odszedł.

Major Drohostaj miał ładne mieszkanko przy Długiej ulicy, i chociaż pół roku spędzał na wsi, trzymał je zawsze, bo go różne sprawy powoływały często do miasta, a bez towarzystwa, do którego nawykł, bez pewnego ruchowego próżnowania, obejść się nie mógł.

Nie robił nic, ale był niezmiernie na pozór zajęty. Starsze pannie wysyłały go z rozmaitemi zleceniami,—pośredniczył i pomagał do układania żywych obrazów, do teatrów amatorskich na cele dobroczynne, chodził po kwestach i t. p.

Nie rachowano ani na jego przebiegłość, bo jój nie miał, ani na zręczność, bo nigdy nie dał jój dowodów, — ale na gorliwość niezmordowaną, na upór i postuszeństwo rozkazom. Majorowi zdawało się, że stając się użytecznym społeczeństwu, tym sposobem sobie wyrobi wziętość i zbliży do upragnionego celu—ożenienia, o jakim marzył.

Nie udawały mu się próby, lecz się nie zrażał.

Tak samo, jak hrabia Saturnin, posługiwali się nim inni. Miał wiele do czynienia.

Zrana major jeszcze zaledwie był dokończył staranną toaletę, i podfarbował wąsy i włosy, palił jeszcze cygaro, mając wyjść, gdy—hrabia Obdorski zjawił się z ranną, niespodziewaną wizytą.

Drohostaj niezmierną okazał radość i wdzięczność za tę atencję, dobył z pod klucza najlepsze cygaro, posadził go na kanapce, okrytej przezroczystymi dzierzganami kapkami i — śmiał się głośno, aby dowieść, że odwiedziny te go uszczęśliwiły.

— No—i jakież wrażenie z wczorajszego wieczora?—zapytał.

Hrabia dyplomatyczną, zagadkową minę nastroił,—milczał długo, niby z powodu, iż starannie zapalał cygaro.

— Panna jak się podobała?—dodał gospodarz.

— Wspaniale piękna! — zawołał Obdorski — postawa i tony królowej!

— Cóżto? źle?

— Bynajmniej, ale mówię jak widzę.

Zamilkł chwilę hr. Henryk.

— Szczerze powiedz, majorze — nieprawdaż, zbliża się do trzydziestki?

Drohostaj usta zacisnął.

— Sądzę, że jeszcze lat kilka dzieli ją od niej,—rzekł.

Spojrzeli na siebie,

— Mnie nie o wiek idzie — rzekł, wygodnie rozsiadając się Obdorski, — ale o wytłómaczenie fenomenu tego, że panna milionowa, z ojcem tak dobrodusznym, łagodnym, piękna, rozumna, dotąd za męża nie poszła?

— Ale odpowiedź—rzekł śmiejąc się major,—dalipan, zawarta jest w pytaniu, właśnie dla tego że milionowa, piękna i rozumna—więc i trudna w wyborze...

Obdorski palił cygaro, i jakby ta odpowiedź była dla niego zupełnie dostateczna,—rozpoczął z innéj beczki.

— Cóż to za piękny młodzieniec był wczoraj wieczorem? Czy mi się przysłyszało? Korczak?

— Stanisław Korczak—tak,—rzekł major,—urzędnik z biura, w którym teraz proces ów sławny hrabiego Saturnina na stole... To tłómaczy dla czego proszono go...

— Panna była dla tego jegomości bardzo grzeczną.

— Panna?—ruszył ramionami major.—To się hrabiemu przydało... Był to gość starego, ojca...

Obdorski pokręcił głową.

— Korczak? —mruknął. —Nie wiesz majorze z jakich on Korczaków?

— A jakże! z Lubelskiego! syn tego, który miał niegdyś majątek w sąsiedztwie waszém... Ojciec jego, Antoni, było mu na imię, stracił wszystko, coś tam zostało synowi, ale mało i—w ziemi nic. Więc służy. Ten to Korczak, co się z jakąś ekonomówną ożenił. Sławne to było...

Hrabia milczał zaspiony.

Major się przeszedł, dawszy to wyjaśnienie, parę razy po pokoju —i powróciwszy do gościa, sparł naprzeciw niego na stole.

— Hrabiego sobie ująć najłatwiej, mając cierpliwość słuchać jego komedyi—począł cicho.—Ja w ogóle do słuchania nie mam talentu i usypiam... ale są osoby...

— O! nie sądzę, ażeby o hrabiego chodziło wiele—przerwał Obdorski.—Mnie się zdaje, że on w domu nie wiele znaczyć musi, a u cór-

ki bardzo mało. Panna Marcelina nie da sobie rozkazywać nikomu, nawet ojcu.

— Hrabia Saturnin też nie rozkazuje—rzekł major,—ale umie prowadzić tak sprawy, że nieznacznie na swoim postawi. Komedyi jego ocenić nie potrafię, ale jego znam dobrze. Z cieha pęk...

Obdorski spojrział, nic nie odpowiadając. Zadumany był głęboko.

— Widzę już z tego, że zaprasza kancellistów do siebie, iż bardzo mądrzei drożynami prowadzi swoje sprawy, — odezwał się po chwili.

Nie spodziewałem się tam spotkać takiego Korczaka...

— A cóż hrabiemu on szkodzi?—roześmiał się major.

— On? bynajmniej!!—prędko podchwycił Obdorski—tylko to znajduję charakterystyczném...

Zamilkli oba, Drohostaj dumiał czas jakiś.

— Kiedyż znowu u Saturnina będziecie?—zapytał.

— Prosił mnie na obiad jutro — odparł Obdorski. — Sądzę, że i wy tam będziecie; ale miałżebym znowu przyjemność spotkać się tam z owym Korczakiem.

Drohostaj aż wybuchnął.

— Cóż u licha! Co macie do niego? Najniewinniejsze w świecie stworzenie... Nie możecie posądzać panny...

— Ale dajże mi pokój — przerwał niecierpliwie hrabia. — Cała rzecz, że w lada jakim towarzystwie bywać nie lubię.

— A to mi się podobał — krzyknął, ręce na piersiach krzyżując, major—przecież tłómaczyłem, co on tam znaczył...

— No—a ja pytałem, czy będzie na obiedzie?—roześmiał się, z ukosa spoglądając na majora Obdorski—i na tém koniec...

Znowu czas jakiś milczeli i hrabia zdawał się nad czémś głęboko namyślać. Rozpoczął potem zwolna.

— Ażebyś mnie za dziwaka nie miał, kochany majorze—rzekł—muszę ci się wytłómaczyć z mojej antypatii do Korczaków.—Oto ojciec mój i ja po nim mieliśmy nadzwyczaj niemiłą sprawę z nimi, z ojcem właśnie tego jegomości. Ile razy mi ona się przypomnia...

— Cóż to było?—zapytał Drohostaj.

— Nie lubię o tém mówić rzecz zapomniana. Brudy jakies, ledwieśmy mogli się z nich... obmyć.

Wzdrygnął się hrabia.—Nie mówmy o tém.

Major stanął naprzeciw stolika.

— Stary Korczak uchodził za bardzo uczciwego, nieposzlakowanego człowieka—rzekł.

Zarumienił się mocno Obdorski.

— Ja mu nie zaprzeczam dobrej sławy,—rzekł prawie gniewnie—ale my wszyscy jesteśmy na łasce kauzyperdów, mógł pójść za ich radą..

I powtórzył znowu niecierpliwie.

— Nie mówmy o tém.

Obrót ten rozmowy, ton na jaki przeszedł hrabia, niezmiernie zdziwiły Majora. Zamilkł, lecz widać było, że sobie głowę łamał, co mogło człowieka tak zimnej krwi i takiego taktu jak Obdorski, poruszyć tak żywo. Nie było to w jego obyczaju. Po zubożeniu krótkiej rozmowie, hrabia wstał, a że majorowi czas było także ranne swe rozpocząć obchodzenie zwykłych stacyi starych pań, młodych wdów i przyjaciół od wista i bilardu—wyszli więc razem.

Obdorski, raz będąc w mieście, témbardziej obowiązany był do wizyt najdalszym krewnym i niegdyś znajomym, iż pragnął zażreć prawdziwy cel swój podróży. Jedne odwiedziny wieczorne u hrabiego zostały po sobie w nim wrażenie i przecucie, że mu się tu powodzić nie będzie.

Gniewał się w duszy na Drohostaja, że go tu daremnie sprowadził, i mógł skompromitować. Spotkanie Korczaka uważał niemal za złą wróżbę.

Major tymczasem dotknięty do żywego zagadkową wzmianką o Korwinie, nie mogąc ścierpieć tego, aby pozostał nieświadomym gruntu rzeczy—przemysłał teraz, jakby mógł zbadać tę tajemnicę i dowiedzieć się czegoś więcej.

Od Korczaka samego, z którym nie był bliżej znajomym, nie miał sposobu o niczem się dowiedzieć. Łamał głowę ktoby z dawnych sąsiadów z lubelskiego mógł to zajście, jeszcze dziś Obdorskiego tak irytujące, objaśnić.

Garbaty Salezy uchodził powszechnie za wszystko wiedzącego i utrzymywano, że—dla tego się tak pilno dowiadywał i sznurkował, że pisał nader ciekawe, drastyczne pamiętniki.

Był to jeden człowiek w mieście, którego tak rzeczy dla innych obojętne, wcale go nie obchodzące—żywo zajmowały, że dla skandalicznej anegdoty gotów był do najnieprzyjemniejszych ofiar osobistych.

— Jeżeli pan Salezy nie wie, no—to nikt — mówił major,—ale tego wyszukać... odgadnąć, gdzie go poniosła ciekawość, fantazyja, kaprys! dopiero sztuka!!!

W mieszkaniu własnem p. Salezego nigdy zastać nie było można.

Upłynęło więc dni parę, nim na ulicy przypadkiem się zetknęli. Salezy Majora nie bardzo lubił, miał go za—pustą makówkę, jak się wyrażał.

Drohostaj, złapawszy go nie puszczał, a zrzęčnosti w badaniu nie miał najmniejszej. Musiał z pokorą uciec się do najszczerzego wyznania, co mu ciążyło.

— Między nami, mój drogi,—rzekł za guzik przytrzymując garbusa—między nami... Chciałem się hr. Saturninowi przysłużyć, no i temu poczciwemu Henrykowi... Namówiłem go, ażeby przyjechał...

Ale—no! byliście tego wieczora!

— Byłem i cóż?

— Trafliło się, że tego samego dnia był Korczak. Znasz Korczaka...

— Znam go...

— Co Obdorski może mieć przeciw Korczakom! he! bo coś ma... a nie mogę się dowiedzieć... Ojcowie się o coś zadarli? Co to było?

Garbusowi twarz się pomarszczyła i skrzywiła okrutnie, jakby zgryzł coś gorzkiego. Stał i żuł, nie mówiąc nic.

— Ba! rzekł naostatek. — Si fabula vera. — było świństwo wielkie..

— Z czyjjej strony?

Garbus jeszcze bardziej się skrzywił.

— Nie z Korczaków—rzekł cicho.—Ale ja... za nic nie ręczę. Sprawę tę zamazano, zaduszono, zatynkowano i cicho...

Drohostaj wcale nie zaspokojony, nie puszczał guzika.

— Nie możesz mi powiedzieć o co poszło?—spytał.

— A do czego ci to!—odparł garbus. Ciekawość pierwszy gradus do piekła, powtóre, to co ja wiem, nie ma innej podstawy nad ludzką gadaninę, po trzecie, jakbym ci to opowiedział, tobyś obiadu nie strawił i najmniej trzy dni byłoby ci gorzko w gębie... Bądź zdrow.

Garbus wychylił swój guzik i szybko uciekł od majora, który pozostał jak wrzty.

— Do licha! —mruknął—hrabiemu Saturninowi nadgniły owoc podać, znaczyłoby na wieki wieków narazić go sobie—a jest mi potrzebnym. Muszę być bardzo ostrożnym... bardzo ostrożnym! Kto mógł przewidzieć, że w tej dziewięcioperłowej koronie i przy takiej pięknej, dystygnowanej powierzchni—znaleść się mogą felery... i podrobione zęby...

Gdy major szedł tak w jedną stronę, rozmyślając jakimby sposobem mógł dotrzeć do głębi i gruntownie się objaśnić o swym protegowanym; garbus puścił się ulicą w przeciwną, niemniej zaintrygowany.

Trzeba było znać p. Salezego, aby zrozumieć to, że sprawa zupełnie mu obca, osób zaledwie znanych, mogła go tak gorąco roznamiętniać jak własna.

Garbus był—starym kawalerem, a położenie uczyniło go rodzajem cenzora w społeczeństwie. Jego życie upływało jednostajnie, bez wypadków, ale za to poczuwał się do solidarności ze światem całym. Pisał pamiętniki, zdawało mu się, że badał ducha wieku, że miał posłannictwo poznania społeczności, której był częścią, potrosze kierowania nią, i spisania jej dziejów.

Wszędzie zaś, gdzie mógł odegrać jakąś rolę czynną, garbus stawał w obronie słabych, jako wróg podejść i fałszów, jako Don Quichot nowy w walce z duchem złego. Pysznił się tą misją swoją, był to jedyny cel jego życia. Majątek miał niewielki, garb na plecach, nazwisko nic nie znaczące, wiek już mu mrzonki szczęścia wybił z gło-

wy—jedyném więc zajęciem jego było: mięszać się do spraw cudzych i naprawiać, co gdzie znalazł skrzywionego i zepsutego.

Pamiętniki, które pisał, noszące tytuł dumny: „Historya mojego wieku,” rozpoczęte były od dawna. P. Salezy zbierał do nich materiały gdzie i jak tylko mógł, robił dopiski, sprostowania, często po całych nocach siadywał nad nimi. Żadna więc, szczególnień skandaliczna historia obcą mu nie była. Niekiedy śledził ją przez długie lata... Zatarł pomiędzy starym Korczakiem a hrabiami Obdorskimi,— w którym chodziło o sfałszowanie dokumentów, dowiedzione niemal dotykalnie Obdorskim, choć nie był zbyt głośnym, bo go rodzina i krewni starali się zatrzeć i przytłumić—nie uszedł baczności cenzora... Salezy miał o nim w pamiętniku najdokładniejsze wiadomości, poparte nawet cudownym sposobem zdobytymi dokumentami.

Uderzyło go zapytanie majora—znajdowanie się w domu hrabiego Obdorskiego, prawdopodobne staranie jego o pannę Marcellinę, i przypadkowe spotkanie z Korczakiem.

Niezmiernie bystry spostrzegacz, garbus, odgadł, że panna mogła mieć słabostkę dla pięknego Stasia, i że potrzebujący bogato się ożenić Obdorski, mógł tu stanąć na przeszkodzie pocziwemu, ubogiemu chłopcu, którego on powinien był protegować.

— Major prowadzi hrabiego Henryka, ale on jest ślepy i daje się użyć, do czego go kto pociągnie. Ja muszę i powinienem czuwać nad bezbronnym Korczakiem—jeżeli tylko panna jest za nim...

Z tego założenia wypadało Salezemu zbliżyć się do Stasia i poznać lepiej rzeczywiste jego położenie i sentymenta.

O matce Korczaka, czy żyła—nie wiedział wcale, lecz—ani słysząc o niej, ani widząc jęj—przypuszczał, że dawno umrzeć musiała.

— Baczność, panie Salezy, mówię biegnąc dalej. Nastęcza ci się zręczność dopomożenia pocziwym, a podstawienia uogi intrygantom...

Zatarł ręce.

— W to mi graj! a właśnie zaczynało być nudno, i na bruku oprócz błota nic nie mogłem znaleźć dla zabawki.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Dzieła uwiecznione na konkursie akademickim.—Albert Sorel: „Europa i rewolucya francuzka. — Artur Chuquet: „Pierwszy napad pruski, Valmy i odwrót Brunszwika.”—Markiz de Courcy: „Koalicja 1701 roku przeciw Francyi.”— Jenerał Thomas: „Kapitulacye.” — Książd Allain: „O sposobie nau czania w r. 1789.”—Jakób Denys: „Komedja Grecka.” — Berard-Varagnac: „Portrety literackie.” — Fremy: „Akademia za ostatnich Walezyuszów.” — Wyse Bonaparte: „Studyum nad kanałem Panama.”—Książd Siccard: „Nau ki klasyczne przed rewolucją.”—Allaire: „La Bruyère w domu Kondusza.” Develay: „Przekład łacińskiej korespondencyi Petrarki.”—Carré: „Przekład poezyi Leopardego.” — Henryk de Pène: Powieść „Trop belle.” — Guillot: „Paryż cierpiący.”—Cochin: „Ewolucja życia.”—Faquet: „Studia nad lite raturą XIX-go wieku.” — Pani Dieulafoy: „Persya, Chaldea, Suzyana.” — Hrabina d’Armaillé: „Życie księżniczki Elżbiety, siostry Ludwika XVI-go.”— Franciszek Fabie: „La poesie des Bêtes.”—Harel: „Na polach.” Zbiór poe zyi.—Emanuel Cosquin: „Zbiór powieści ludu lotaryńskiego.”—Blade: „Po wiastki gaskońskie.” — Fleury: „Literatura niepiśmienna w Normandji.” — Juliusz Lemaître: „Prace krytyczne.”—„Pallas-Athené,” poemat Emila Mo reau.—Caro: „Studyum nad Georges Sand.” — „Pamiętniki o jenerale Car not,” przez syna. — „Walka o Szekspira,” dzieło amerykanina Donnely. — Poeta kanadyjski Ludwik Frechette: „Legende d’un peuple.”

W końcu roku, jak zwykle, Akademia francuzka zdawała sprawę z nagród konkursowych, przez usta sekretarza swego, Kamilla Doucet. Wymowny profesor Boissier wygłosił ze swój strony imiona skromniejszych laureatów, którym przysądzono nagrody za czyny miłosierdzia i ofiary. Tych zasługa większa, acz mniej rozgło śna; wybornie to określił Mickiewicz:

W słowach tylko chęć widzim, w działaniu potęgę,
Trudniój dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę.

W miarę jak, dzięki szczodroblowości francuzkiej, mnożą się konkursowe nagrody, rośnie też liczba współzawodników sięgających po wieńce. Dość powiedzieć, że na konkurs poetyczny, sądzony w tym roku, nadesłano sto ośmdziesiąt sześć poematów. Zadany przedmiot, *Athenée-Pallas*, miał czysto klasyczny charakter; nie zraziło to bynajmniej francuzów, którzy nawet w epoce rozkwitłego romantyzmu nie rzekli się spadkobierstwa starożytnej Hellady, a którzy dziś w zwrocie do tradycji greckich, uważają zbawcze palladyum przeciw rozpasaniu naturalistycznej szkoły.

Z owych stu ośmdziesięciu nadesłanych utworów, Akademia wybrała cztery najcelniejsze; trzy zaszczyliła chlubną wzmianką, za jeden przysądziła nagrodę 4,000 franków! Tym szczęśliwym laureatem jest Emil Moreau, młody poeta, znany zaledwie dotąd z kilku małych obrazków dramatycznych.

Temat *Praca*, zadany na przyszły konkurs, powoła zapewne liczniejszych jeszcze zapaśników. Sąd odbędzie się w roku 1889-ym, w chwili, kiedy wszystkie ludy świata zwoją do Paryża na międzynarodową wystawę bogate plony ludzkiej pracy.

Z pomiędzy wielkiej liczby dzieł historycznych, podanych do konkursu, Akademia uznała jako godną najwyższej nagrody wielką pracę Alberta Sorel, pod tytułem „*Europa i rewolucja francuzka*,” przysądziła jej nagrodę *Gobert* w ilości 10,000 franków.

Na czele uczonego studyum Albert Sorel pomieścił słowa Bossueta, w których czerpał natchnienie, kreśląc dokładny obraz stosunków Francyi z Europą, podczas wielkiego okresu rewolucyi XVIII-go wieku. „Pragnąłbym, powtarza autor za Bossuetem, zebrać główne rysy tej historyi i wydobyć z nich to, co stanowi główną treść dziejów, dalekie przyczyny tych wielkich zdarzeń, których odbicie rozlega się szeroko.“ Stosując do rewolucyi nowoczesnej to, co uczony biskup wyrzekł o rewolucyach starożytnych, tak autor dopełnia swój program: „Wszystko zdumiewa nas, gdy patrzymy na szczegółowe przyczyny, a jednak wszystko postępuje regularnym porządkiem.“ Ten to logiczny porządek p. Sorel wykazuje w dziele swojem.

„Walka wybucha, mówi on, albowiem prawo powszechne nie istnieje pomiędzy Francją a Europą. Walka starych idei z nowemi zasadami, które w danej chwili musiały potraćić o siebie i wywołać wielkie starcie, stanowiące o losach narodów, jedno z tych wielkich zdarzeń, według Bossueta, których odbicie rozlega się daleko.“

Pierwszy tom Sorela odznacza się tém szczególniej, że obejmuje najdokładniejszą analizę ówczesnego stanowiska państw europejskich i usposabia je dla nowego rządu Francyi. Za pomocą nowych dokumentów, drugi tom tłómaczy grę rozmaitych stronnictw, które wewnętrzną niezgodą gubiły Francją, gdy tymczasem na zewnątrz wspólném wysileniem pragnęły przynajmniej ocalić honor narodowy.

P. Sorel zatrzymuje się w chwili, kiedy Europa, która z razu pa-trzyła bez trwogi, a nawet z okrutnym zadowoleniem na upadek Fran-

cy, nagle spostrzegła grożące jej samój niebezpieczeństwo, zbudziła się ze snu, pochwyliła za ořeż. Na tэм kończy się tom drugi, nie będzie on ostatnim.

Tu, gdzie p. Sorel przerywa swój wątek, rozpoczyna rzecz swą Artur Chuquet dziełem, złożoném z trzech tomików. Tytuły ich: „Pierwszy najazd pruski,“ „Valmy“ i „Odwrót Brunszwika.“

Sympatyczny ten przedmiot, przypominający dawne tryumfy, traktowany z niepospolitą sztuką, odznacza się oprócz tego nagromadzeniem faktów i bezstronnością sądu. Osoby działające w dramacie odmalowane wiernym i ciepłym kolorytem. Autorowi dzieła sąd przyznał drugą nagrodę Gobert.

Pomiędzy trzech historyków Akademia rozdzieliła nagrodę Theouanne. Największy dział otrzymał markiz de Courcy, autor dzieła pod tytułem: „Koalicja 1701 roku przeciw Francji.“ Z pracy tój, głębiej sięgającej w przeszłość, sekretarz Akademii Doucet, pocieszający wyprowadza wniosek: „Wszystkie koalicje, jakie nam kiedykolwiek zagrażały, wyrzekł on z wiarą i otuchą, niech w nas obudzą przekonanie, że Francja umie postawić czoło przeciw burzy i znajdzie w sobie dość siły do jej pokonania. Godło stolicy non mergitur, powinno być jej godłem.“

Dzieło markiza de Courcy nie jest wyłącznie historją koalicji 1701 roku. Wypadki wojenne postawił autor na drugim planie; głównym przedmiotem jego badań są traktaty Utrechcki i Rasztadzki, które sprowadziły nakoniec pokój i zerwały ligę europejską. P. de Courcy pokazuje dwóch wielkich wodzów ówczesnych: marszałka de Villars i księcia Eugeniusza Sabaudzkiego, jak zamienieni chwilowo w dyplomatów, działają z niestychaną zręcznością i usiłują prześcignąć się nawzajem.

Drugą część nagrody otrzymał generał Thomas, autor dzieła pod tytułem: „Kapitulacja, studjum historyczno-militarne, nad odpowiedzialnością komendanta.“ „Jaki jest, zapytuje autor, obowiązek wodza, na którego ramieniu cięży byt tylu jednostek, a który ma zdać sprawę przed ojczyzną z powierzonych mu pod straż chorągwi? Czy to w oblężonej twierdzy, czy tóż na polu walki, jakie wyższe uczucie ma go pobudzać do działalności? Z pomiędzy zalet moralnych, stanowiących w całości to, co Napoleon zwał bożką częścią w sztuce dowodzenia, która ma panować nad innemi i nadawać im kierunek? Na to odpowiada generał Thomas: „energia, niezłomna moc charakteru. Wszystko można poświęcić, wszystko nawet utracić, prócz honoru, jak niegdyś pod Pawią. Ale żadnej słabości usprawiedliwiać się nie godzi. Tę wzniosłą naukę daje autor dzieła, taką tezę rozwija stylem jasnym, ścisłym i spokojnym.

Trzecią część nagrody, przysądzono księdzu Allain za rozprawę: „O sposobie nauczania w r. 1789,“ według ówczesnych kartonów. Autor traktuje z bezstronnością i wielkiém umiarkowaniem, ważną

sprawę, zajmującą pedagogów od lat stu i dotychczas nie rozstrzygniętą.

Od historii przechodzimy do literatury. Nagrodę fundacji Bordin, rozdzielono pomiędzy dwu laureatów. Większą część otrzymał Jakób Denis, dziekan fakultetu literatury w Caen, autor dwutomowego dzieła pod tytułem: „Komedia grecka.“ Jest to dokładna historia ducha greckiego, badana w jednym z najświetniejszych swych objawów. Dzieło to śmiało postawić można, mówi sprawozdawca, obok pierwszorzędných praw niemieckich. Z erudycją właściwą Niemcom, autor łączy tę jasność wykładu, ten wdzięk kompozycyi, któremu literatura francuzka zawdzięcza wpływ swój na umysły oświecone.

Drugą część nagrody przyznano panu Berard-Varagnac za dzieło pod tytułem „Portrety literackie.“ Młody ten pisarz, stały współpracownik Debatów, odznacza się wysoką zdolnością krytyczną i wytrawnym sądem w badaniu prac literackich i charakterów.

Do tegoż działu krytycznego, należą prace czterech laureatów, którym sąd przyznał nagrodę fundacji Guerni. Wyliczmy te prace po kolei.

Edward Fremy napisał ciekawe dzieło pod tytułem: „Akademia za ostatnich Walezyuszów.“ Pokazuje on, że na sto pięćdziesiąt lat przed fundacją kardynała Richelieu, istniała chwilowo w Paryżu, pierwsza Akademia, za czasów Karola IX-go, wznowiona za Henryka III-go. Na czele jej stał Guy de Faur Pibrac, który zajmował w Polsce ważne stanowisko na dworze Henryka Walezyusza. Ten związek Akademii świadczy, jak dalece w szesnastym wieku, posunięty był smak do sztuk pięknych i literatury. Pibrac pozostawił w rękopiśmie historyczny obraz najuczeńszych mężów z królestwa. Rękopism ten spoczywał zagrzebany w bibliotece Kopenhadzkiej: Edward Fremy wysnuł z niego ważne i zajmujące dzieło.

Drugi laureat Bonaparte Wyse, przed dwudziestu laty młody porucznik okrętu, zwiedził z niebezpieczeństwem życia najdalsze i najmniej znane kraje Ameryki środkowej. W dziesięć lat potem, kiedy międzynarodowy geograficzny kongres, zebrany w Paryżu w r. 1875, podjął sprawę przebicia międzymorza Panamy, p. Wyse, pełen wiary w przyszłość myśli podjętej, puścił się na nowo w podróż z kilku towarzyszymi, chcąc na miejscu rozwiązać wielki problemat. Owocem tych dwóch wypraw i badań dokonanych, jest ciekawa książka p. Bonaparte Wyse nagrodzona przez Akademią.

Dzieło księdza Siccard, trzeciego laureata, p. t.: „Nauki klasyczne przed rewolucją,“ stanowi ważne i ciekawe studjum nad metodą nauczania w szesnastym, siedemnastym i ośmnastym wieku.

Nagrodę fundacji Halphen, otrzymał w całości Edward Droz, autor uczonej rozprawy „O sceptycyzmie Paskala.“ W swoim czasie Wiktor Cousin, badając rękopism tego myśliciela, przyszedł do wniosku, że Paskal przeszedł okres zwątpienia i zwrócił się do wiary, aby uciec od sceptycyzmu. Ta hipoteza stała się legendą; odtąd młodzi li-

teraci, zarażeni chorobą sceptycyzmu, widzieli w Paskalu poprzednika swego. Droz obalił legendę; pokazał dowodnie, że Paskal w żadnej chwili życia nie utracił wiary, lecz był zawsze gorącym chrześcianinem.

Nagroda Guizota przypadła panu Allaire. Fundator przeznaczył co lat trzy premium 3,000 franków, za dzieło nad daną epoką w literaturze francuzkiej, albo nad życiem i pracami jednego z wielkich poetów lub prozaików. Temu pragnieniu wybornie odpowiada dzieło pod tytułem: „La Bruyère w domu Kondeusza.“ Jak niegdyś La Bruyère, tak niedawno jeszcze p. Allaire był domownikiem w Chantilly. Tam idąc ślad w ślad za mistrzem, napisał piękny życiorys, a co więcej dał wierny obraz społeczeństwa, w którym żył sławny autor „Charakterów.“

Nagrodę Juliusza Janin za doskonały przekład przysądzono panu Develay, tłumaczowi „Korespondencji łacińskiej Petrarke.“ Inną nagrodę Langlois, przeznaczoną zarówno dla tłumaczy, otrzymał profesor Aise, za przekład „Sielanek“ Teokryta, i Eugeniusz Carre za tłumaczenie poezji florenckiego poety Leopardgo.

Świetny publicysta Henryk de Pene w roku zeszłym wystąpił po raz pierwszy z powieścią i odrazu stanął w rzędzie pierwszorzędnym romansistów francuzkich. Powieść jego p. t.: „Trop belle,“ (zbyt piękna), uwieńczyła Akademia nagrodą Jony, ufundowaną w celu popierania literatury pięknej.

Na konkurs fundacji Monthion'a nadesłano w tym roku sto sześćdziesiąt dzieł rozmaitej treści. Oto nazwiska laureatów i tytuły prac uwieńczonych.

Adolf Guilot, sędzia trybunału cywilnego Sekwany, wydał książkę nadzwyczaj ciekawą p. t.: „Paryż cierpiący.“ Pięknie ocenił ją sprawozdawca konkursowy; przytaczamy jego słowa:

Wśród tego świetnego Paryża, oddanego zabawom, tonącego w zbytkach, uganiającego się za złotem i błyskotkami, autor otworzył nam przed oczyma drzwi żałobnej Morgi, gdzie nędza, zbrodnia, samobójstwo, ostatni znajdują przytułek. Kreśli on historią owego domu śmierci, zmiany jakie przechodził, jego stosunki z sądownictwem, z władzą medyczną, z przewrotami społecznymi. Wszystko to obejmuje ta smutna, ale nauczająca książka; śnać pisał ją filozof spirytualista, poważny urzędnik, świadomy rzeczy, bo ją zbadał gruntownie w ciągu długiego zawodu.

Inny spirytualista, Dyonizy Cochin, słysząc głoszone raz poraz w imię nauki zasady przeciwne jego przekonaniom i wierze religijnej, oburzony tém do żywego, napisał piękną książkę pod tytułem „Ewolucya życia.“ Zbija w nią całą siłą fizyczne i chemiczne teorye przeciwników, idzie za nimi trop w trop, wdziera się w najwyższe sfery nauki, występuje do walki jako wytrawny szermierz, wyraża się jasno, z całą ścisłością uczonego, z zapałem szczerego chrześcianina.

Emil Faquet pod tytułem „Studia literackie nad XIX-ym wie-

kiem, napisał dzieło wysokiej wartości, pełne głębokich uwag, zalecające się stylem wytwornym. Ostry krytyk wypowiada bez ogródki gorzką prawdę, strąca z piedestałów bożyszcza, niedawno otoczone bałwochwalską czcią młodej generacji. Dzieło to nie pozostanie bez wpływu.

W liczbie laureatów konkursu Monthion'a widzimy dwie kobiety. Pierwszą z nich Joanna Dieulafoy. Ta śmiała podróżniczka przebiegła daleką przestrzeń, z Teheranu do Chiras, zwiedziła Ispahan i Bagdad, deptała po zwaliskach Persepolis i Babilonu. Nigdzie tam bitej drogi, zgłiszcza tylko i głuche stopy! morowe powietrze, cholera, jadowite robactwo, a mianowicie febra, której nikt nie unikniel Tam, pod skwarnym słońcem, wśród zabójczych miazmatów, widzimy niestrudzoną parę: uczonego archeologa i dzielną jego małżonkę, jak przez dzień cały nie zsiadają z konia; nocą spoczywają pod gołym niebem; słowem walczą z tysiącem trudów i niebezpieczeństw. Owe to przygody z prostotą i wdziękiem opisała podróżniczka w obszerném dziele po tytulem „Persya, Chaldea i Suzyanna“¹⁾.

Druga laureatka hrabina d'Armaillé z rzewném uczuciem opowiedziała życie i męczeński skon księżniczki Elżbiety, siostry Ludwika XVI-go.

Trzech powieściopisarzy otrzymało nagrody Monthion, za utwory pełne wdzięku i myśli nieskażonej, co stanowi niezwykłą dziś zaletę. Pan St. Juirs za powieść „Madame Bourette,” Emil Gossot za powieść „Madelaine,” i Racot autor „Wilczj Kniei.” Ten ostatni zgasty przedwcześnie, umarł w dniu, kiedy Akademia przyznała mu zaszczytny wieniec.

Alzateczyk Mossman, nagrodzony został za piękny życiorys Dolfusa, alzackiego patrioty, znanego z uczuć i poświęceń dla Francji.

W konkursie tym dział osobny przeznaczony zwykle dla poezyi: w tym roku dwóch poetów otrzymało koronę.

W ładnym tomiku p. t.: „La poesie des bêtes,” Franciszek Fabie zajmuje się głównie ulubionemi mu zwierzętami, na każdej karcie potrąca o pełne poezyi życie rolnicze. Autor jest profesorem jednego z liceów paryzkich. Na czele tomu, poświęca poemacik ojcu swemu, ubogiemu drwalowi. Poczciwy ten ojciec nie umie wcale czytać, ale gdy spostrzegł w synu wyższe zdolności, z niemałym poświęceniem wy kierował go na uczonego człowieka. W dedykacji tój poeta wypowiada swą miłość dla rodziny i domowych progów, nie tylko z głębokiem uczuciem, ale i pełną życia energią. Te sto pięćdziesiąt wierszy godne same przez się nagrody akademickiej.

Drugi poeta, Paweł Harel, normandczyk, oberżysta z Echauffour, w tomiku p. t.: „Na polach,” zebrał pieśni przesiąkłe wonią wiejską. Wiersz jego odznacza się pogodą i wesołym dowcipem.

Pojęła wybornie Akademia, że w ludowej poezyi leży siła, która odrodzić musi poezyą. Ztąd tóż nagrodę fundacyi Archon-Despe-

¹⁾ Zob. Bibl. Warsz. 1887, t. I, str. 411 i n.

rouse rozdzieliła w tym roku, pomiędzy zbieraczy pieśni i powieści ludowych. Część jedną otrzymał Emanuel Cosquin, za „Zbiór powieści ludu lotaryńskiego,“ drugą Blade za ludowe powiastki gaskońskie, trzecią Fleury, autor ciekawego tomu o literaturze niepiśmiennej niższej Normandyi. Akademia, oprócz nagród z celem ściśle określonym, ma jeszcze kilka innych, któremi rozporządza nie w nagrodę pojedynczego dzieła, ale na zachętę dla utalentowanych szermierzy, rozpoczynających zawód literacki. Taki zasiłek otrzymał dziś Juliusz Lemaitre, jeden z najzdolniejszych krytyków i publicystów z młodszego pokolenia. Otrzymał również nagrodę popularny pisarz Anatol Claveau, dzielny zapaśnik przeciwko straszliwej powodzi, która zagraża dziś wszelkim uczciwym zasadom, kazi smak i doprowadza literaturę do upadku.

Rozkwit prasy nie tyle podobno szkodzi literaturze, jak to niektórzy utrzymują. Lekka z natury swojej, odrywałaby zapewne erudytów od badań, wymagających ścisłego skupienia myśli, co zaś do właściwych literatów, ci otoczeni atmosferą powiewającą w dziennikach, czerpią w niej nieraz pobudki, do fantastycznego polotu. Powiedzmy na dowód, że wśród tegorocznych zwycięzców konkursowych, znajdujemy imiona dwunastu pisarzy stale pracujących w dziennikarstwie.

Wspominaliśmy kiedyś, że bogata Amerykanka pani Botta, ofiarowała Akademii francuzkiej znaczną sumę, od której procent 3,000 franków miał nagrodzić co lat trzy dzieło, podnoszące myśl emancypacji kobiety. Akademia odmówiła daru, utrzymując, że nie jej rzeczą wdawać się w społeczne zagadnienia. Donatorka zmieniła program i sam nawet tytuł konkursu. Wyras *emancypacja* zastąpiła *stanowiskiem*. Akademia musiała ustąpić, opór jej bowiem ośmieszały dzienniki. Nie ustawały jednak spory między propagatorką emancypacji, a konsorwetywnem ciałem naukowem. Spory te trwały lat dziesięć, jak niegdyś wyprawa greków na Troję. Czas ostudził zapał amerykanki; nie cofnęła datku, pozwalając Akademii rozporządzać nim dowolnie w interesie literatury.

Premia tegoroczne w ogólności, wyniosły 100,000 franków. Znaczna ta suma nie wystarczyła na wynagrodzenie wszystkich dzieł, które zwróciły uwagę sądu konkursowego. Kilkanaście z nich otrzymało chlubną wzmiankę; wymienimy tu ich tytuły.

„Misyja Jana de Thumery,“ p. Kermengant. „Małżeństwo królewskie,“ Pawła Raynal. „Listy z Tonkinu,“ przez Rene Normand, młodego oficera strzelców, poległego w tej wojnie. „Miłość chorągwi“ (*l'amour du Drapeau*), Pawła Vernier. „Dawni finansisci,“ hrabiny de Janze. „Nasze dzieci,“ zbiorek poezyi Amelii de Wailly „Brautauka Organisty,“ zbiór powieści Jana de Nivelles.

Franciszek Coppée odczytał w końcu uwieńczony poemat Emila Moreau. Poemat ten, wytworny formą i blaskiem kolorytu, pod tytułem „Pallas-Athenée“ jest tworem czysto klasycznym. Sam przedmiot, opiewający chwałę Hellady, skłaniał się zupełnie ku temu. W po-

staci opiekuńczej bogini Aten, poeta usymbolizował cywilizacją grecką. Kreśli nasamprzód przerażający obraz: Nad ziemią rozpostarta noc czarna, wśród ciemności kroczą Tytany, głodną paszczą chłoną tysiące gadów, wyległych w trzęsawiskach. Hydry i Gorgony gniewią się w głębi podziemnych pieczar; Gryfy i Harpije wtórują z pogwizdem rozpasanym falom oceanu. Nagle wśród tej ciemności migocze słaby przedświt. Drżą Tytany, zwołują się wściekłym porykiem, brną przez rzeki i topieliska; wrywają z korzeniem dęby w lesie, druzgoczą skały, ze złomów opok budują olbrzymie wschody, wdzierają się na szczyt Olimpu.

W przybytku bogów głucha cisza... posnęli nieśmiertelni. W tém z poza bram ukazuje się Pallas, przezysta jak śnieg, na wierzchołkach gór; z jasnych jej oczu wytryska żywy płomień. Tytany nie znają tego blasku; pod piorunującym wzrokiem Pallady staczają się w bezdenną otchłań. Zorza świta, promień przebiega od gór do gór... zbudzona ze snu Grecya występuje na widownię dziejową. Mijają wieki, a oto nowa zagraża jej powódź:

Kiedy od Helespontu rozkosznych wybrzeży
 Ku pogodnym niebiosom pieśń za pieśnią bieży,
 Azya z poza morza, przez kipiące fale,
 Groźną pieśń na kark Greków zamierza zuchwale,
 Zżyma się wściekła z gniewu, gdyż od niej zbyt blisko,
 Świeci blaskiem słonecznym wolności ognisko.
 Z głębi świątyń, gdzie całun nocy rozpotarty,
 Gdzie potwór nad swą dziatwą pastwi się zażarty;
 Z głębi ciężkich pałaców, gdzie drży zdjęty trwogą
 Satrapa, gdy go katy okrążą złowrogo,
 Z głębi sławnych ogrodów, nad poziom wzniesionych,
 Z głębi pustyń, na popiół skwarem przepalonych,
 Kędy żarłoczne plemię, gdy go głód ośmieli,
 Chciwą ręką wydziera łup z kruczej gardzieli,
 Z głębi grodów, okutych w szereg baszt wysoki,
 Straszliwy okrzyk chórem uderzył w obłoki.
 Tak ryczały olbrzymy, gdy z niebios przestworza,
 Raz pierwszy błysła ziemi promienista zorza.

I od Suzy do Tyru po brzeg Ekbatany
 Lud miota się i kipi, chce szaleńcem porwany
 Zgasić jasną pochodnię; pokruszyó lir struny,
 Od gór do gór, na sygnał świecą krwawe łuny,
 Pędzą wielkie gromady, stal z rąk ich połyska.
 Liczne, jak much nad trupem czarne rojowiska
 Sarmaty, Massagiety z głowy kudłatymi,
 Negry, których imiona przypadły na ziemi,
 Przybysze z krajów wonnych, balsamów i myrry,
 Arabi, koczownicy zo stepów Palmiry,

Kurdule w włosiennicach z olbrzymiami spisy,
 Straż assyryjska, zbrojna w miedziane kirysy,
 Dziesięć tysięcy w hełmach złocistych na głowie,
 Od mórz hyperborejskich ubiegli Scytowie,
 Kapłany Astartei, kapłany Baala,
 Kserkses, niesion w lektyce, z nim narodu fala,
 Wszystko kroczy na Zachód przy trąb grzmiącym chórze,
 Wśród włóczni i oszczepów błyskających w górze.
 Nad tą falą, jak skały z głębi morskiej toni,
 Sterczą siwe gromady objuczonych słoni.

Idą. Śladem ich lecą ómy krwi choiwych ptaków,
 Most na łyżwach połączył Mezję z ziemią Traków;
 Olbrzym Athos, podwójną oblany zatoką,
 Puszcza tysiące statków na przestrzeń szeroką,
 Flota, jak pług olbrzymi, orze morskie tonie:
 Azya rozszalała wnet Greków pochłonie.

I tysiące tysięcy majtków i szermierzy—
 Gdy okręt szybkim pędem przymknie do wybrzeży—
 Przez złomy i krawędzie drze się na grzbiet skały.
 Walka wre. Grzmią okrzyki. Pogwizdują strzały,
 Niby skrzydlate węże wiją się w przestrzeni.
 Zmącone krwi potokiem morze się czerwieni.
 Białe miasta w płomieniach.

Zkąd nagle przemiana?

Łucznicy i szermierze, óma ludów zebrana,
 W lat tysiące tysięcy odbiegły szeregu;
 Żeglarze przerażeni wstecz pomknąwszy brzegu,
 Niebaczni na sterczące z głębi wód opoki;
 Okręty Archipelag zaległy szeroki.

Zatrzęsły się w poradach doliny i wzgórze?
 Wiatr-że zadał przeciwny?... czy szalona burza
 Pobnęła statki od brzegów—na wschód? to nie dreszcze
 Wstrząsnęły ziemi tonem, ni wichry złowieszcze
 Zmiotły flotę — i zbrojnych spłoszyły gromady,
 To Pallas nieśmiertelna! to włócznia Pallady
 Sieje postrach — rozpędza galary i wozy,
 To bogini zwycięzka, pełna świętej grozy,
 Istna pszczołka, co w słońcu polyska i karci,
 Rój szerszeni, — gdy miody wykradną z jój barci!

Publikacya Hachetta, pojawiająca się częściowo pod tyt. „Les grands écrivains Français“ (wielcy pisarze francuzcy), odpowiedziała powszechnemu oczekiwaniu.

Z żywem zajęciem odczytaliśmy tomik, obejmujący charakterystykę Georges Sand; głos to pozagrobowy profesora Caro, wielkiego psychologa, który nie dawno jeszcze tak poruszał umysły i serca z katedry Sorbońskiej. Z nadzwyczajną delikatnością krytyk przebiega zawód literacki genialnej autorki, nie wchodzi w szczegóły jej życia, zatrzymuje się tylko nad utworami. Pochwycony czarodziejskim ich blaskiem, zda się nawet, jakby nie dosyć pamiętał, ile to głów niewieścich rozplómięło to pióro genialne, w ilu sumieniach zamąciło poczucie obowiązku, ile potargało świętych rodzinnych węzłów, ile pomiędzy kobietami namnożyło istot skłóconych życiem, smutnych ofiar rozgorączkowanej wyobraźni!

Na tę zbytnią pobłażliwość krytyka dla idealistki wpłynęło niewątpliwie obrzydzenie, jakim przejmują go realistyczny prąd, strącający dziś literaturę w głąb cuchnącego bagniska. Nie wątpi on, że część romansów Georges Sand, mianowicie te, w których z taką poezyą i taką prawdą maluje życie ludu, pozostanie na pociechę przyszłych pokoleń; wie, że w niechybnem odrodzeniu literatury powieściowej i dramatycznej utalentowana pisarka, zwolenniczka ideału, znajdzie odpowiednie jej miejsce.

Na szczególną uwagę zasługuje pogląd filozofa-moralisty na dzisiejszy stan umysłowy społeczeństwa. „Nowe obyczaje, mówi Caro, spowodowały niesłychany rozrost powieści i naznaczyły jej przeważne miejsce w życiu dzisiejszém. Trudno jednak przypuścić, aby powieść naturalistyczna miała na zawsze zajmować to miejsce. Dwie sprzeczne teorie ścierać się będą w umysłach ludzkich i brać górę kolejno. Jeśli powieść króluje dziś w literaturze, przyczyną tego nudy, choroba tegoczesna, której dawne pokolenia mniej podniecane, a przejęte religijną wiarą, nie znały w takim, jak my stopniu, owe nudy, pochodzące z próżni rozumu i serca, plaga dzisiejszych ludzi. Dawniej w chwilach wolnych od codziennój pracy, zajmowano się żywo to konwersacją, jak w XVIII-ym wieku, to praktyką religijną, jak w XVII-ym, to sprawami reformy i odrodzenia, jak w wieku XVI-ym. Dziś, kiedy walka o byt pochłania życie, i czegoż w chwilach spoczynku ma szukać umysł na tój szerokiej a bezmyślniej pustyni, jaką przedstawia świat intelektualny dla więkšej części ludzi? Owóz powieść zajęła miejsce, jakie niegdyś zajmowały spory teologiczne, a w zeszłym wieku wielkie pytania, podjęte w celu odnowienia gmachu społecznego. Zbyteczny rozwój pozytywizmu stworzył zarazem potrzebę schronienia się przed nim na chwilę. Nic, nawet chęć zdobycia dóbr i użycia zapracowanych bogactw, nie zagłuszy potrzeb umysłowych. Napróżno świat rzuca na pastwę dzisiejszych ludzi zabawy i wszelkiego rodzaju rozrywki, ukołysze ich, lecz na krótko. Wtedy, gdy człowiek zda się zapominać o swém wewnętrzném ja, budzi się nagle, wchodzi wgłąb siebie znudzony codziennym życia trybem. Ale odwykły od myślenia, trwoży się wobec tój głuchój ciszy, jaką spotyka w duszy własnej. Ideały religijne i filozoficzne przestały już nawiedzać tę du-

szę, hołdującą pospolitym bożyszczom. Poważna literatura odstrasza oddawna te umysły wyjąłowione złą i powierzchowną uprawą. Cóż zapełni tę wielką pustkę? Teatr tylko, a bardziej jeszcze powieść. Ta ostatnia zawsze jest pod ręką, gotowa zapełnić tę chwilę, którą człowiek spędza z sobą sam na sam, nie wiedząc o czém myśleć. Dla młodych zwłaszcza ludzi i dla kobiet romans stał się głównym pokarmem umysłowym, jedyną, rzec można, literaturą.“

Tu krytyk wyraża pragnienie, aby powieść stała się przynajmniej czém inném, jak prostą rozrywką chorobliwej wyobraźni, aby okupiła swoje wszechwładne panowanie, rozsiewając promyk ideału na to biedne życie, tak szamoczące się na zewnątrz, a wewnątrz tak bezbarwne, tak smutne. „Jeśli ideał wygnany z życia rzeczywistego, mówi Caro, niechże przynajmniej połyska w tym sztucznym świecie, roztoczonym przed wyobraźnią naszą! a godziź się nazwać sztuką ów szereg bezecnych typów i scen skandalicznych, jakie autorowie dzisiejsi przesuwiają nam przed oczami pod pozorem, że malują życie jakim jest, że badają do gruntu obyczaje? Tak pojęta powieść staje w sprzeczności z jedynym celem, który usprawiedliwić ją może; a tym celem podnieść człowieka nad nędze, smutki i nudy życia codziennego, dać mu choćby na kilka godzin ułudny obraz świata, w którym uczucie silniejsze, charakter śmieliej zarysowane, miłość szlachetniejsza, promień słońca jaśniejszy, niżli w życiu powszedniém.“

Georges Sand tak pojmowała powieść, mówi Caro, i dla tego to pragnie krytyk, aby utwory jęj dziś zapomniane, wystąpiły jeszcze z ukrycia. Nie stosuje on tego przecież do Lelii, Jakóba i innych tym podobnych wybryków rozgorączkowanej wyobraźni.

Caro poznał słynną autorkę w późniejszych jęj latach, odwiedził ją w Nohant w roku 1861. W kilku rzutach pióra tak maluje postać jęj z pozoru niewydatną. „Pięćdziesiąt siedm lat wycisnęło już ślady na jęj całej osobie i przyćmiło ten blask fizyognomii, który, mimo cokolwiek grubych rysów, stanowił główną jęj piękność. Kibić jęj ociężała; oczy pozostały piękne, ale nieco przygasłe. Znać było w nięj jakieś znużenie umysłowe.

„Gościnną była, lecz w sposób poważny i milczący; ktoby chciał pozostać przy pierwszym wrażeniu, sądziłby ją z tęg strony dość surowo.

Nie była nigdy gadatliwą; brakło jęj błyszczącego rozumu w paryzkiém znaczeniu słowa, podziwiała go w drugich, sama jednak nie umiała dostroić się do tonu dowcipnej rozmowy. Gdyby nie ceniono jęj wysokięj inteligencyi, byłaby w towarzystwie dość smutną odgrywała rolę.

W ostatnich dwudziestu pięciu latach życia nic w nięj nie przypominało tęg fantastycznęj kobiety, rozpedzonej za wymarzoným ideałem, traktującęj wszystko, co jęj stanęło w drodze. „Życie w Nohant (pisała wtedy do przyjaciela) toczy się regularnie, jak za klasztorną kratą: śniadanie, godzina przechadzki, pięć godzin pracy dla tych, któ-

rzy pracują, obiad, domino, robota na kanwie, ktoś na głos czyta nowy romans, — takim trybem dni ubiegają. Latem urozmaica je praca w ogródku, zimą zaś ulubione marynetki.“

Caro podziwia w Georges Sand łątwość niesłychaną w tworzeniu, przypisuje to nie samęj tylko potędze talentu, ale niemniej rozległym wiadomościom, nabytym w młodości. Czytała wtedy bardzo wiele, wprawdzie bez ładu, ale z tego wszystkiego powstał jęj bogaty zasób wiedzy. Wybornie tę sama rozumiała i określiła potrzebę nauki, aby sztuka czerpała w nięj zasilek.

„Ja nie wiele umiem, pisze Sand, a przecięz pozostało mi coś z przeczytanych dawnięj ksiązek i nabytęj nauki. Brak mi pamięci, ale uczyłam się pilnie, a w siedmnastym roku życia pracowałam po całych nocach.“

Usilnie tęż zalecała tę metodę młodym dyletantom, którzy zasięgaliby jęj rady. „Chcesz być literatem, pisała do jednego z nich, wiem o tēm dobrze. Mówiłam ci już, będziesz nim jeśli zechcesz pracować. Sztuka nie może się obejść bez obszernęj i różnostronnęj wiedzy. Uderza cię zapewne brak mocnęj podstawy w wielu utworach dzisiejszych; pochodzi to z braku nauki. Najzdolniejszy umysł nie wyrobi się nigdy, jeśli nie przełamał trudności pracą, wymagającą wielkiego wytężenia woli.“ Na tę przygotowawczą higienę kładzie zawsze najsilniejszy nacisk. „Masz instynkt i upodobanie w sztuce, pisze w innym liście, ale widzisz na każdym kroku, że artysta, wyłącznie tylko artysta, będzie zawsze besilnym, to jest miernym, to jest szaleńcem! Myślisz-li, że może wydać coś ten, kto sam nie zbierał? że mu wystarczy cudze uwagi i rady? Bynajmniej! nie wykręcisz się w tak łątwy sposób. Trzebaż ci żyć i szukać, wiele przetrawić, wiele umikować, wiele przecierpieć i nie ustać w pracy, słowem, musisz znać prawa fechtunku nim pochwycisz za szpadę. Chciałbys czynić jak te warchoły literackie, co tak wysoko się cenią, bo drukują błazeństwa i androny? Uciekaj od nich, jak od powietrza; to robactwo, toczące literaturę.“

Długo zatrzymuje się Caro nad korespondencją Georges Sand, mianowicie z lat jęj późnięjszych; przebiega z upodobaniem listy do Gustawa Flaubert'a, pełne wytrawnego sądu nad prawdziwem zadaniem sztuki. Flaubert z Teofilem Gautier stworzyli szkołę, głoszącą, że sztuka sama sobie jest celem, że z pięknęj formy rodzi się idea, a więc o formę troszczyć się przedewszystkiēm należy. Georges Sand zbija silnie tę fałszywą zasadę. „Bierz pokarm, mówi, z głowy i serca, z myśli i uczuć twoich, a słowa i frazesa przyjdą same przez się; znajdzie się forma, o którą ci tak idzie. Ty widzisz w nięj cel, a ona jest tylko wypływem. Zupełna bezstronność jest rzeczą anti-ludzką, a powieść ma być ludzką przedewszystkiēm. Jeśli nie jest nią, nie przyda się na nic; choć najwytwornięj napisana, nie obudzi zajęcja. Zachowaj cześć dla formy, ale niech grunt rzeczy nie cierpi na tēm. Nie uważaj cnoty za komunał w literaturze, niech ma przedstawiciela

swego. Postaw uczciwego i silnego duchem człowieka obok szaleńców i idiotów, z których szydysz. Porzuć czarne podziemia realistów, a powróć do prawdziwej rzeczywistości, która łączy w sobie piękno i brzydotę, światło i cień, ale w której wola skłania się zawsze ku dobremu.“

Na tych słowach kończy Caro swoje studyum. „Cokolwiek bądź, dodaje, powiedzieć możemy o Georges-Sand, o awanturniczych przygodach, w jakie rzuciła ją ognista wyobraźnia, o chimerycznych uniesieniach, które niegdyś porywały myśl jęj na bezdroża, to jednak pewna, że w jęj korespondencyach widzimy skarb doświadczenia, wzboğacający się coraz bardziej i coraz lepiej spożytkowany. Jakkolwiek uważać będziemy jęj życie i jęj dzieła, w tych listach ukazuje się uszlachetniona jęj postać. Zostawiła ona ślad nie zatarty w literaturze tego wieku, obfitością pomysłów, genialnym stylem i wysokim pojęciem sztuki.

Obiór nowego prezydenta rzeczypospolitęj Francuzkięj, zwrócił tu uwagę powszechną na rodzinę Carnot'ów. Nie sięga ona głębkoięj starożytności, ale odznacza się tēm, że przedstawiciele czterech znanych pokoleń, pozyskali sławę ludzi uczciwych i dobrych patriotów. Żyjący dotąd ojciec prezydenta, ośmdziesięcio-sześćioletni dziekan senatu, związany dawną przyjaźnią z historykiem Henri Martin, połączony z nim wspólnością myśli i uczuć, nie może być i dla nas obojętnym. On to przyczynił się najdzielniej w roku 1868, do zmiany tytułu katedry języka i literatury słowiańskięj, na tytuł katedry języków i literatur, świadomy bowiem dziejów naszych nie mógł ścierpieć, aby objawy cywilizacji polskięj, zdobyte wiekową pracą tylu pokoleń, miały utonąć w szerokięj morzu słowiańskięj i utracić właściwą sobie indywidualność.

Ów senator Carnot, ojciec prezydenta, był synem słynnego organizatora siły zbrojnej z czasów rewolucyi, przezwanego wielkim Carnotem — organizatorem tryumfu, on bowiem w roku 1793 rzucił czternaście armii na sprzymierzoną przeciw Francyi Europę i oswobodził Francją.

Szereg republikanów przez ciąg rządów Napoleońskich trzymał się na uboczu, wówczas dopiero, kiedy armie sprzymierzone zalały kraj, wystąpił na widownią, ofiarował Napoleonowi swe sześćdziesięcioletnie ramię i śmiało pochwycił za oręż. Po upadku cesarstwa, kiedy Napoleon złożył koronę i miał opuścić Francją, obecny w Fontainebleau przy pożegnaniu Carnot zapłakał rzewnie. Spostrzegł to Napoleon, podał mu rękę i wyrzekł rozrzewniony: „I czemuż poznałem cię zbyt późno!“

Za powrotem Burbouów generał Carnot, wygnany z kraju, przebywał czas jakiś w Warszawie z piętnastoletnim synem, dzisiejszym

senatorem; ztamtąd udał się do Magdeburga, gdzie zamieszkał stale. Umarł tam w roku 1823. Zwłoki jego dotąd tam spoczywają.

W roku 1861 senator Carnot wydał dzieło w dwóch tomach p. t. „Mémoires sur Carnot par son fils.“ Dzieło to wyczerpane, wkrótce zapewne nowego doczeka się wydania. Pięknje rozpoczyna je autor: „Niegdyś, mówi on, zwyczajną było rzeczą, przechowywać archiwa domowe; dziś wielkie tylko domy, pyszne z rodowodu swego, zachowują ten zwyczaj. Témcı gorzej zaprawdę! Poszanowanie dla naddziadów świadczyło nie raz o ich cnotach i dzielną dawało pobudkę do ich naśladowania.“

Taką to książkę patryarchalną znalazł autor po dziadku swoim, ojcu wielkiego Carnota. Mieszkał on w wiosce normadzkiej, miał ośmnaścioro dzieci, czternastu chłopców i cztery córki: z tych wychowało się tylko siedmioro. Żona umarła, mając lat z górą siedmdziesiąt: żadne z dzieci nie domagało się spadku po niej, ojciec sam zmusił je do przyjęcia macierzystej spuścizny. Datę przyjścia na świat każdego dziecka zapisywał w księdze dobry ten ojciec, a obok tego kreślił życzenia swoje dla nowonarodzonego. Przy imieniu córki Joanny Petronelli zapisał te słowa; „Niech Bóg udzieli jej łaski, aby była roztropną, skromną i miłosierną.“ Spełniły się pragnienia rodzicielskie: Joanna poświęciła życie na usługę chorych, przez lat pięćdziesiąt dwa rządziła jak przełożona, szpitalem Sióstr Miłosierdzia w Nollay. W tych obowiązkach poprzedziła ją siostra, zmarła w młodym wieku; na grobie jej położono kamień z napisem: „Małgorzata Carnot, matka ubogich.“

Drugim dzieckiem był przyszły organizator armii republikańskiej: obok jego imienia, ojciec położył taki napis: „Dnia 13 maja 1753 roku po niesporach, przyszedł na świat mój syn Łazarz; w tymże dniu ochrzcił go ksiądz Wikaryusz z Nollay. Urodził się w czasach wielkich klęsk, kiedy śmierć zabierała mnogie ofiary w okolicy i prowincyi całej. Niech Bóg chroni go w ciągu całego żywota; oby postępował w bojaźni Bożej i zasłużył sobie na Jego miłosierdzie.“

W czterdzieści lat potém, w r. 1796, kiedy syn, usunięty od władzy, przebywał w obcym kraju, stary ojciec na krótko przed śmiercią tak skreślił w czterowerszu obraz tego ukochanego syna:

„Widziałem go od dziecka skłonnym ku dobremu,
Widziałem synem, ojcem, bratem i żołnierzem,
Czy obrzucon potwarzą, czy na władzy szczytoie,
Bez zółci i bez pychy zawsze był jednaki!

Zasługują na szczególną uwagę słowa generała Carnot, wyrzeczone niegdyś z trybuny, powtórzone w pamiętnikach syna:

„Przyjacielem ludu jest ten, którego szukać potrzeba długo, i usilnie skłaniać, aby przyjął publiczną władzę, kto się od niej usuwa jak może najwcześnieji, uboższym niż był, gdy ją przyjął, kto się poświęca

przez uczucie obowiązku, działa więcęj niż mówi i powraca na łono rodziny, aby pełnić cnoty domowe.

Takie to tradycje wyniósł z domu dzisiejszy prezydent rzeczypospolitėj francuzkiėj.

W czasopismach angielskich toczy się najzaciętsza walka. Wywołał ją erudyta amerykański Donnelly rozprawą krytyczną, świeżo wydaną w Londynie, w którėj dowodzi, jakoby wszystkie dramata i komedye, przyznawane dotąd Szekspirowi, były dziełem Franciszka Bakona, słynnego filozofa, wynalazcy metody indukcyjnėj. Łatwo pojąć oburzenie anglików, którzy nieśmiertelną aureolą otoczyli wielkiego poetę, zwłoki jego ze czcią pomieścili w opactwie Westminster-skim, dom jego rodzinny obrali za cel dorocznych swych pielgrzymek.

Sprawa to już nie nowa. W zeszłym wieku Horacy Walpole podniósł ją w dziele pod tyt.: „Wątpliwości historyczne.“ Po nim w stu co najmniej książkach, broszurach i rozprawach dziennikarskich, rozstrząsano to pytanie.

Ale jakkolwiek zaprzeczano stanowczo Szekspirowi autorstwa sztuk dramatycznych i licznych poezyi, ogłoszonych pod jego imieniem, nikt jednak nie przyznawał tych utworów, żadnemu wiadomemu autorowi. Dopiero w r. 1856, amerykanka panna Dalia Bakon, postawiła tezę, że lord Verulam (filozof Bakon) był rzeczywistym Szekspirem. Dowodzenia te wydały się z razu tak niedorzeczne, tak dziwaczne, że książka panny Bakon przeszła bez najmniejszego wpływu; wystawiła tylko autorkę na pośmiewisko, równie w Anglii jak w Ameryce.

W tymże samym czasie, anglik W. H. Smith, który nigdy nie słyszał o panie Bakon, wystąpił na widownię i energicznie ją dowodzić, że Bakon jest prawdziwym Szekspirem. Książka jego przekonała, jak mówią, lorda Palmerstona. Wielu krytyków poczęło wtedy porównywać myśli dwóch wielkich pisarzy i przyszło nakoniec do wniosku, że nazwa Szekspir, może być pseudonimem Bakona. Powstała zacięta sprzeczka: krytycy podzielili się na dwa obozy, w końcu jednak przemogła tradycja: Szekspir zatryumfował. Aż oto występuje nowy zapaśnik, nowym uzbrojony orężem, groźniejszym nad oręż poprzedników.

Książka Donnelego nosi tytuł: „Chryptografia czyli cyfra Bakona w mniemanych sztukach Szekspirowskich.“ Pierwsza część dzieła obejmuje wszystkie argumenty na rzecz Bakona, druga wyjaśnia tajemniczą cyfrę, którėj odkrycie autor sobie przypisuje.

„Nie ma wcale piśmiennego dowodu, mówi Donnelly, aby Szekspir przyznawał sobie własność którėjkolwiek sztuki, noszącėj jego imię. Nie wspomina o żadnej w testamencie, mimo że wylicza w nim najmniejszą drobnostkę. Z trzydziestu sześciu sztuk, dziesięć ukazało się dopiero w siedm lat po jego śmierci, gdy je wydrukowano w słynnym in folio wydaniu r. 1623. Ośmnaście drukowano wtedy po raz

pierwszy z tak wielkimi zmianami i dodatkami, że wyglądały na całkiem nowe sztuki. Inne, za życia Szekspira ogłoszone były bezimienne. Poemat *Wenus, Adonis*, wytworny, pełen erudycji, poświęcony był młodemu hrabi Southamptons, przyjacielowi Bakona, wcale nieznanemu Szekspirowi.

Krytyk amerykański, czepia się samęj nawet osobistości Szekspira; zobaczymy, co o nim mówi: „Urodzony na wsi, syn rzeźnika handlującego wełną, otrzymawszy za ledwie powierzchowną ogładę, ożenił się w ósmnastym roku życia. Drobnie przekroczenie praw myśliwskich, zmusza go do ucieczki z wioski rodzinnej. Chroni się do Londynu; tu przysiaśnięty bieda, spełnia u drzwi teatru bardzo podrzędne posługi. Zwolna przychodzi do zamożności, nabywa teatr na własność, dorabia się skromnego mająteczku. W roku 1610, mając lat czterdzieści siedm, w pełnej sile męzkiego wieku, powraca do wioski; miałżeby resztę dni poświęcić z całą swobodą sztuce? Bynajmniej... Podejmuje prozaiczne rzemiosło ojcowskie. Umiera nakoniec w roku 1616, a proboszcz wiejski Ward, obok pogrzebu zapisuje te słowa: Szekspir, Drayton i Ben Johnson, lubili trochę do zbytku trunek, Szekspir bowiem skutkiem tego dostał gorączki i umarł.“

Śmierć ta, jak mówi Donnelly, nie sprawiła wrażenia na współczesnych. Samo pismo Szekspira służy mu do poparcia wniosków. Pozostał tylko jego podpis i to nakreślony źle, drżącą, nie pewną siebie ręką. „Nie podobna przypuścić—dodaje krytyk, aby ta ręka napisać miała 180,000 linii tak wierszem jak i prozą, które obliczono w jego dziełach.

Autor tych sztuk, mówi Donnelly, zna do gruntu klasyków greckich i łacińskich, historią, politykę, sztukę wojskową, fizykę, chemią, rolnictwo, medycynę, muzykę, słowem wszystkie nauki, z jakimi Bakon był oswojony. Zdaniem Macaulaya, Bakon posiadał najpiękniejszą inteligencją, najrozleglejszą naukę, najpotężniejszy geniusz poetyczny; miał przytém wielkie upodobanie w teatrze. Napisał kilka maszkar i innych sztuk dramatycznych z powodu festynów na dworze królowej Elżbiety i Jakóba I-go.

I dla czegożby Bakon przyjął pseudonim Szekspira? Na to pytanie odpowiadają Bakoniści, że poeci dramatyczni, zarówno jak aktorowie, ztęj w te czasy używali sławy, że ich uważano za włóczęgów i burzycieli porządku. Bakon przeto, mimo upodobania w teatrze, nie mógł narażać na szwank wysokiego stanowiska swego w społeczeństwie. Pożyczył więc nazwiska od dyrektora głównego teatru londyńskiego, który zastosowywał do potrzeb scenicznych sztuki lorda Verulam, nadsyłane mu potajemnie.

„Wiadomo, dodaje Donnelly, że Bakon był amatorem kryptografii, to jest sztuki pisanania w cyfrach lub zgłoskach tajemniczych, przywiązywał do téj sztuki wielką wagę, mówi o niej obszernie w słynnym swém dziele „*De augmentis*.“

Na tém upodobaniu, krytyk amerykański buduje cały systemat.

Z niezmordowaną cierpliwością począł on śledzić, czyli Bakon nie ukrył imienia swego w dziełach szekspirowskich. Przez długie lata, dniem i nocą wertował też stronnice sławnego in folio. Dziwi go szczególnie, paginacya, dziwią go wyrazy drukowane stalikami, parentezy, łączniki. Wszystko to w oczach jego wygląda zagadkowo. Liczy wyrazy, dodaje cyfry, mnoży, maca na wszystkie strony, wreszcie po mozolnej pracy, przychodzi do odbudowania całych frazesów, do wydobycia z tekstu ciekawych anegdot o Szekspirze, o królowej Elżbiecie, o Bakonie aż naostatek wynajduje dowód niezbity, że Bakon jest autorem sztuk Szekspirowych.

I czegoż nie dowiedzie krytyk, opierający się na lingwistyce? Widzieliliśmy to niedawno w wywodach Bukatego co do słowiańszczyzny. Trudno dziś wiedzieć, jak się zakończy sprawa co do Szekspira. Erudyci, rozdzieleni na dwa obozy, stoją groźnie naprzeciw siebie, zbroją się w argumenta. Ameryka z Anglią do nowego występuje zapasu.

Wątpimy, aby sprawa ostatecznie rozstrzygniętą została. Jakkolwiek bądź, przy Anglii pozostanie chwała, że z łona jej wyszedł najpotężniejszy geniusz dramatyczny w epoce nowożytniej, czy się zwął Szekspirem czy Bakonem.

Obca ręka nie wydziera najpiękniejszego promienia z jój aureoli, jak czynili względem nas zawistni Niemcy, gdy wraz z Toruniem usiłowali wydrzeć nam Kopernika!

Inne czasy i inne obyczaje! Jeżeli jakiś nowy Omar nie puści z dymem, nagromadzonych po bibliotekach foliałów, nie ma dziś obawy, aby za lat dwieście lub trzysta, nowy jakiś Donnely miał uczynić wątpliwą osobistość Wiktora Hugo, Dumasa i innych koryfuszów tegoczesnej sztuki dramatycznej. Dzięki rozwiniętemu dziennikarstwu i niedyskrecyi reporterów, ktokolwiek (mówiąc po dawnemu) postawił stopę na parnacie, opisany dziś z równą ścisłością, jak każdy zoologiczny okaz Buffona albo Cuviera. Autorowie sami uprzedzają w tym względzie reporterów i radzi odsłaniają psychiczne rysy swoje przed okiem ciekawej publiczności. Tak właśnie uczynił głośny dziś kome-dyopisarz Pailleron.

W pełnym życia obrazku, pod tytułem: „Poeci w szkole,“ utalentowany autor opisał pierwsze swe kroki na drodze dramatycznej. „Na szkolnej ławce, mówi on, miałem już literackie zachcianki, szczególnie pociąg popychał mnie do teatru. Owocem tego były sztuki naprędce obmyślane ze zbytecznym napisane pośpiechem. Jedną z nich złożoną z czterech części i z prologu, nakreśliłem w cztery dni, pracując po dwie godziny na dzień. Cztery akta w przeciągu ośmiu godzin, to nie żarty! A byłem, wyznać muszę, zadowolony z dramatu: jego tytuł „Inez“ czyli „Brasero.“ Występował tu młody pastuszek hiszpański, zakochany w Infantce. Widząc ją przechodzącą, tak się wyraża o niej: „Jakże jój kibić wiotka, ruch każdy szlachetny i dumny!

I czemuż ona królowną? a ja kocham ją, ja ubogi pastuszek!” i t. d. Pokazuję wam te brednie... wybaczcie, tak byłem wówczas młody!

Był w klasie drugiej poeta zwany Dutron; improwizował z wielką łatwością. Kiedy nauczyciel Muzerat zadawał mu jako pensum wiersze do kopiowania, nie przepisywał cudzych aleksandrynów, lecz tworzył swoje własne. Muzerat bladł z gniewu: był to współzawodnik, pracował tajemnie nad tragedją pod tytułem: „Wanda, królowa polska.” Była tam długa opowieść o krwawym boju, tak samo jak w Cydzie; były trzy morderstwa, każde dokonane w odmienny sposób i dwa sny, jeden straszny, drugi wesoły. Ale uczniowie nie cierpieli Muzerata, gdy przeciwnie Dutron pozyskał ich uwielbienie.“

Młody Pailleron pokazał swą „Inez” czyli „Brasero,” sławnemu towarzyszowi. Dutron odczytał i pochwalił sztukę.

— Cóż to za piękny dramat, rzekł, gdybyż on napisany był wierszem.

I przyrzekł kollaboracyą;—Pailleron zgodził się uszczęśliwiony.

Ale nie podobna było pracować pod zawistnem okiem bladego Muzerat. Dwaj poeci wymyślili podstęp: udali chorobę, niby początek odry. Ostrożny doktor kazał zapakować obu do łóżek.

„Raz dostawsz się do infirmaryi, mówi Pailleron; przez dwa dni i dwie noce, bez chwili spoczynku, bez jedzenia, obrabialiśmy nasz dramat. Praca to była wielka, potrzeba było wzmacniać sytuacje, gromadzić efekta na końcu każdego aktu, uwydatniać charaktery, tu coś zmienić, tam dodać, tu znów obciąć. Oj te obcinania! spostrzegłem z goryczą, że współpracownik mój bardzo był do nich skory, nie oszczędzał nic, okrótnik, wszystko mordował, nie wstrzymywały go pełne wdzięku szczegóły, poświęcał je bez litości.

— „Nie potrzeba szczegółów, mówił, teatr wymaga rysów szeroko zakreślonych i pod ołówkiem jego, jak pod kosą, padały kwiaty stylu, delikatne odcienia w mym dramacie.“ — Po co, mówił, te puste frazesy.” Com przecierpiał, tego wypowiedzieć nie umiem, ale nie śmiałem wyrzec słowa, wszak to był sławny Dutron.”

Zaledwie że Pailleron mógł ocalić rozwiązanie dramatu, równie zuchwałe jak oryginalne. Zamaskowany pasterz wdziera się do Escuryalu, zamyka się w pokoju ukochanej i równie kochającej królowny. Tam, po scenie pełnej energii i szału, zaczadza się z nią razem przy węglach roztlonych w brasero. Dutron chciał koniecznie zastąpić owo brasero sztyletem lub trucizną, w końcu jednak Pailleron przekonał go, że brasero nierównie poetyczniejsze. Gdy dwaj kollaboratorowie opuścili infirmaryą, scenario było już ułożone. Dutron miał przerobić rzecz wierszem, wystarczyło na to miesiąc. Wzdzierano sobie rękopism, uczniowie przepisywali go, słowem sztuka ogromne znalazła powodzenie. Wszyscy powtarzali jednomyślnie: „Co za przepyszny dramat!”

„Spostrzegłem z podziwieniem i radością, a jednak nie bez urazy, mówi Pailleron, że kolega mój nie pogardził o tyle moją skromną

prozą, jak się tem przechwalał. W wielu miejscach przywrócił wymazane tirady, tworząc z nich arabeski poetyczne. Czemuż je więc mazał z taką pogardą? czemu powtarzał każdemu, że on sam napisał sztukę od początku do końca.”

„Ta pretensya, pod wielu względami kłamliwa, oburzała ucni na niego, ukrywałem jednak gniew przez wzgląd na jego wysokie stanowisko, a szczególnie z powodu wielkiego powodzenia naszej sztuki. Nigdy nie słyszałem pochwał tak jednomyślnych. Entuzjazm był powszechny, od uczniów przeszedł do profesorów, nawet do służby szkolnej.“

Odźwierny, u którego Pailleron kupował na kredyt cukier owśniany, obiecał skwitować go z części długu, jeśli otrzyma na własność rękopism, opatrzony podpisem obu autorów. Muzerat tylko zimny jak lód, protestował milczeniem przeciw powszechnemu uniesieniu. Oświadczył zresztą, że nigdy czytać nie będzie wierszy Dutron, bo w sztuce inną obrał drogę.“

Do tych tryumfów mieszał się jednak niepokój. Jaki będzie,— pytali autorowie, los arcydzieła. Wprowadzić go na scenę bardzo trudno, druk zbyt wiele kosztuje. Jeden z uczniów podał myśl, aby dramat postać Wiktorowi Hugo, przebywającemu w Guernsey, prosić go o zdanie i radę. Myśl tę przyjęli oba z zapałem, wyprawiają list najstaranniej napisany z wysztychowanym adresem.

„Oj ten adres na kopercie, mówi Pailleron, ileż on to kosztował medytacyi! Chcieliśmy wyrazić w nim cały świat myśli i współczucie dla wygnańca i uwielbienie dla poety. Nie wiem, o ile wyrażały te trzy słowa dopełnione wykrzyknikiem. Wyznać trzeba, że ten adres krótki był lecz niezwykły.

Wiktor Hugo. Ocean!

List doszedł — Wiktor Hugo odpowiedział; w te czasy odpowiadał on wszystkim.

Znany powszechnie styl jego listów do młodzieży: „Wasza zorza opromienia mój zmierzch, gwiazda świeci na czole waszem, Ex i mo Wiktor Hugo.“

List do dwóch uczniów zawarty był w takich słowach: „W was przyszłość, jam przeszłością; wy dobiegacie, ja odchodzę. Wchodzicie w światłość, ja schodzę do ciemności.“ Ani rady, ani pomocy wcale nie było w liście. Młodzież ufną jest i wspaniałomyślną. Uczniowie, którzy liczyli tyle na list Wiktora Hugo, nie zrazili się bynajmniej! Zapomnieli o co im szło, pełni dumy, że mistrz do nich napisał. Autograf przebiegał z rąk do rąk, nauka szkolna cokolwiek na tém ucierpiała. Blady Muzerat usiłował skonfiskować ów list, ale zmuszony był ustąpić przed oburzeniem całej klasy. Oddał więc drogocenny dokument.

Na tém kończy się opowiadanie Paillerona, ale nie kończą się na tém losy „Inezy.“ Odegrano ją na teatryku batiniolskim, podczas, kiedy autorowie odbywali kurs prawa.

Od owój „Inezy“ Pailleron nie pracował nigdy w kolaboracji, zmienił odtąd sposób pisania. Sztuka wierszem pod tytułem „Pasożyt“, w której dał się poznać roku 1860, nosi całkiem inny charakter. Autor był wtedy adwokatem, procesa nudziły go okropnie. Chcąc pokonać te nudy, zaciągnął się do pułku dragonów, w ciągu lat dwóch stał garnizonem w Beauvais. Znudzony służbą wojskową dał za siebie zastępcę. Wówczas to wolny, jak ptak rozwinął skrzydła do lotu, pospieszył na brzegi morza Śródziemnego, w Cannes napisał „Pasożyta.“ W sztuce tej wystąpił jako biegły malarz charakterów i głęboki psycholog. Tym to zaletom zawdzięcza on wziętość swoją. Kiedy innym autorom dramatycznym idzie głównie o pokonanie trudności w wydobywaniu scenicznych efektów, Pailleron usiłuje przedewszystkiem pokazać ludzi, jakimi są. Wady ich i śmieszne strony umie oddać z wielkim talentem, nie przekraczając nigdy najściślejszych granic przyzwoitości.

Miłość kanadyjczyków do Francji, którą praojcowie ich opuścili trzysta pięćdziesiąt lat temu, objawia się coraz to żywiej. Nowy dowód na to mamy w literaturze kanadyjskiej. Przybył w tych czasach do Paryża z Montrealu poeta Ludwik Frechette, nagrodzony siedm lat temu przez Akademią francuską, za zbiór poemacików pełnych świeżej barwy miejscowej. Przywiózł on z po za oceanu nowy zbiór poezji pod tytułem: „Legende d'un peuple.“ Jest to legenda owój ziemi, która nosiła niegdyś imię nowój Francji i mimo zmian politycznych przechowała je dotąd z chlubą narodową. Autor zbiera rozrzucone po tej ziemi wspomnienia. Skreśliwszy w kilku rzutach pióra obraz czasów przedhistorycznych, z miłością ukazującą epokę dziejową, kiedy Jakób Cartier z towarzyszami przybył pierwszy do brzegów kanadyjskich na tym statku, którego szczytki przechowuje ze czcią miasto St. Malo. Poeta ukazuje plony zżęte na owych polach dziewiczych, opiewa kolebkę Montrealu, przechodzi potem do długetnich a zaciętych walk pomiędzy chciwym najeźdźcą angielskim a kolonistami francuskimi, gdy garstka dzielnych szermierzy, opuszczona, własnym pozostawiona siłom, piersią własną osłaniała kraj, odkryty przez majtków, St. Malo, tę ziemię, w której Francja zatknęła pierwsze ostrze swój szpady przy krzyżu Zbawiciela.

Krwawa to była wojna. Francja ówczesna nie wiedziała nic o niej, później dopiero d'Argenson odmalował smutny obraz tego dworu „gdzie rządzi i peroruje Pompadura, a król powtarza za Wolterem, że nie warto troszczyć się o kilka morgów śniegu.“ Tam przecież umierają, tam śnieg krwią zrumieniony.

Walka ta, pełna przygód bohaterских. Dwaj naczelni wodzowie dwóch wrogich armii, padają w jednym dniu na tymże samym polu zapasów. Podczas, gdy Anglicy garną się wokoło generała Wolfa, ugodzonego śmiertelnie, Montcalm powraca do Quebecu, błądy, zbro-

czony we krwi, zaledwie że dosiada bieguna; kobiety, mijając go, żegnają się jakby przed widmem. Wkrótce pogrzebano go w wyłomie muru, wyszczerbionym bombą angielską.

Wiadomy koniec: Kanada przepadła dla Francyi. Księżę Levis po raz ostatni na równinie Abraham, pokonał wojska angielskie, potem nastąpił krwawy odwet, jak mówi poeta:

Sztandar nasz krwią przesiąkły i obłany łzami,
Zwinął białe swe skrzydła i znikł za morzami.

Wspaniałą tę legendę dźwięcznym i rzewnym wierszem opowiada poeta kanadyjski. Ten poemat odróżnia się całkiem od innych. To karta wydarta żywcem z historii. Poeta nie doбира sztucznych rymów, łamie niekiedy konwencyonalną formę, ale pierś jego drga życiem, snąc przedmiot wyśpiewany z miłością, pod wpływem szczerzego natchnienia.

Koloniści kanadyjscy, jakkolwiek porzuceni na pastwę anglikom nie zachowali żalu do dawniej metropolii. Francya niewinna w ich oczach. Potępiają tylko haniebną politykę Ludwika XV i złowrogi wpływ panującej wówczas Pompadury.

Nie sami tylko kanadyjczycy mają prawo żalić się na gwałty, spełnione w tej smutnej epoce, pod tymże samym wpływem. Francya popełniła inne jeszcze błędy, których następstwa zburzyły ład w społeczeństwie europejskiem, błędy, które Francya krwawo już przypłaciła, a za które rachunek z przeszłością dotychczas nieskończony!

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Percy Bysshe Shelley: „Prometeusz rozpętany,” dramat liryczny w 4 aktach, przełożył z oryginału angielskiego Feliks Jezierski. Warszawa, 1887, u Teodora Paprockiego i Sp.

Żaden z poetów angielskich XIX-go wieku — mówi Odysse Barot — nie uległ tak bezpośrednio i zupełnemu wpływowi rewolucyi francuzkiej, jak Shelley; każdy z utworów tego poety nosi na sobie piętno r. 1792. Oddalone echa okrzyków ludu tryumfującego, wieści o gilotynach, o królu ściętym, królowej na szafot prowadzonej, o kobietach, dziewicach i starcach społem zalegających więzienie, o patryotach i warchołach, o katach i ofiarach,—takie były pierwsze wrażenia dziecka słabowitego i tak czułego, „że przykrósé katu wyrządzoną gorącemi łzami opłakiwało.“ Syn barona o przekonaniach demokratycznych, natury delikatnej i wrażliwej, „piękny jak anioł,” rozwinięty przedwcześnie i nadzwyczajnie, obdarzony płomienną wyobraźnią, szlachetny i tkliwy, myśliciel prawie od kołyski, Shelley w ósmym roku życia pisał tragedye, które z siostrami własnymi grywał, w siedm lat później stworzył dwa romanse, a mając zaledwie lat szesnaście napisał poemat epiczny, który już po śmierci poety wyszedł w „Frazers Magazine.“ Pozbawiony wcześniej opieki i serca matki, której szczególnie wyjątkowy temperament chłopca potrzebował, tyranizowany przez ojca, poniewierany w szkole i kolegium przez współtowarzyszów i nauczycielów, wypędzony z uniwersytetu Oxfordzkiego za radykalizm ogłoszonej drukiem rozprawy, wygnany wreszcie z domu ojcowskiego i rozdzielony z narzeczoną, którą ubóstwiał, ten „Prometeusz ośmnaścieletni,” to dziecko słodkie i łagodne o twarzy całkiem niewieściej, o obyczajach jak najczystszych, ujrzał się nagle traktowanym jako wyrzutek lub zbrodniarz i rzuconym na bruk Londynu bez najmniejszych środków do życia ¹⁾. Wówczas to, zamknięty w sobie, otoczony

¹⁾ M. Odysse Barot: „Histoire de la litterature contemporaine en Angleterre,” Paris, 1876, p. 114.

książkami zabronionemi, zaczął snuć marzenia ..., „les plus demesures et les plus poetiques,“—jak to słusznie Taine zdefiniował. Pod wpływem okoliczności, któreśmy powyżej zaznaczyli, w Shelleyu zrodziła się idea walki o szczęście całej ludzkości, duch inicjatywy entuzjastycznej, wytrwałość niczém nie przełamana, miara w tryumfie, spokój w niedoli, nienawiść przeciw uciskowi i czysta, bezbrzeżna miłość wolności. Jego sympatyje rewolucyjne są jednak mniejsze od wstrętu do reakcyi i prześladowań, bez względu na ich źródło i pochodzenie. Wybryki ludu mają w nim wroga nie mniej stanowczego, jak wszelkie gwałty despotów. Od urodzenia miewał „wizye.“ piękności szczytnej i najwyższego szczęścia, a kontemplacya swiata idealnego uzbroiła go do walki ze światem rzeczywistym. Shelley sądził społeczeństwo podług ucisku, któremu ulegało, a człowieka skalą szlachetności, którą czuł w sobie i ztąd też mniemał, że człowiek był dobry a społeczeństwo złe i że należy tylko znieść wszelkie instytucye, ażeby ziemi raj zapewnić ¹⁾).

Rzecz prosta, że przy takich dążnościach Shelley musiał mieć w społeczeństwie konserwatywném samych wrogów, a życie jego było ustawiczną walką i niepokojem. Poeta wszakże, pomimo organizmu bardzo wątłego, szedł przebojem, nie bacząc na wszelkie prześladowania, byleby tylko „zostać pochodnią prawdy, wdzierającą się w najciemniejsze otchłanie ludzkiego ducha i niszczącą u źródła samego to wszystko, co w przekonaniu Shelleya było przesadą i zabobnem.“ Poeta mniemał, że społeczeństwo wykoleiło się z właściwej drogi ku największej kłęsce człowieka i że możebny był powrót na gościniec sprawiedliwości, rozumu i miłości. W tym też kierunku działał przez całe życie, starając się duchowém przekonaniem swoim podważyć serca i umysły, a z ich pomocą świat cofnąć ku właściwemu dla niego stanowisku. Zło, które podług idei chrześcijańskiej ściga człowieka jako następstwo grzechu pierworodnego, było dla Shelleya całkiem przygodne i możliwe do usunięcia, byleby człowiek żył w zgodzie z harmonią własnej natury. Wykazać tę harmonią, uwidocznic jej zgodę z wszechświatem, przekonać, że człowiek jest koronującą wszechświat pięknoscią, a nie marnym na powierzchni jego punkcikiem; ujaśnić, że zło jest sztuczne tylko i przechodnie, a dobro jedynie trwałe i naturalne,—oto cel życia Shelleya i wszystkich jego utworów.

Do zrozumienia zasadniczych poglądów twórcy „Prometeusza rozpętanego“ niezbędna jest znajomość filozofii aleksandryjskiej. Poeta nie wierzy w istnienie materyi, świat zewnętrzny jest dla niego tylko fantazmatem, a wszystkie objawy zmysłowe — jedynie duchowymi wcieleniami. Skoro zaś wszystkie formy zewnętrzne są złudzeniem, śmierć więc, będąca początkiem nowego życia, jest podług niego przejściem w inny cykl bytu, odpowiedniejszy wzrostowi ducha. Teorya doskonalenia się rasy ludzkiej prowadzi Shelleya z jednej strony do

¹⁾ Taine: „Histoire de la litterature anglaise.“ Paris, 1873, IV—323.

walki z żywiołami społecznymi, które uważa za wrogie temu celowi, z drugiej zaś do ubóstwienia natury we wszystkich jęj zjawiskach. Śród ciszy nocy księżycowej, śród grzmotów i uraganów, o świcie czy też o zmierzchu, pod niebem ołowianém czy palącym, Shelley śledził przez całe życie z gorączką malarza najdrobniejszą barw zmianę, każdy odblask światła, każdą zmarszczkę fal zwierciadlanych, jak gdyby przez to badanie zjawisk natury chciał wtargnąć aż do jęj głębi i ztamtąd wydobyć światło do rozwiązania tajemnic bytu, zagadki życia i śmierci ¹⁾. Wielbi on naturę nie podyletancku jak Wordsworth, Moore lub Byron, lecz jak kochankę. „Jak cień ściga wszystkie prawie niedostrzeżone jęj kroki, a puls jego w tajemniczej sympatii uderza z pulsem natury. Zwierzęta i rośliny nazywa braćmi i siostrami, porównywając siebie do Kameleona i Mimozy.“ Z silną wiarą w możliwość doskonalenia się istot poeta marzył o państwie przyszłości, które zespałoby ludzkość węzłem braterstwa. Zasadniczym prawem tego państwa, wolnego od wszelkich istniejących dziś więzów, byłaby miłość, podniesiona do świadomej zasady życia: każdy dla wszystkich. Jakoż przyznać potrzeba, że Shelley zasłużył na miano *cor cordium*, które zdobi jego mogiłę. Miłość ludzkości towarzyszy mu wszędzie. Pomimo skłonności do suchot, pomimo cierpień nerwowych tak silnych, że często z bólu po ziemi tarzać się musiał, lub w wielkich dozach opium zażywać, będąc w Londynie studyował medycynę i odwiedzał szpitale, żeby biednym nieść pomoc bezpłatnie, a w czasie takich wycieczek po wsiach, nie bacząc na choroby epidemiczne, po kilkakroć utratą zdrowia opłacał swe poświęcenie. Mieszkając w Angli, wszystkich biednych w okolicy porobił swemi pensyonarzami; a pewnego razu przyszedł do domu boso, gdyż jakiéjsz biednej żebracze darował swoje trzewiki. Z własnego popędu spadek swój przeznaczył siostrze, a mając później 1,000 funtów rocznie, utrzymywał z tego funduszu biednych pisarzy i długi za nich opłacał ²⁾.

Jakkolwiek Shelley uprawiał wszystkie rodzaje poezyi, w każdym jednak utworze jego przemaga liryzm najczystszej wody i to przeważnie za duchowy, za idealny, pierwiastki realne i na wskroś ludzkie, prawie że w jego poezyi nie istnieją. Był on geniuszem, któremu, jak słusznie powiedział Brandes, nie dostawało zmysłu rzeczywistości. Poezya Shelleya — mówi Masson — podobna eterowi powietrznemu, którym długo oddychać trzeba za nim się wpływ jego ocenić zdoła. Koroną twórczości poetyckiej Shelleya jest „Prometeusz rozpętany.“ „Ponad morza i doliny współczesnej poezyi angielskiej, wznoszą się Alpy Byrona z jego Manfredem i Shelleya Kaukaz... z Prometeuszem.“ W tym utworze poeta najpotężniej streścił nadzie-

¹⁾ J. Devey: „A comparative estimate of modern english poets.“ London, 1873, p. 239 i nast.

²⁾ Brandes: „Die Hauptströmungen der Literatur des neunzehnten Jahrhunderts.“ Berlin, 1876, IV—329.

je swoje i marzenia. Miejsce pretensjonalnej i niepoetycznej dydaktyczności, oraz niedojrzałej i pełnej przeciwieństw metafizyki „Królowej Mab,” zajęły abstrakcje metafizyczne w sukienkę mytów przyodziane. Prometeusz Shelleya nie jest już Tytanem-przyjacielem ludzkości, lecz jej geniuszem, który walczy przeciwko złemu pierwiastkowi, świat gnębiącemu. Może on czasowym ulegać więzom, lecz nigdy nie będzie zwyciężony, to też ze spokojem znosi męczarnie przekonany, że panowanie siły ujemnej ma tylko charakter przejściowy w losach świata. Wbrew Prometeuszowi Eschileasa bohater Shelleya nie ukorzy się nigdy przed Jowiszem i będzie cierpiał tak długo, dopóki z upadkiem tego władcy świat utraconej wolności nie odzyska. „Myśl o pojednaniu się bojownika ludzkości z Zeusem, wyznaję, wstrętną mi była,” — mówi sam Shelley w przedmowie do swego dzieła. Jowisz, pierwiastek zła, jest tu wcieleniem tego wszystkiego, co krępuje rozwój ducha ludzkości i wszelkie życie prawidłowe unicestwia. Niszczyciel świata będzie własnym swym katem, gdy siła wyższa w związku z odwieczną sprawiedliwością grób mu wykopie. Mękom Prometeusza współczują oceanidy Azya, Pantea i Jone. Pierwsza z nich jest wcieleniem rozmiłowanego w Tytanie ducha natury, jest potęgą, którą Shelley tylekroć razy sercem opiewał. Piękność Azyi, a więc natury całej, chinurzy się i zasępia na widok męczarni Tytana, lecz gdy wybije godzina oswobodzenia blask jej powróci na znak tryumfu Prometeusza. Ta zależność Azyi od Tytana nadaje znaczeniu jego wyraz najgłębszy. Jest on mocą świat poruszającą, jest pierwiastkiem męskim, siłą ojczyzną stworzenia, gdy Azya jest pierwiastkiem żeńskim, potęgą świata macierzystą. Gdy więc Prometeusz jest spętany, Azya całym blaskiem jaśnieć nie może. A jak owocem pierwotnego ich związku była wszelka piękność i wspaniałość, tak przez nowe ich zaślubiny, utożsamione z wolnością Prometeusza, świat się odrodzi i dojdzie najwyższego szczytu doskonałości ¹⁾.

Shelley uważał „Prometeusza“ za swój poemat najcenniejszy i za najmilsze dziecko swego ducha. A krytyka współczesna?... W Blackwood Magazine powiedziano, że „całe dzieło jest bez wartości, jako pełna zarazy mieszanina bluźnierstw, buntu i zmysłowości.“ „Literary Gazette“ utrzymywała, że „Prometeusz“ „jest jeszcze mniej niż szaleństwem, bo stekiem głupstw, drwin, nędzot i pedanteryi.“ Przy ogólnej zaś charakterystyce jego poezyi, nazywano ją „bredzeniem człowieka w gorączce“ i „pozbawionego zdrowych zmysłów,“ „najwstrętniejszymi wytworami czasu,“ „pracami złego ducha,“ na których zostało „piętno kału, bezbożności i hańby.“ Rzecz prosta, że przy takich ocenach dzieła Shelleya rozchodziły się w kilkunastu lub kilkudziesięciu zaledwie egzemplarzach. A dziś?..

Jeżeli Byron wywołał naśladowców za granicą, nie miał ich we własnym kraju, Shelley zaś wytworzył szkołę nie za życia wprawdzie,

¹⁾ H. Druskowitz: „Percy Bysshe Shelley,“ Berlin, 1884, p. 253 i n.

lecz dopiero w czterdzieści lat po śmierci. Od lat dwudziestu kilku wydobyto go z cienia, posypały się setki życiorysów, a wydania dzieł wszystkich mnożą się ciągle. Od Shelleya bezpośrednio pochodzi całe młodsze pokolenie poetyczne Anglii, która dziś, podług opinii krytyków pierwszorzędnych, „za najszczytniejsze w literaturze swojej postaci uważa Chaucera, Szekspira, Milтона i Shelleya,“—w drodze wyjątku do téj czwórki dodała jeszcze Burnsa, a o Byronie zamilcza. Wszyscy znakomitsi poeci współczesnej Anglii są przeniknięci duchem Shelleya, najwięcej z nim wszakże pokrewieństwa ma Robert Browning i jego żona Elżbieta, a nadewszystko największa gwiazda dzisiejsza... Swinburne.

Wszystkie narody cywilizowane mają oddawna przekłady „Prometeusza rozpętanego,“ naszą literaturę obdarzył tłómaczeniem tego dzieła p. Feliks Jezierski. Na wstępie umieścił tłómacz „Kilka słów o życiu autora“ krótko a dobrze napisanych. Mamy tu tylko do poprawienia jeden szczegół, a mianowicie: że Shelley ożenił się po raz pierwszy nie z Henryką Grove, jak mylnie podano, lecz z Henryką Westbrook. Po życiorysie idzie przedmowa poety znacznie skrócona, o czém tłómacz najmniej szej nie zrobił wzmianki. Ten tylko, kto się dokładnie wczytał w „Prometeusza“ może mieć dostateczne pojęcie o niesłychanych trudnościach, jakie przewycięzać musi tłómacz takiego poematu. Treść oderwana, zawiła, mglista, spowita w nadzwyczajne bogactwo formy, przeładowanej tysiącem porównań i ozdób najsubtelniejszych — oto „Prometeusz rozpętaný.“ Tu się tłómacz co chwila borykać musi już to z ideą, już to z obrazem, już wreszcie z potęgą lub eterycznością oryginału. Tylko druga część „Fausta“ może w tym względzie wytrzymać porównanie z „Prometeuszem.“ Czy p. Jezierski pokonał zwycięzko wszystkie trudności?... Nie wszystkie. W każdym jednak razie dał przekład względnie dobry. Twórca „Mesjady“ zrobił uwagę wielce trafną, że przekłady podobne są cieniem, to znaczy, że muszą być albo dłuższe albo téż krótsze od przedmiotu. Otóż utrzymując się w tém porównaniu, przyznać musimy, że tłómaczenie p. J. jest krótsze od oryginału. Nic dziwnego!... Takiego potentata poezyi jak Shelley mógłby tylko odtworzyć—poeta, a p. Jezierski do tego miana niema pretensyi. Dla utzonego téj skali, treść sama ze wszystkimi jej arkana mi stała otworem; w umyśle i sercu pisarza, który najznakomitsze arcydzieła poezyi europejskiej nieraz przetrawił, wszystkie piękności „Prometeusza“ mogły się uświadomić najdokładniej; ale do lotu na takie nawet wyżyny, którym oko bez trudu sprostać może potrzeba... skrzydeł, a tych p. Jezierski nie posiada. Tłómaczy jasno, potoczyscie, niekiedy nawet z pewną siłą, wrogi jest wszelkiej pospolitości wyrażenia... aż do przesady, ale w całej téj pracy czuć wysiłek, a często widać... i szcudła. Tam gdzie w Shelleyu przeważa filozof nad poetą, gdzie więcej refleksyi niż obrazów, gdzie wiersz długomiarowy tchnie majestatem i powagą, a nadewszystko, gdzie tłómacz rymu nie używa, tam

przekład przeważnie bywa poprawny; ale gdy poeta przechodząc w formę podobną tkance z promieni, albo leci w etery i mgławice, albo się wciela „w świeżą pieśń strug i potoków” oraz „jodłowych konarów hymny,” albo wreszcie spieszy „w otchłanie na dno oddechu” — wówczas p. Jezierski, pomimo, że dla schwytania oddechu wiersz wydłuża — nie jest w możności dotrzymać lotu Shelleyowi i wypacza lub kazi piękność oryginału. Bądź co bądź, po skrupulatnem porównaniu wiersz w wiersz tłómaczenia z oryginałem przekonałem się, że p. Jezierski nie lekceważył swój pracy, lecz przeciwnie z całym do niej przystąpił namaszczeniem. Stara się on o dosłowność prawie a na skrócenia lub amplifikacye pozwala sobie dość rzadko i to przeważnie w tych przypadkach, gdzie szan. tłómacz nie był w stanie pokonać formy oryginału, a mianowicie w ustępach na wskroś lirycznych. Lecz i tu mojem zdaniem p. J. uczynił lepiej od niemieckiego tłómacza Seybta, który wprowadził z wielkiem artyzmem odtwarza najdokładniej formę każdego ustępu lirycznego, ale na jój ołtarzu, nie mogąc się zawrzeć w ciasnych granicach wiersza, poświęca nieraz dużo treści. P. J. przez użycie wiersza dłuższego stara się unikać eliminacyi i częściej grzeszy dodatkami całkiem zbytecznymi.

Oto ważniejsze niedokładności, jakie w tłómaczeniu p. Jezierskiego napotkaliśmy. Na czele postawić muszę skażenie tekstu w miejscach następujących:

Na str. 9. Trzy tysiąclecia, co — łamiąc się wiecznie
W bezsenne chwile, w godziny katuszy
Porównne latom...

a w oryginale: „Three thousand years of sleep-unsheltered hours and moments aye divided by keen pangs till they seemed years...”¹⁾ co znaczy że królestwem Prometeusza są: „bezsenne godziny przez lat trzy tysiące i chwile tak mękami sztrasznymi przedłużone, że latami się zdają.” Barwa i dosadność porównania znikła w przekładzie:

na str. 11. Po trzykroć trzysta tysięcy lat
Stojąc niezłomne tu na pokładach
Trzęsienia ziemi, nieraz w jój ślad
Myśmy wszem tłumem drgnęły w posadach
Jak zdjęty trwogą ludzki ten świat.

Dla czego tłómacz z czterech wierszy zrobił pięć wierszy? Wszak mógł się zawrzeć w ramach oryginału, gdyby nie robił dodatków, które podkreśliłem. Jeden z nich niezbyt loiczny „w jój ślad” wywołał dla rymu parafrazę „ludzki ten świat,” wodnistą i daleką od oryginału. Shelley bowiem napisał: „asmen convulsed with fears,” co znaczy: „jak człowiek miotany trwogą.”

na str. 12 „głos od burz“ mówi: Nigdy jesoze ani ów grzmot,
Ani ogniaste źródło wulkanu

¹⁾ Percy Bysshe Shelley the poetical Works Berlin.

Ni moc od góry ni od poziomu
Dziwem nie tchnęła w burze pogromu.

Niejasność i niedokładność wiersza ostatniego jest widoczna, boć w oryginale: „ever made us mute with wonder“ znaczy: oniemięć z podziwu a nie „dziwem tchnąc w burze pogromu“ co jest i nadęte i nie oddające istoty porównania:

na str. 12 tłómacz: Pierwszy to raz mój szczyt zaobłoczny
Na twój się zatrzęsł odzew wyroczny

W tym dwuwierszu są aż trzy błędy: użycie przymiotnika „zaobłoczny“ zamiast „śnieżny“ (snowy) co mniejsza; błędne oddanie „the voice of thine unrest“ przez „odzew wyroczny“, co jest gorsze, a wrzście spaczenie myśli—co najgorsze. Tłómacz bowiem zapomniawszy o poprzedniem przyznaniu się gór, że „często drżały“ przez wieki, zmusza je do zadania kłamu tym słowem przez mylny przekład o „pierwszym“ jakoby ich wstrząśnieniu dopiero pod wpływem „odzewu wyrocznego.“ Autor nie popełnił téj niekonsekwencji, u niego bowiem góry mówią że „nigdy szczyty ich śnieżne tak się nie gięły, jak na głos Prometeusza“ („but newer bowed our snowy crest as at the voice of thine unrest“).

na str. 12 nieosobiste wyrażenie: Nigdy na fali indyjskiej łono
Takiego głosu nie poniesiono

jest nie jasne, bo któż miał głos ten zanieść?.. W oryginale źródła mówią o sobie, „nigdy takiego głosu nie poniosłyśmy falom indyjskim“ („newer we bore“). Duch mówi, że z nocnych haseł, które szły za nim jedno tylko nie opuściło go i brzmiało:

„Dusza miłości, współczułych łez“
Więc na sieroctwo niosąc prorocstwo (czego?)
Co w tobie ma początek i kres.

tymczasem u Shelleya o „współczułych łzach“ niema mowy, a w Prometeuszu Duch widzi nie początek i kres prorocstwa, bo to nie miałyby sensu, lecz „nadziei“ wyzwolenia świata przez miłość (‘twas the soul of love ‘twas the hope, the prophecy).

P. J. w ogóle skrupulatny, pozwała sobie czasem na dowolności niczém nieusprawiedlioune, Shelley mówi: „mighty fleets were strewn like chaff, and spread beneath, a hell of death, o’er the white waters“ co znaczy: potężne floty rozsypały się niby siczka i rozsiało się na wodach spienionych piekło śmierci.

a p. J. tak przekłada: Okręt wyziewał ostatni doch (?)
I rozprysnięty w próchna (?) i sierci (!?)
Zwalił się z pianą do piekła śmierci (str. 39).

Nie lepiej wyszła „pieśń duchów.“ Oto zestawienie:

Through the shade of Sleep (przez cień snu), Po oimnym snu zrębie (?)
Through the cloudy strife (przez chmurną walkę), Po chmurach milionu

By the storm of delight, by the panic of glee (Przez burzę rozkoszy i trwogę
[radości

They shoke with emotion (Drżą ze wzruszenia
They dance in thir mirth (Płasają z uciechy)

a u p. J.: Na morzu, pod krawędź z krawędzi (!)
Wierzącą (!) buchającą (!) bałwany
Bo toczy je, wzdyma i pędzi
I wirem rozściela —szaleństwo wesela
Aż trzęsą się skalne wód ściany (!)
Aż dno pod płasami ich drży (same improwizacye!)

Albo np. „Chór geniuszów duszy.“

We come frome the mind (Przybywamy z duszy)
Of humankind (Ludzkości)

Which was late so dusk, and obscene and blind (Która (ta dusza) była da-
[wniej tak ciemna, wszeteczna i ślepa

Now' tis an ocean (Teraz jest oceanem)
Of clear emotion (Jasných wzruszeń)

A heaven of serene and mighty motion (Niebem ruchu pogodnego i potężnego)

a p. Jezierski: O! z daleka z daleka (!)
Z krajów rodu (?) człowieka
Przedtém tak ciemnych, ślepych, wszetecznych
Dziś to ziemia bez skażeń (a to co?)
Morze najczystszych wrażeń
Niebo łez szczęścia myśli słonecznych (!..)

Czyż tu szan. tłumacz ocalił choć cokolwiek z oryginału?.. Pójdźmy
dalej:

u Shelleya: From that deep abyss (Z téj otchłani głębokiéj)
Of wonder and bliss (Cudów i szczęścia)

Whose caverns are cristal palaces (Których jaskinie—pałacami kryształowemi)
From those skiey towers (Z wyżyn niebieskich)

Where thought's crowned powers (Gdzie uwieńczona myśli potęga)

Sit waching your dance, ye happy flours (Śledzi wasz taniec, godziny szczę-
[śliwe)

a u p. J.: Z téj otchłani dusz ludów
Błogosławieństw i cudów
Których pałacem groty z kryształu (przeoiwnio!)
Z wież niebieskich za pału
Gdzie koronne (?) potęgi
Myśli—wciąż liczą wasze to kręgi (?)

Są jeszcze lepsze improwizacye. Pierwszy półchór mówi (s. 105).

We whirl, singing loud, round the gathering sphere (Wirujem śpiewając głoś-
[no w około kuli przygarniającej)
Fill the trees and the beasts and the clouds appear (Dopóki drzewa, zwie-
[rzęta i chmury nie wyłonią się)

From its chaos, made calm by love, not fear (Ze swego chaosu uspokojonego
[miłością nie trwogą])
a p. J. tak improwizuje: My—budzim pieśniami, nie grozą mąci-
[ciela]

Obłoki i drzewa z polnemi zwierzęty
Witając z chaosu świat nowo poczęty (!)

Albo w drugim półchórze Shelley wyraźnie mówi: „We encircle the ocean and mountains of earth to znaczy: my okalamy ocean i góry ziemi, a p. J. wyrzuca „okalamy” i pisze:

My—góry i morza zachodu i wschodu

Co za szczególna manipulacya: dodawać dwa wyrazy, będące lichym pleonazmem, a opuścić to, bez czego wiersz niema żadnego sensu!...

Do amplifikacyi p. J. ma pewną słabość: Zamiast „góry nie odczuły?” — „Czy moich cierpień nie poczuły góry;“ zamiast „straszny lud z królestwa snu szydzi ze mnie“ — „Straszydeł roje z królestwa senności szyszcząc przechodząc nademną” (str. 9); zamiast: „My echa“ — „głosu odgłosy,“ (!). U Shelleya jest tylko: „In the depth of the deep down, down (W głębie głębi na dół na dół) a p. J. rozwadnia:

Nuż w głębie głębi z dołu do dołu
W czarne przestworze, wszechmocy morze

Poco ten drugi wiersz i jeszcze tak błądy?! Albo np. Shelley mówi tylko: „Tu, o tu“ (here oh here) a p. J. pisze: „Tu u nicestwa bramy“ (str. 98), u Shelleya: „Spectres we of the dead Hours be” (My widma zmarłych godzin) a u p. J.: „My duchy pchniętych za świat zmarłych godzin przeszłości.“ Aż dwa pleonazmy w dodatku, boć jeżeli „zmarłe,” to pocóż jeszcze i „zepchnięte za świat“ i „przeszłe?!... Woryginale: „jesteśmy pędzone za niebo“ (str. 105) a w przekładzie: „Nas tajny czar rwie poza niebo!” Czyż Shelley upiękkszeń potrzebuje? Nieraz sz. tłumacz mogąc przełożyć wiersz słowo w słowo z zachowaniem formy dopuszcza się błędów np.: Woryginale jest „Z wyżyny tronu o potężny Boże“ (o mighty god).

a p. J. poprawia: Z wyżyny tronu, o ty dziś wszechwładny!..

Natomiast sz. tłumacz skraca nieraz tekst bez potrzeby np. zamiast „z duchami które tworzą nową ziemię i morza” (new earth and sea), p. J. pisze: „z duchami co tworzą mórz nowe przestrzenie.” Dla czego ziemia wyrzucona?... Albo zamiast „dopóki nie zginą, męka, trwoga, nienawiść jak cienie przed światłem znikające,” p. J. tłumaczy: „Aż w końcu męka, trwoga, nienawiść jak cienie przy słońcu” (str. 113). Czy to jasne? Większą część tych błędów zawdzięcza szan. tłumacz nieszczęsnej konieczności rymowania. Gwoli rymom pisze np. zarosła blizna zamiast rana, boć blizna jest już znakiem

po ranie wygojonej (str. 12). Albo „pod gąszczu stropem żadne tu drzewo widoku nieba nie zapamięta“ (53). Ostatni wyraz użyty błędnie dla rymu tylko, bo nie można tego zapamiętać, co nigdy nie leżało w granicach naszej świadomości. Shelley mówi: „W głąb na dół,“ a p. J. dla rymu pisze: „W głąb w głąb bez wstrętu na dno odmętu“ (str. 60). Krępując się końcówką „wieki,“ p. J. improwizuje wbrew oryginałowi „przez blasku wszechsteki (105). Ten ostatni wyraz przywodzi nam na myśl i inne równie ciężkiego kalibru, jak: pierwooblicze, promiona, iskrawe, niewiednych, promienienie, stromy życia, kłęb nicości, szklne, nieujętne. Przyznać jednak trzeba, że pod tym względem p. J. był powściągliwszy w „Prometeuszu“ niż w „Fauście.”

Prawie wszystkie usterki, któreśmy powyżej wykazali, znalazły się w ustępach lirycznych i rymowanych, stanowiących nie wielką część przekładu. Poza nią tłumaczenie jest przeważnie dokładne i poprawne. Na końcu książki dał p. Jezierski „Uwagi i objaśnienia,“ napisane z właściwą temu uczonemu erudycją i gruntownością.

J. A. Święcicki.

„Ryszard Wincenty Berwiński, rys biograficzno-krytyczny, przez Antoniego Bądzkiewicza, Warszawa, 1887 r.“

Niezwykle sumienną a dosyć uciążliwą pracę podjął zasłużony nasz pedagog i literat, ażeby dziejom naszego piśmiennictwa odsłonić całkowitą postać jednego z ich bohaterów, dziś prawie zapomnianą. P. Bądzkiewicz nazywa Berwińskiego „ciekawym“ objawem społecznej mu epoki; ależ takich ciekawych objawów znalazłoby się więcej, nawet stosunkowo bardzo wiele. Nauczyciel, filolog, filozof, poeta, dziennikarz, agitator, salonowiec, demokrat, polityk i żołnierz, Berwiński wszystkiém tém był potrosze, ale wszystkiém był źle i powierzchownie, z wyjątkiem jednej poezyi, która stanowiła widocznie jego naturalne powołanie, której powinien się być pilnować wyłącznie, ażeby z namaszczeniem spełnić zadanie życia a tym sposobem trwalszemi węzły połączyć się z przyszłością. Lecz nie on to jeden przedstawia u nas przykład tego rozproszenia zdolności, fałszywych kierunków i nareszcie zmarnowania. Można by to samo niemal powiedzieć o całej plejadzie tych awanturników poetycznych, których niedawno przezwano cygankeryą literacką, a którzy, nieraz perły umysłowe roniąc na drodze życia, zbili się z drogi i poszli na manowce, nie widząc przed sobą gwiazdy świetlanej, prowadzącej do celu wskazanego talentom. Któż to oceni ile w tém było ich winy własnej, pochodzącej ze słabości charakterów i zaniedbania surowych obowiązków życia; a ile winno temu

było położenie, które bezwarunkowo miało znaczny udział w tych wszystkich katastrofach moralnych.

P. Bądzkiewicz rozporządza znacznym materiałem do życiorysu swego bohatera, gdyż oprócz rzeczy drukowanych, jakie zebrał z lat tylu, korzysta z rękopismów dostarczanych mu przez osoby bliżej z Berwińskim związane, ma zatem pod ręką mnóstwo notat, listów poufnych, nawet utworów niedrukowanych. Z tém wszystkiém, pomimo należytego zużytkowania tego materiału, życie to niewiele nas poucza, gdyż niewielki był człowiek. Obdarzony zdolnościami jedynie w kierunku poetycznym, sądził się być zdolny do wszystkiego, tak jak wielu z pośród nas, z owęj zwłaszcza epoki, którzy niechętnie obliczali się z pozytywnymi warunkami działania. Niemal krok za krokiem jego idąc, biograf, oprócz stałej wierności dla ukochanej idei i celu, natyka w zastosowaniu środków niemal same usterki, błędy lub fałszywe aspiracye. Jak wrodzony instynkt poetyczny przeszkadzał Berwińskiemu zamłodu do ćwiczenia się w nauce, tak iż żadnej właściwie szkoły umiejtności nie przeszedł, tylko nałapał tu i owdzie czegoś z tego rogu obfitości jaki nauka niemiecka trzyma nad swemi klientami,—tak znowu polityka przeszkadzała jego i nauce i poezji.— „Demokratyczne jego pojęcia, — powiada autor, — nieumiarkowane niczém, ani spokojną radą dziejów, ani opatrzeniem się na warunki otaczające, przybierają kształty tak wybujałe, jak tylko rozgorączkowana wyobraźnia poety przybrać je może. Lud i praca dla ludu staje się jego serca, myśli, ducha całego jedyném hasłem: ale jakimi drogami dojść może do uszczęśliwienia tego ludu... o tém nie zdawał sobie sprawy, nie tylko jako mąż stanu, ale nawet jako rozważny obywatel kraju.”

Ani słowa, bo Berwiński był tylko poetą, i to przeważnie poetą egotycznym; a to co przed nim było u poetów Weltschmerzem, u niego nazwałby można Volkschmerzem, chorobą ludową, nie zaś poważném zainteresowaniem się sprawą. Gdyby p. Bądzkiewicz na obszerniejszém nieco tle społeczném stawił swoją figurę, pokazałoby się że w Poznańskim podówczas nie jeden Berwiński tak gorąco chodził około ognisk ludowych. W kilku latach piątego dziesiątka wieku, ztamtąd to właśnie rozchodziły się na wszystkie strony ziemi hasła reform, nawoływania, nieraz bardzo rozsądne i praktyczne, ale nawoływały głuchych. Nic też dziwnego że kiedy nawoływanie przybrało formę praktyczniejszą, choć zgoła nierozsądną, Berwiński nasłuchiwał z zapałem, i cały rzucił się w wir 1846 roku, po którym nastąpiło srogie rozczarowanie i boleść niestępią. Tylko przymusowy pobyt na zamku Wiśnickim w Galicyi, uchronił go przed katastrofą, może przed śmiercią, a szkoda by było człowieka, który miał wtedy dopiero lat dwadzieścia siedem, mógł więc jeszcze otrząsnąć z umysłu mrzonki, wynaleźć prawdziwą dla swego powołania drogę: prawda, byłby wtedy rzadkością.

I zanosilo się na podobny zwrot. Po powrocie w Poznańskie, do

miejsc rodzinnych, stanął do współpracownictwa w „Dzienniku Polskim,” jednym z najszacowniejszych naszych czasopism, wydawanem pod kierunkiem Libelta. „Jest to,— jak słusznie utrzymuje biograf— bez wątpienia, najczynniejszy i najwdzięczniejszy okres w jego życiu.” Rzeczywiście, przy swych zdolnościach pisarskich niepospolitych, przy pracy, pod takim zwłaszcza kierunkiem, byłby się mógł wyrobić na pożytecznego i wpływowego publicystę, jak to i widać z niektórych jego artykułów, co by mu też nie przeszkadzało uprawiać niwę poezyi. Ale ten nieustanny niepokój i niezadowolenie, jakim karmił się całe życie, nie pozwalało mu nigdzie zagrać miejsca. Dla jego rozgorączkowanego temperamentu zamało było tego pożytku, praca przy stoliku była zaspokojną, nie wyczerpywała dostatecznie nerwów rozdrażnionych. Trzeba było mu gorętszej, ruchliwszej, i poszedł służyć sprawie polskiej na Turczyznę, gdzie, nie urzeczywistniwszy najmniejszej nawet części swojego programu, nie przyczyniwszy się niczem do pożytku narodu, ostatecznie zmarniał, tak jak wielu jemu podobnych i podobnie jak on nastrojonych. Zmarnienie to było oczywiście następstwem złego zrozumienia nie tylko potrzeb kraju, ale i siebie samego. Polakiem był, więc zdawało mu się że jest zdolnym do wszystkiego: tak mniemając, zaniedbywał to do czego zdolnym był istotnie; przeceniając siły własne, upadał; upadając zlorzeczył nie sobie w którym winy nie upatrywał, ale światu który jednak zachowywał się z nim bardzo względnie. Gorycz doprowadziła go do fatalnego nałogu, nałóg do szpitala i śmierci. Oto jest ten, jeden z wielu, którzy szczerze kochali, tylko nie umieli miłości swojej nadać właściwego kierunku.

Cóż wreszcie pozostało po tych zdolnościach i po tej krętaninie życia? Wiązanka prac literackich, które też p. Bądzkiewicz skrupulatnie rejestruje kolejną dat, przegląda, ocenia, a czasami przecenia, w kilku słowach zamykając sąd o nim, jako o literacie. Berwiński może być rozpatrywany: jako pisarz polityczny; jako zbieracz poezyi ludowej; jako dziejopis i zarazem krytyk tej poezyi; a wreszcie jako poeta-liryk. W pierwszych trzech grupach,— mówi p. Bądzkiewicz,— „zasługa jego dla literatury naszej jest, że tak powiem, doraźna i tak drobna, że bliżej tu nad nią zastanawiać się nie będziemy: natomiast, jako poeta satyryczny, a zwłaszcza erotyczny, zajął Berwiński tak wyraźnie określone i tak wysokie stanowisko, że zasługuje na szczególną ocenę.”

Nam się wydaje że i w jednym i w drugim sądzie jest nieco przesady. Jakkolwiek w pracach ogłaszanych prozą, Berwiński nie zajął stanowiska źródłowego, wszelako jego np. „Listy,” jako wrażenia z pobytu w pewnych okolicach kraju, mają szczegóły ciekawe, tém ciekawsze dzisiaj, że odtąd wiele rzeczy się zmieniło, i przeszedłszy do wewnętrznej historii kraju, na tych kartach jednak pozostawiło ślad, mogący służyć za motyw dla powieściopisarza, nawet za wskazówkę dla historyka, jako to, przypuszczam: list z Rogalina lub znad Noteci,

albo też „Gopło i jego okolice.“ Jego opowieści gminne, jak „Mądry Maciuś,“ a zwłaszcza „Kojata,“ mają bez zaprzeczenia ton ludowy i czuć w nich fantazyą poetyczną. Wątpimy aby p. Bądzkiewicz surowość swego sądu względnie do prozaicznych prac Berwińskiego, stosował i do jego dwutomowego dzieła: „Studia o literaturze ludowej ze stanowiska historycznej i naukowej krytyki,“ byłby bowiem w sprzeczności niejako sam z sobą, skoro kilkanaście stronnic wcześniej (str. 24) o tém dziele wyraża się jako o mającém „niezaprzeczenie względną wartość jeszcze i dzisiaj, po upływie lat przeszło trzydziestu,“ dodając, że tébardziej miało ono „wysokie znaczenie dla współczesnych.“ A jużżiż każdą pracę naukową sądzić możemy tylko z punktu społecznego jój pojawienia się. Podobała się p. Bądzkiewiczowi przewodnia myśl dzieła polegająca na tém, że baśnie, opowieści i klechdy ludowe nie sięgają tak odległej, pogańskiej jeszcze starożytności, jak to powszechnie mniemają, ale że to jest wyrób daty bardzo świeżej, który nie świadczy nawet o tak zachwalanej twórczości ludu, ale jest tylko powtórzeniem, rozrobieniem lub przeistoczeniem tego co przeniknęło do ludu z umysłu klas wykształconych. Ale mógł mu się niepodobać brak metody w uzasadnieniu téj myśli. Rzeczywiście, Berwiński nie powiedział, nawet na swój czas, nic nowego, przynajmniej nic swojego pod względem teoryi zapatrywania się na twórczość ludową, czyli tak zwaną literaturę niepiśmienną. Był to pisarz w rodzaju Majorkiewicza, który rzeczy świeżo zasłyszane w aulach uniwersyteckich rozrabiał i parafrazował, dzięki fantazyi i łatwości pisarskiej, nie zaś samoistnemu badaniu. Za jego czasów, już w wielkiej pracowni nauki europejskiej istniała filologia porównawcza, która wpadła na trop tożsamości wielu podań, uchodzących za miejscowe, z takiemiż podaniami w miejscowościach odległych, wśród ludów jednego szczepu a więc mniej więcej i podobnej fantazyi; tak iż bardzo wiele podań w Europie, rozbitych na kawałki i do niepoznania przemienionych daje się redukować do jakiegoś szczegółu mitologii wschodniej, aryjskiej. Prócz tego metoda porównawcza ileż wykryła pokrewieństw bliższych, sąsiedzkich, w podaniach, tam gdzie one zdawały się poprzednio jedynymi na świecie. Berwiński, mówiąc ogólnikami, nie zadał sobie tyle trudu, ażeby choć jedno podanie rozebrać i sprawdzić porównawczo, według wymagań nauki pozytywnej, i przeto jego dzieło nie ma wartości źródłowej; ale nie mniej samo zakrzężnięcie się około téj sprawy, potrącenie o warunki jakich ona wymaga, już stanowi niezaprzeczoną jego zasługę dla współczesnych, którzy, prócz Maciejowskiego, żadnej wskazówki do zapatrywania się na podania ludowe nie posiadali. W każdym razie więc, jego zasługa na polu pracy prozaicznej, nie jest „tak drobną,“ iżby się nad nią bliżej zastanawiać nie warto.

Rozumie się iż ta jego praca wartością nie dochodzi téj, którą wykonał jako poeta; tą też poezją jego głównie p. Bądzkiewicz się zajmą. Spadek to niewielki, bo wszystkiego w dwóch tomach zawarty;

ale też niestrudzony krytyk bada go szczegółowo, w duchu i formie, przetrząsa we wszystkich kierunkach, pod względem subiektywnym, politycznym, społecznym; wkłada go w retortę poetycką ażeby wykryć wszystkie jego pierwiastki składowe. Każdemu sądowi, każdej wyznaczonej kategorii, zazwyczaj odpowiada stosowny przykład.

Dzięki tak skrzętnemu badaniu, p. Bądzkiewicz sprawdza i dowodami przekonywa jak fałszywie dotychczasowa krytyka upatrywała w Berwińskim naśladowcę Słowackiego, kiedy przeciwnie, poeta ten całym rzutem umysłu i skłonnościami zbliża się do Mickiewicza, którego manierę wprost sobie nawet niekiedy przywłaszcza. Nie można go przeto jednak mienić bladym naśladowcą, do czego i surowe wcielenie kilku mickiewiczowskich wyrażeń nie upoważnia. Był to owszem talent samodzielny, i samodzielność swą ujawniający w treści, którą nazwać można kamieniem probierczym tęgości poetycznego natchnienia, to jest w wierszu erotycznym, najpodatniejszym do banalności, nieznośnym i wstrętnym, o ile nie płynie z bujnej natury indywidualnej. Tymczasem, jeżeli gdzie, to właśnie w wierszu erotycznym Berwiński porywa namiętnością, mającą charakter prawdy i głębokiego odczucia wrażeń, a gorące w słowie jego wzruszenia łączą się w dzielną harmonię z kolorytem zmysłowym. Treść tak egotyczna i ograniczona, jak erotyzm, tak mało stykająca się ze sprawami ogółu, z pozoru nie zdaje się być przeznaczoną do oddziaływania na ten ogół, do utrwalenia nazwiska twórcy; a jednak są poeci, jak na przykład Petrarca, którzy tylko wierszom miłosnym zawdzięczają swą sławę wiekową. Dowodzi to, naprzód, że w poezji, jak we wszelkiej sztuce w ogóle, nie to jest warunkiem, co utwor reprezentuje, tylko co reprezentuje, a ztąd tworzy się podstawa sądów estetycznych; powtóre że miłość, nawet tylko erotyczna, nie przestaje być jednym z czynników sztuki najpopularniejszej, bardzo naturalnie, stanowi ona bowiem wspólny i wiekuisty czynnik wszechludzkości a zarazem wiekuistą podstawę jój bytu.

Mieliśmy sporo erotyzmu w poezji naszej przed Berwińskim, zwłaszcza zaś w ostatnim okresie romantycznym: wypada zatem zastanowić się dla czego erotyzm Berwińskiego nie zmieszał się z innym, nie zbladł w cieniu takich zwłaszcza olbrzymich drzew jakim erotyczne swe drogi wysadzili trzej koryfeusze; dla czego się mianowicie wśród tego wszystkiego uwydatnił? Odpowiedź na to, krótką ale pouczającą i nie ogólnikową daje krytyka p. Bądzkiewicza. Berwiński żył, myślał i pisał w epoce, kiedy w filozofii panował wszechwładnie idealizm (Hegel, Schelling, Cieszkowski), w poezji romantyzm również idealny; oczywiście jako syn wieku, musiał on się naginać do form jakie mu się zewsząd narzucały: ale skłonność przyrodzona, indywidualna, zwracała go gdzieindziej. Berwiński, za słaby ażeby stanowczo zrywać z tradycją i otoczeniem, i rzucić się na drogi nowe, był z natury realistą; nie dał się przeto całkowicie pochłonąć atmosferze jaką umysł jego oddychał, i część swych skłonności przyrodzonych w twórczości swój zaznaczył. Było to jego tryumfem, to go uwydatniło. Czyli jak się

wyraża krytyk (str. 39); „Tam (w erotykach), realista z przyrodzenia nieustanną stacza walkę z panującym idealizmem literackim i jego wynikiem poetycznym—romantyzmem: ta tedy właśnie walka stanowi tajemnicę całej ekspresji piękna i oryginalności rysunku jego liryzmu; tam nawet gdzie poeta poniewolnie rysztnunek romantyczny przywdziewa, gdzie się skarży na miłosne zawody... czuś jakąś męzkość, jakieś potężne uczucie, pulsujące w łonie człowieka... który przedewszystkiēm jest sobą.“ Tak właśnie wyróżnił się, wśród francuzkiego romantyzmu Lamartine'a i Wiktora Hugo, Alfred de Musset, do którego nasz Berwiński ma niejaki podobieństwo, chociaż jego obrazy zmysłowe jeszcze nie dochodzą jaskrawości Musseta. Zachodzi tylko ta okoliczność, że ci nowi romantycy podszyci realistami, na kształt Musseta lub Heinego w Niemczech, działali na skalę europejską, zwracali uwagę przypominając się nieustannie, gdy nasz poeta, rozerwany na różne strony, zdaje się wczasy tylko swoje poświęcać uprawie poezyi, tak że współcześnie nie przedstawia nawet dostatecznego materiału do rozpatrzenia się ogółowi i krytyce; a bądź co bądź, w rzeczach sztuki, ażeby wyrzeć wpływ trzeba mieć za sobą zarówno jakość i ilość.

Cała praca poetyczna Berwińskiego mieści się w dwóch tomach, to zaś co go najświetniej zaleca i stanowi nasz doniosły nabytek literacki jest tylko częścią tego zbioru, i nie wiele znaleźlibyśmy wierszy któreby można postawić w jednym szeregu z jego typowej piękności „Wspomnieniami,“ gdzie poeta mało ma do pozazdrosczenia najpierwszym lirykom świata. Ta górująca samodzielność form, jaka cechuje „Wspomnienia“ oraz ich dopełnienie: „Moje słońce,“ „Moja gwiazda,“ jak niemniej wiersze p. t. „Przestroga,“ Dwie prośby śpiewaka,“ „Błogosławieństwo“ i jeszcze kilka innych w dziale zatytułowanym: „księga świata i złudzeń,“—ta samodzielność, powiadamy, zdobywająca się na melodye przejmujące pięknem a nie naśladowane, upomina się o miejsce dla Berwińskiego w panteonie naszym, o niewielki kącik, ale własny. Témbardziej, że ten liryzm poety, brzmiały okrzykami pochodzącymi z głębi duszy, znajduje równie silne akcenty kiedy, jak oto w dziale następnym „Księga życia i śmierci,“ chodzi już nie o wyrażenie uczuć miłosnych w stosunku do siebie i świata, ale o wyrażenie przekonań dotyczących sfer ogólniejszego znaczenia, gdzie i religia i moralność, polityka i narodowość kolejno lutnie swe podają poecie.

Jeżeli więc zarzuciliśmy p. Bądzkiewiczowi, że nie doceniając zasług Berwińskiego jako prozaika, przecenia jego stanowisko jako poety, nazywając je „wysokiem,“ nie znaczy to iżbyśmy w jego bohaterze nie uznawali poety prawdziwego ze krwi i ducha; tylko, zdaniem naszym, jest to poeta, który zaznaczył się wybitnie, lecz właśnie nie wysoko: forma, w jakiej uzewnętrznia swe myśli i uczucia, zbliża go do najpierwszych, treść jest prawie zawsze przygodną; Berwiński nie wyzerpał ze swego ducha żadnych trwalszych ideałów. Przerzućmy się do satyry (Don Juan Poznański, Parabaza, Spowiedź), nagromadził

więcej impertynencji niż dowcipu, a nawet ten ton humorystyczny jakim utwory swe przejął, jakże niższym jest od tej bajronicznej ironii, którą zdaje się za wzór sobie obrał; na co wreszcie i sam p. Bądzkiewicz się zgadza.

Ażeby spełnić zadanie krytyka, tak jak je rozumie, szanowny profesor nie poprzestał na ogólném określeniu natury jego utworów, ani nawet na ocenie ważniejszych, lecz mając przed sobą poetę, jął się szczególniej analizy całego organizmu, z punktu poetyki. Istna robota Arachny! Poświęcić cały jeden rozdział wykazaniu wszystkich figur poetyckich (tropoi), jakie napotykają się w całokształcie rozbiernego poety, zadanie to nielada. Prawda, że skutkiem cytat przytaczanych dla rozjaśnienia figur, jawniej, dobitniej, występują wszystkie piękności tekstu, wraz z jego stylem i językiem; ale też pracy takiej mógł tylko chętnie dopełnić ten co przez dziesiątki lat, dla odstonięcia słuchaczom wnętrza poematów, metodę taką praktykował z katedry. Jest też to pierwszy w naszej krytyce przykład podobnego rozbioru,— zdaje mi się,— wcielenie idei z jaką nosi się p. Bądzkiewicz, a polegającej na tém, ażeby w danym autorze, oprócz ogólnych opisów myśli i formy tekstu, wyszukiwać formy językowe, co znaczy zarazem stylowe i poetyckie. Pierwszą jakoby próbę takiego postępowania dał tedy tu p. Bądzkiewicz sam od siebie, tylko nie wiem czy dużo znajdzie pod tym względem naśladowców, bo praca to wcale niepojętna, lubo, zwłaszcza w odniesieniu do dzieł epokowych, niezmiernie pożyteczna, mająca się do krytyki ogólno-estetycznej tak niejako jak osteologia do fizjologii pewnego ustroju.

Biografia zatém Berwińskiego, w opracowaniu p. Bądzkiewicza, przedstawia się wyczerpująco, tak co do szczegółów samego życia, jako i co do związku ich z kierunkiem i pracami umysłowemi człowieka. Zastęga autora tém jest większą, że zajął się jednostką niemal zapomnianą, która, po tak niedługim przebiegu czasu, już dla dzisiejszego pokolenia czytających stała się prawie mytem. Zapomnienie niesłuszne, i dające niedobre świadectwo o udziale narodu w losach ludzi, którzy dla niego pracują i poświęcają się. Jakkolwiek zaś Berwiński wiele błędził, nigdy nim przewrotna nie kierowała myśl: błędy jego były błędami wieku. Można smucić się jego usterkami, nikt nie ma ich prawa przeklinać. Z poza tych usterek i szkód nawet, wyrządzonych samemu sobie, wyniósł on jednak dobrą część swęj duszy na wieczny spadek dla literatury ojczyznej; i oto rzecz, o której zapominać się nie godzi. Może praca p. Bądzkiewicza przyczyni się do zebrania, do jakiego przynajmniej wyboru spuścizny po zmarłym na obczytnie pisarzu i poecie, którego dzieł dzisiaj i wyszukać trudno; a w takim razie monografia, z której zdaliśmy sprawę bardzoby pożytecznie figurowała na czele wydania.

Kazimierz Kaszewski.

Kazimierz Chłędowski. „Dwie wizyty w Anglii.“ We Lwowie: Gubrynowicz i Schmidt: W Warszawie: Gebethner i Wolff. 1887, str. 364. *)

Autor celuje przedewszystkiém w charakterystyce osób i chwytaniu objawów życia na gorącym uczynku. W Westminsterze odbywa się nabożeństwo. Czerwony sznur przeciągnięto pomiędzy nawą, a presbyteryum, by nie przeszkadzać obrzędowi. Wszyscy czekają na ukończenie modłów, by się dostać do „Zakątka poetów.“ Nareszcie śpiewy milkną. „Sznur się otwiera i kilkadziesiąciu John Bullów z prowincyi z żonami, z dziećmi, tudzież kilkunastu Niemców z Bedekerami pod pachą, rzuca się na pomniki przeszłości z chciwością sfory kundysów, której przyniesiono jadło.“ W Windsorze znowu, „w tój monarszėj sielance,“ jakże o królowej nie wspomnieć? Mówi też o niej autor i tak ją charakteryzuje: „Pisze ona mdłe książki, cichaczem sierdzi się na Gladstona (dziś to już do historii należy!) i myśli, jakby któremu z niemieckich kuzynków, co ją obsiedli, jak siostrzeńcy i siostrzenice księdza proboszcza wyrobić na koszt John Bulla synekurę.“ „Zresztą — dodaje — jest sentymentalna, jak każda Niemka, która owdowiała, ale bardzo dobra kobieta.“ Inny jeszcze rys, odnoszący się do niej, choć niekoniecznie pochlebny. Autor, obejrzawszy ze szczytu „Wieży okrągłej“ (Round-Tower) dwanaście hrabstw, co u stóp windsorskiego zamku naokół legły szeroką mapą; zwiedziwszy kościół ś. Jerzego i mauzoleum ks. Alberta, gdzie podziwia w oryginalny sposób układane mozaiki; zapragnął jeszcze obejrzeć stajnie królowej. Zawiaduje nimi koniuszy Niemiec, z którym, jako wiedeńczykiem autor od razu zawiązuje poufną rozmowę. Sądzisz jednak, czytelniku, iż ów Niemiec dumny był z zajmowanego stanowiska, przy koniach, władczyni Indyj? Bynajmniej! Pragnął corychłej wrócić do stolicy nad modym Dunajem, przyjąc służbę choćby u jakiego magnata.

— Te Angliki, panie — mówił — toby brały tylko pieniądze, ale płacić nie chcą. Królowa pierwsza skąpica. Człowiek nie nie oszczędzi, a nawet od zwiedzających nie wiele dostanie, bo tutaj niema nic do widzenia.— Jakoż istotnie wszystkiego było w stajni pięćdziesiąt koni.

Przedewszystkiém jednak udały się autorowi obrazki, pochwycone ze scen na kiermaszu oksfordzkim. Bo też ów kiermasz przedstawia rzeczywiście rysy oryginalne, których naprózno byśmy na stałym lądzie szukali. Wystawmy sobie tłum kilkotysięczny, zgromadzony na jednym placu i przyległych mu ulicach; tłum krzykliwy, gwarny, śpiewający, a pośród niego kilka maszyn parowych, z których jedne obracają karuzele, drugie „dmą w piszczałki organów,“ a inne jeszcze, „poruszają automatyczną orkiestrę, złożoną z całego szeregu trąb i cymbałów.“ Każda z nich piszczy i śapie, a wszystkie, mieszają się z gwarem

*) Dokończenie — patrz zeszyt za m. styczeń r. b.

rozmowy i odgłosami muzyki, najstraszniejszą kakofonią sprawiają. Czyż gdzie indziej przyszedłoby komu do głowy używać pary, jako motora zabawy? To tylko John Bull potrafi.

Na tym zaś tle występują znowu typowe najróżnorodniejsze postacie. Oto np. taki parasolnik, atletyczny budowy, który z zakasaniem po łokcie rękawy, z kapeluszem zarzuconym na tył głowy, stojąc na podwyższeniu, zwija i rozwija swój towar, zachęca ochryłym głosem do kupna, a kiedy nie może znaleźć nabywcy, chwytą się najbezczelniejszego kłamstwa, by na patryotyzmie ziomków zarobić. Pomiędzy innymi pokazuje parasol, który życie wielkiemu Gladstonowi ocalił. Tak!... Ten mąż dostojny — powiada — przemawiając z odkrytą głową na meetingu w Birmingham, byby najniezawodniej zginął od porażenia słonecznego, gdyby on nie był nad nim owego parasola rozłożył. „Pięć szylingów tylko za tę narodową pamiątkę!“ A kiedy pomimo to nikt się do kupna nie kwapił:— „Jako! — wykrzykuje, — nie ma nikogo, kto by za taką pamiątkę, za parasol o 18 stalowych sprężynach, o podwójnej materii jedwabnej dał pięć marnych szylingów?... Brak patryotyzmu! — woła zgorzsony i za siebie rzuca z gniewem historyczny parasol, by z innym równie dowcipną komedią odegrać.

Jakże znowu wdzięczny obrazek kreśli autor, opisując zabawę w lisie ogony. Wieczorem przy świetle gazów, gromadzi się młodzież obojęd płci na placu. Biada jednak ładnej dziewczynie, jeżeli się pokaże. Naraz bowiem dziesięć kit na nią uderza „łechce ją po ustach, po nosie, smaga po szyi; dziewczyna ucieka, chłopaki za nią, hałas, gwar, śmiechy, pustota. Przyjaciołki biorą uciekającą w obronę, dalejże tą samą bronią atak na chłopców,“ a wszystko to odbywa się w sposób przyzwoity, „nikt się nie obraża, nie gniewa, nikt siłą walczyć nie próbuje, ale, jak się obronić nie może, stara się ukryć za innych.“ A ów młody Reverend, co siedząc w cieniu drzewa na krześle, przemawia z namaszczaniem do tłumów! To także typ w swoim rodzaju. Słowa jego w połowie zagłuszają organy, a jednak musi mówić z niepospolitym talentem, skoro go wszyscy w skupieniu ducha słuchają. Nagle przerywa mowę, staje na podwyższeniu, na chwilę zakrywa twarz rękoma, poczem natchniony, z podniesionymi w górę oczami, rozpoczyna modlitwę. Kto on?— pytamy. To duchowny z sekty Church Army. „Pierwszorzędny aktor, albo człowiek całóm sercem wierzący w swą misję.“ Że jednak raczej był pierwszym, niż drugim, o tém mógł się autor przekonać przy powtórném z nim spotkaniu. Teraz już nie przemawiał do pobożnych słuchaczy, ale szedł ulicą na czele kilkudziesięciu osób i takt białą chustką wybijał. Obok niego niosą sztandar niebieski, za nim postępuje kapela: kobieta i dwaj mężczyźni grają na skrzypcach, trzy jejmoście na harmonijkach. Kobiety wysoko podkasane, wybijają takt nogami, że aż błoto rozpryska, a wszyscy psalmy śpiewają. Czy to ma być nabożeństwo?... Ba! to tylko mała próbka tego, co może sektarska Anglia wytworzyć. Przypatrzmy się osławionćj „Armii zbawienia“ (Salvation Army), którćj

autor osobny rozdział poświęcił, a przekonamy się, że w obec niej niczem jest przysłowiowe włoskie nabożeństwo.

Czytelnicy mieli już niejednokrotnie sposobność powziąć z gazet o tej sekcje wiadomość. Szczególniej niedawny jej zatarg z władzami szwajcarskimi, które jej członków za burzycieli pokoju publicznego uznały, najwięcej się do jej rozgłosu przyczynił. Pomimo to, z dorywczych wiadomości, jakie o niej podawały dzienniki, niepodobna było sobie o niej dokładnego wyobrażenia utworzyć. Praca p. Chłędowskiego poraz pierwszy dopiero daje nam poznać we wszystkich szczegółach jej organizacyą, cel do którego zmierza i środki, jakimi rozporządza. A w istocie zastęp to potężny, jakim żadne państwo najmilitarniej zorganizowane poszczycić się nie może. Podług obliczeń z r. 1883 samych żołnierzy armia ta liczy przeszło sześć milionów i 1245 oficerów, z których 100 przy boku naczelnego jej wodza, Williama Booth'a, sztab generalny stanowią. Zorganizowana w r. 1878, już w dwa lata rozszerzyła się w Irlandyi i Stanach Zjednoczonych. W r. 1881 wkracza do Francyi i podejmuje wyprawę do Australii; w 1882 zajmuje Kanadę, przedziera się do Szwajcaryi i płynie na okrętach do Indyi. Wreszcie w roku 1883 urządza ekspedycyą do Szwecyi, Afryki i Nowej Zelandyi. Liczy 471 korpusów, z których 429 przebywa w kraju, a 42 operuje na lądzie stałym i w koloniach. Co dziwniejsza, że armia ta, choć tak liczna, wszystkie swoje potrzeby zaopatruje z dobrowolnych składek, jakie wnoszą należący do niej członkowie. A składki te wcale poważną cyfrę stanowią: rocznie bowiem do 3,025,000 fr. dochodzą. Jeżeli teraz zauważymy, iż do Armii Zbawienia przeważnie najuboższa ludność należy, iż się rekrutuje z samych pijaków, karciarzy, złodziejów i kobiet upadłych najgorszego gatunku, to istotnie zmuszeni jesteśmy w generale Booth podziwiać ową potęgę organizatorskiego ducha, który tak niesforne żywioły, umie w korbach należitych utrzymać i do takiej ofiarności pobudzić. I niech nikt nie myśli, że ów dziwny apostoł w jakikolwiek sposób wyzyskuje te ciemne tłumy dla osobistej, materyalnej korzyści. Booth ma własny majątek, grosza nie pobiera z funduszków armii. Fundusze te złożone są w domu bankowym: Josiah Beddow and Sons w Londynie, a powiększają je nie tylko operacye bankierskie, ale i składki osób zamożnych, które w r. 1882 wynosiły 978,000 franków. Pomimo jednak tak kolosalnej cyfry, do jakiej owa Armia dochodzi, roczne jej potrzeby stosunkowo bardzo są małe: nie przewyższają 2,250,000 franków. Ale bo też ona bynajmniej nie podejmuje walki dla zapewnienia sobie terytoryalnych zdobyczy; prowadzi bój... tylko z szatanem! Tak! To cel jej główny, jedyny: dla niego trud, godzien lepszej sprawy i owe miliony poświęca. Nie jestże to jednak szaleństwem?... Bez wątpienia wśród tak pozytywnego, jak Anglicy narodu, wydaje się to niepodobnym do prawdy, a przecież, kto głębiej wniknie w tajemnicę sektarskiego ich życia, dla tego owa Armia zbawienia okaże się pouiekąd naturaluém zjawiskiem. Przez ciąg XVI i XVII stulecia wszystkie sekty w Anglii żarły się

o dogmata pomiędzy sobą, znosząc zarazem prześladowanie panującego kościoła. Wiek XVIII ze swą wolnością złagodził nienawiści wzajemne; XIX wszystkim wyznaniom bezwzględna tolerancją zapewnił. O dogmata nikomu już nie idzie; nikt się o nie nie spiera; ale za to rozumiano, iż należy podjąć się pracy nad umoralnieniem jednostek, by tym sposobem uzasadnić racją własnego bytu. Tymczasem na tém polu, wszystkie sekty, nie wyłaczając panującego kościoła, wykazały swoją bezsilność. Poza nimi bowiem pozostał cały proletaryat, ów „mob“ londyński, ogłupiały od nadmiernego użycia dżinu, złożony z tak zdemoralizowanych jednostek, iż żaden z kościołów, żadna z sekt nie chce ich do swych współwyznawców zaliczać. Dla takich więc paryasów społecznych Booth utworzył armią zbawienia, podał rękę upadłym, by ich zwrócić na drogę uczciwości i pracy, powziął myśl istotnie szlachetną, gdyby nie środki przezeń obrane, które zakrawają na istotne błazeństwo. Armia zbawienia ma swje umundurowanie, sztandary z symboliczną literą S (Salvation), muzykę, złożoną z trąb, bębnow i kastanietów, przy której dźwięku defilady odbywa. Celem ich: werbunek nowych żołnierzy i na różnych punktach miasta stoczenie walki z szatanem. Zwykle placem boju jest wynajęta jakaś halla lub teatr. Żadnego w nich jednak godła religijnego nie znajdziesz; tylko starszyzna z muzyką zajmuje scenę, lub z desek ułożone wzniesienie, publiczność zaś w ławkach zasiada. I teraz dopiero rozpoczyna się piekielna scena „wyganiania szatana.” Niepodobna nam wszakże opisać jęj własnymi słowy. Przytaczamy więc cały ustęp odnoszący się do niej, jak go skreślił autor z dosadnością sobie właściwą. „Starszyzna ryczy, wyje, odgraża się pięściami, wierzga nogami, pokazuje na coś, czego nie widać; trąby wszczynają pisk rozdzierający, muzykantki dmą z całej siły, konwulsyjnie ciałem poruszając—całe towarzystwo wygląda, jakby uciekło z domu obłąkanych. Po 10 minutach tych gimnastycznych ćwiczeń i wrzasków, przychodzą „pobożni” do przekonania, że dyabeł nie wytrzymał takiego ataku i sromotnie uciekł.” Następuje śpiew, kończący się za każdą zwrotką wykrzykiem: Alleluja! poczem jeden ze starszyny, leżąc napót na scenie z trąbą w rękę, rozpoczyna ochrypłym głosem kazanie, na którego finał obecni znów wykrzykują Alleluja; wreszcie odmawiają wspólną modlitwę i Armia zbawienia spać idzie.” Co zabawniejsza, że o każdym z takich zwycięstw ogłaszają się w pismach, poświęconych sprawie Armii szumne buletyny, które najczęściej żona Booth’a układa. Oto parę z nich przytaczamy na przykład: „We środę rano wyruszyli: major Howard, kapitanka (sic) Wife i lieutenant Shord do ataku; rozpoczęto silnym ogniem razić nieprzyjaciela i zaraz poddało się w pokorze 20 dusz, szukających zbawienia.— Alleluja!”— „W sobotę. Bitwa rozpoczęła się o 12 w południe, wytoczyliśmy „odtylcowe działa,” które tak strasznym ziały ogniem, że nieprzyjaciel w dzikiej ucieczce szukał ratunku. Pan wyrwał 50 dusz z ciemności, ażeby je podnieść ku swemu światłu.— Alleluja!... Nie jestże to szczyt obłąkania? A jednak wszystko to pisze

się z największym namaszczeniem, powagą. Dziennik „War Cray“ (Okrzyk wojenny), wychodzący w Londynie jest urzędowym organem Armii zbawienia. „W nim Booth ogłasza nominacje oficerów i dygnitarzy; tam zdaje sprawę z dochodów,” tam zresztą zamieszczają się korespondencye o ruchach i zwycięztwach armii ze wszystkich kończyn ziemi. Nie pominięto i pedagogicznej strony zadania. Jakoż pomiędzy innymi dziennikami wychodzi także: „The little soldier“ (Mały żołnierz), wyłącznie przeznaczony dla dzieci. Jakiż jednak cel praktyczny z tego wszystkiego się osiąga? Oto postrachem sądu ostatecznego i piekła Booth utrzymuje w korbach posłuszeństwa całą tę zgrają rzezimieszków, nierządnic i pijaków i „wśród bezustannych praktyk,” niby religijnych, nie daje im odpocząć ani opamiętać się choćby na chwilę. Zaden z członków nie ma czasu, aby się upić lub wałęsać po mieście, bo oficer czuwa nad nim i ulicznymi pochody, walką z dyabłem, muzyką hałaśliwą trzyma jego złe instynkta na wodzy. Znużony, myśli o spoczynku jedynie, a tak, odzwyczajając się od nałogów, w końcu staje się porządnym człowiekiem. Autor nie wróży jednak trwałości Armii zbawienia. Utrzymuje ją tylko talent organizatorski Bootha pozbawiona jednak wyższej, umoralniającej zasady, rozprzęgnie się z chwilą, gdy zstąpi jęj przewodźca do grobu. Nie ma także dla nięj pola po za obrębem Anglii; żadeu kraj bowiem nie wytworzył dotąd tak upadłego i ogłupiałego proletaryatu, do któregooby podobnie umoralnające środki dały się skutecznie stosować.

Nie mniej zajmującym jest rozdział poświęcony malarstwu w Anglii. Jest to niemal studjum, jakiego nie posiadamy chyba dotąd w naszej literaturze. Autor dowiódł w nim, iż głębszym jest znawcą utworów pędzla, niż budownictwa, którego pomniki w swych opisach po macoszemu traktuje. W ogóle u nas zakorzeniło się przekonanie, iż Anglicy nie posiadają uzdolnienia do muzyki i malarstwa. Co do pierwszej rzeczywiście można się zgodzić, w świecie bowiem tonów nie wydali ani jednego mistrza, inna rzecz wszakże z malarstwem. Nagromadziwszy kolosalne bogactwa, nietylko ozdobili owe galerie publiczne i prywatne niezliczoną ilością arcydzieł mistrzów włoskich, hollenderskich, flamandzkich i hiszpańskich, ale nadto wytworzyli własną szkołę malarstwa, która już na wystawie paryskiej w r. 1855 zaimponowała Francuzom, którzy nie przypuszczali, by ich z poza Manszy sąsiedzi zdolni byli na polu sztuki plastycznej iść z innymi narodami w zawody. Tymczasem początki malarstwa w Anglii sięgają już czasów Jerzego I, a pierwszym anglikiem, który chwyta za pędzel był John Thornhill—malujący zresztą bardzo liche portrety. Po nim około r. 1730 występuje Hogarth, „ów Juwenalis pędzla,” którego zresztą utwory dość u nas były znane, dzięki reprodukcjom umieszczanym w Magazynie powszechnym. Anglicy nazywają go ojcem swego malarstwa, właściwie jednak występuje on w jego historii, jako całkiem odosobnione zjawisko. Karykaturzysta, brutalnie odtwarzający typy zepsutego społeczeństwa XVIII w., jest raczej historykiem

obyczajów, moralistą, satyrykiem, ale niepodobna mu przyznać miana artysty. „Kompozycja jego rozstrzelona, koloryt twardy, pędzel ciężki, rysunek niezbyt poprawny.” Malarz z tymi przymiotami nie jest zdolny stworzyć szkoły. To, co w jego dziełach zajmuje, należy do jego indywidualności. Odbierzcie mu ją, a z techniką, jaką posiada zejdzie na zwykłego bazgracza. Właściwie też twórcami angielskiego malarstwa są: Reynolds, założyciel Akademii sztuk pięknych w Londynie († 1792) i Gainsborough († 1788). Obaj wszakże różnemi poszli drogami. Pierwszy, zbadawszy gruntownie utwory arcy-mistrzów XVI stulecia, połączył w sobie „suchą wiedzę, krytycyzm, artystyczną, erudycją, z wdziękiem i wyobraźnią poety, z delikatnością uczucia i eteryczną prawie lekkością pędzla.” Jako portrecista był mistrzem w swoim rodzaju, z równym artyzmem oddawał „charaktery męskie i kobiece, oraz prześliczne główki młodych dziewcząt i dzieci.”

Przeciwnie Gainsborough, nie kształcił się na obcych wzorach, nie podróżował nigdzie, wyśmiewał nawet akademickie teorie Reynolds'a, a przecież umiał samorodny swój talent do wysokiego stopnia doskonałości rozwinąć. Pejzażysta, odtwarzający z całą prawdą naturę przez współzawodnictwo z Reynolds'em, zdobył równą z nim sławę portrecisty, a nawet pod pewnymi względami w wielu razach przewyższył. Jego „Blue-Boy,” był zwyciężkiem odparciem teorii Reynolds'a, który twierdził, „iż w głównej postaci obrazu nie powinien nigdy przeważać kolor niebieski.”

Jakkolwiek autor dwóm tym mężom przyznaje zasługę stworzenia właściwej szkoły angielskiej, do której zalicza: Lawrens'a, Constable'a, Wilkie, Mulready, Williama, Collins'a, Richarda Bonington'a, Landseera i Turnera, to przecież właściwości, jakie im w dalszym ciągu przyznaje, wskazują, iż nad teorią i tradycjami klasycznymi Reynolds'a wzięła górę samorzutność Gainsborough'a i że jemu głównie należy przyznać miano twórcy szkoły angielskiej. Jeszcze Constable, pejzażysta, usiłuje wskrzesić pod względem kolorystycznym, świetne tradycje dawniej szkoły flamandzkiej; również Landseer, znakomity malarz zwierząt, lubo słabszy już kolorystą, celuje głębokim ujęciem indywidualnych własności odtwarzanych przez siebie typów; ale za to Turner — jeden z najoryginalniejszych pejzażystów z tej grupy, nie poszedł za klasycznymi teoriami Reynolds'a. Ur. w r. 1775, podlegał z początku wpływom Claude-Lorrain; później jednak, porzuciwszy mytologiczne dodatki, jakimi swe kompozycje obciążał, zaczął kierować się własnym poczuciem i stał się jednym z ojców dzisiejszego impresjonizmu. Turner nie kreśli krajobrazu przedmiotowo, nie dba o szczegóły, które się nań składają; idzie mu tylko o oddanie wrażenia, jakie od przedmiotów odbiera, o upoetyzowanie atmosfery i światła, o uchwycenie tonu, nadającego charakter okolicy. Wszystko to jednak występuje dopiero z obrazu, gdy się mu z właściwej odległości przypatrzysz; — inaczej widzisz jedynie „jakieś grube pokłady farby żółtej, jakieś skręty pomarańczowe, wysadzone turkusami, coś dla oka

niezrozumiałego." To też jego przeciwnicy okrzyknęli go za bazgracza i głosili, iż chcąc mieć jego pejzaż, „dość zmieszać na płótnie, zamiast na palecie kilka farb, albo obrzucić deskę rozbitymi jajami." Wszakże na nieuprzedzonym widzu, Turner wywiera potężne zawsze wrażenie. Jego Wenecya w świetle zachodzącego słońca i pociąg przejeżdżający most na Tamizie w dzień zamglony i dżdżysty, samém swém przeciwieństwem, w zachwyty autora wprawiają. A takich pejzażów Turner nieskończoną liczbę natworzył. Sama Akademia sztuk pięknych posiada ich 257, a ileż zdobi prywatne znowu galeryje! Na kontynencie jednak malarzy angielskich nie znają; John Bull posiada bowiem tyle narodowej dumy, iż żadnego obrazu nie wypuści za granicę swój wyspy, tyle zapłaci, iż artysta nie potrzebuje się oglądać na obcego nabywcę.

Wpływ Turnera na późniejszy kierunek angielskiego malarstwa i pod innym względem, lubo pośrednio, zaważył. Stał się on punktem wyjścia dla profesora uniwersytetu oksfordzkiego Ruskina, który z nową teorią estetyczną w dziełach „Nowi malarze“ i „Muzy weneckie“ wystąpił. Ruskin w całym znaczeniu tego wyrazu jest radykalistą w sztuce. Uznając Turnera za koryfeusza nowej szkoły, pragnie raz na zawsze malarzy angielskich z pod wpływu mistrzów odrodzenia wyzwolić. Według niego Renesans jest zabójczą skałą, o którą się rozbijają wszystkie młode talenta, epoką od której się upadek nowoczesnej sztuki poczyna! „Żadnych formuł i krępujących zasad w sztuce; precz z pięcioma porządkami architektonicznymi, precz z regułami proporcji, precz z niezmiennającymi się kształtami kolumn i kapiteli." Sztuka powinna być wyrazem indywidualności artysty; by urzeczywistnić w niej swe pomysły nie potrzebuje oglądać się na to, co wieki odrodzenia zdziały; natura dość mu następuje wzorów; niech je malarz wystudyje i przeniesie w całej prawdzie na płótno, a przyniesie więcej społeczeństwu korzyści, dając mu poznać rzeczywistość, niż gdy tę rzeczywistość zastąpi „sztuką pozy i pięknego kłamstwa.“—Szczególniej Rafael jest przedmiotem jego pocisków. Według niego bowiem on „głównie podeptał sztukę prawdy i rzeczywistości, on sprawił, że sztuka stała się umiejętnością anatomii, światła, cienia i perspektywy, że formy zapanowały nad geniuszem," jak gdyby znajomość składu ciała ludzkiego nie była znajomością natury, albo światło, cienie i perspektywa wynikiem naturalnym stosunku naszego oka do przedmiotów zewnętrznych! Ruskin zasady te zaczął wygłaszać od r. 1843, uprzedzenia Taine'a do renesansu w ogóle, a do Rafaela w szczególności, tak jaskrawo wypowiedziane w jego podróży do Włoch, bezwątpienia z tego wypłynęły źródła. Radykalne teorye Ruskina, dążące do zerwania z wszelkimi tradycjami europejskiej sztuki, nie pozostały też bez wpływu na pokolenie młodych angielskich malarzy. Zawiązali oni towarzystwo „Braci prerafaelitów" (Pre-Raphaelite-Brothers), które wytknęło sobie za cel: „powrót do rzeczywistości“ przez odtwarzanie motywów historycznych z największą archeologiczną ści-

słością, a w pejzażach o reprodukowanie najdrobniejszych szczegółów przyrody z dokładnością i wiernością fotograficznego aparatu. Była to więc teorya naturalizmu, który dziś tak wszechwładnie zapanaował w malarstwie. Teorya ta wszakże, jak każda jednostronnie pojęta i z góry sztuce narzucona doktryna, wydała smutne owoce. Jeden np. z preraphaelistów rzucił na obraz jeźdźców, uganiających się w polu za zającem, ale pamiętał i o tém, że ma odtwarzać wiernie naturę, więc cały talent wysilił na to, by dokładnie „sportretować wspaniałe okazy rzepy na owym polu wyrosłe.“ Inny znowu, mozolne studia poświęcił, by wiernie stopy węgla odtworzyć. Byli wreszcie i tacy, którzy zrozumiawszy bezmyślność podobnego kierunku, zamierzili „tylko główne przedmioty traktować z najsztubniejszą dokładnością, podczas, gdy rzeczy podrzędne malowali na sposób impresyonistów.“ tym sposobem wytwarzali dwie maniery na jedném płótnie, zrywali jedność, konieczną w dziele sztuki. Był to jednak naturalny wynik radykalnych teoryj Ruskina. Zamiast udeskonalenia, cofano się do początków malarstwa. Postęp bowiem wtedy jedynie możliwy, gdy się opiera na zdobyczach przeszłości. Czém byłaby dziś wiedza i nowożytna cywilizacya, gdyby ludy europejskie odrzuciły całą umysłową po Grekach i Rzymianach spuściznę? Do czego by zresztą zeszło budownictwo, gdyby architekci nie chcieli, przypuścmy, z teoryi wiązania sklepień korzystać? Podobne dążności, zmierzające do zerwania w sztuce z tradycjami przeszłości, są tylko wynikiem braku twórczości, wyrazem rozpaczliwej pogoni za ideałem, który talenta mierne przeczuwają, ale go nie są w stanie doścignąć i ująć w dotykalne kształty. Ztąd gniewy na mocarzów sztuki, którzy zajęli niedostępne dla nich wyżyny, ztąd lekceważenie kompozycyi, oraz tych środków technicznych, jakimi ci posługiwali się do uwydatnienia swych idei. Jeżeli jednak komu, to owe dąsy na przedstawicieli renesansu, najmniej chyba przystoją młodej szkole, która dotąd nie umiała się zdobyć na historyczne i religijne malarstwo. Próby bowiem w pierwszym z tych dwóch kierunków przez Holmana Hunta podjęte nie doprowadziły do żadnych rezultatów dodatnich. Jego „Tryumf niewiniątek“ odznacza się wprawdzie najzupełniejszą wiernością w szczegółach, ale całość krzycząca, jaskrawa robi wrażenie nieprawdopodobieństwa. Artysta malował przedmioty, jakimi są, a nie tak, jak się nam wydają, stąd mimo całej ścisłości, z obrazu wygląda fałsz.

Rozpisaliśmy się o malarstwie angielskiem nie tylko dla tego, że o niem autor podaje wiele szczegółów czułym polskim nieznanych, ale i ze względu na niektórych młodych naszych artystów, hołdujących aż nadto naturalistycznym teoryom. Malarstwo to najwymowniej świadczy do czego one prowadzą.

Również ciekawym jest rozdział, poświęcony Muzeom i prywatnym zbiorom artystycznym. Jakoż, jeżeli co, to dopiero one dają miarę potęgi Albionu. Boć, właściwie mówiąc, są one wyrazem nadmiaru bogactw, których znaczną część zbytek jeszcze pochłania. A ja-

kąż to lwią część owego nadmiaru John Bull na ich założenie poświęcił! Wprawdzie większość zbiorów pomieszczonych w British Museum i Kensingtonie złupił na Grecyi i innych azyatyckich i afrykańskich narodach, lecz obok tego, ileż arcydzieł na wagę złota nabywał! Bogactwo to artystyczne Anglii wykazało się szczególnie podczas Manchesterskiej w r. 1857 wystawy. Samych oryginałów Velasqueza zgromadzono na niej 26, Murilla 36, Rembrandta 28, a Rubensa i Vandycka bez liku. Dodajmy nadto, że Kensington posiada słynne Rafaela kartony, Erosa Michała-Anioła, mnóstwo obrazów Holbeina, że już nie wspomniemy o przedstawicielach szkół hollenderskiej i francuskiej. To też tak nieprzebrane bogactwo arcydzieł, jakimi Albion się szczyci, daje najpewniejszą rękojmią, iż malarstwo angielskie nawiąże pod ich wpływem porwane przez Ruskina tradycje. Szukaniu bowiem dróg nowych bynajmniej nie przeszkadza korzystanie z nabytków i doświadczenia wieków minionych. Drogi nowe zawsze się znajdują, gdy przed duszą artysty nowa idea zaświeci. Tego jednak dotąd nie widać.

Natomiast, zbiory narodowe sztuki plastycznej egipskiej, assyryjskiej, indyjskiej, greckiej, etruskiej i innych, w wysokim stopniu oddziaływają na stronę artystyczną wszelkiego rodzaju rzemiosł i wyrobów przemysłu. Pod tym względem Anglia zwycięzko zaczyna współzawodniczyć z Francją, nie tracąc nic na oryginalności pomysłów.

Taką jest treść książki p. K. Chłędowskiego o Anglii. Obejmuje ona wprawdzie więcej jeszcze rozdziałów, ale tych streszczenie uważamy już za zbyteczne. Historia np. Times'a zawiera szczegóły, z kądinną oddawna znane: „Turniej muzyczny“ stanowi tylko dowód, że Angliacy w sztukach tonicznych nie wyrobili jeszcze w sobie artystycznego poczucia; wreszcie opis wysp: Wight i Jersey, jakkolwiek zajmująco skreślony, nie przedstawia jednak wyższego interesu. Ciekawą jest tylko ich charakterystyka; pierwszej pod względem klimatycznym, drugiej co do urządzeń polityczno-społecznych. Jakoż wyspa Wight, omywana od południa falami golfstreamu w dziwny sposób łączy w sobie właściwości południa i północy; Jersey zaś, zaludniona niegdyś przeważnie przez Francuzów, którzy jednak z wolna wyparci zostali przez rasę anglo-saksońską, przedstawia tę osobliwość, iż ma własny samorząd i parlament z językiem urzędowym francuskim. Większość zgromadzenia nie rozumie go wprawdzie, ale za jego utrzymaniem obstaje, gdyż inaczej, z chwilą wprowadzenia na obrady języka angielskiego, wyspa straciłaby swą polityczną odrębność. Wszystko to zaś autor skreślił piórem łatwem, pełnem dowcipu, elegancyi i wdzięku. Zarzucają mu wprawdzie, że zbyt wiele zajmuje się kuchnią angielską, ale tego zamiłowania nie myślimy poczytywać mu za grzech. Natomiast czujemy się w obowiązku wytknąć wiele językowych usterek, które nas istotnie zdziwiły w tak wytrawnym pisarzu. Do tych należą: robił podróż, zamiast odbywał; kaleczy po niemiecku zm. język niemiecki; całe folwarki drzew zm. szereg, grupy; dziedziczący się zam. odziedziczany; miłem

jest dla oka wrażeniem, zm. miłe robi wrażenie; wykonywać przemysł, zm. znaleźć zbyt; korespondentów przydzielonych różnym korpusom, zm. przeznaczonych do różnych...; czy nią dzieła, zm. spełniają; tygodniowy dziennik (!) zm. tygodnik; deszcz cienki zm. drobny; za minutę można zmoknąć, zm. w jednej chwili; starał się przywrócić ojczyźstęj sztuce obce doświadczenie, zm. przyswoić; mamy wrażenie zm. odbieramy; dom kamienny zm. murowany; zachodzi się zm. wchodzi się; dochodzi, zm. dojdzie.

Wszystko to są obce naleciałości, które psują język autora w ogóle poprawny i czysty.

Roman Plenkiewicz.

„Das Blinden-, Idioten- und Taubstummen-Bildungswesen. Beiträge zur Heilpädagogik in zwanglosen Ausgaben,“ herausgegeben von H. Merle, dr. Sengelmann, H. Söder.-Norden, 1887.

Książka, której tytuł powyżej podaliśmy, znalazła odgłos i pochwały w fachowych czasopismach europejskich, ma ona wprawdzie przeważnie charakter statystyczno-informacyjny, niemniej przeto jest wygodną a nawet nieodzowną w ręku każdego specjalisty, jako podająca w systematycznym ugrupowaniu wiele materiału z lat ostatnich z dziedziny ociemniałych, idyotów i głuchoniemych. Z natury rzeczy wpyływają 3 działy książki.

Dział ociemniałych opracowano najstaranniej: znajdujemy tu najprzód szczegółowy wykaz zakładów ociemniałych z językiem wykładowym niemieckim, przy wskazaniu daty ich założenia, charakteru, funduszków, ilości wychowanców, składu nauczycielskiego i t. p. Wyliczono tu 32 zakłady w Niemczech, 12 w Austrii, 3 w Szwajcaryi. Następuje sumaryczny wykaz innych rozmaitych zakładów ociemniałych: 3 w Danii; 8 w Szwecyi i Norwegii; 20 w cesarstwie Rosyjskiem (w Petersburgu 6, w Moskwie 3, w Warszawie 2, w Kijowie 2, a dalej po jednemu, w Helsingfors, w Kuopio (Finlandya), w Rydze, w Kamieńcu Podolskim, w Rewlu, w Kazaniu, w Kostromie); 7 w Holandyi, 5 w Belgii, 69 w Anglii, 23 we Francyi, 13 we Włoszech, 12 w Hiszpanii, 1 w Grecyi, 1 w Egipcie, 33 w Ameryce, 9 w Australii. Do tego działu należą Bibliografia Tyflo-pedagogiki — wyliczenie i krótka ocena dzieł i czasopism, poświęconych sprawie ociemniałych, a wyszłych roku 1886. Dalej idą krótkie rozprawy w kwestyach najżywotniejszych: zabawa i gimnastyka w zakładach ociemniałych, program modelowania z gliny, instrukcyja ociemniałych w Hamburgu; pouczające są szczegółowe plany wykładów i statuty wzorowych zakładów ociemniałych, a dalej spis pomocy naukowych i podręczników, a także szczegółowy wykaz utworów muzycznych, zalecanych ociemniałym, lub też

specyjalnie dla nich w różnych krajach Europy wydanych,—w końcu mieści się obszerny życiorys głośnego ociemniałego J. Fr. Richarda, zmarłego r. 1886 w Hamburgu, w 82 roku życia.

Dział idiotów zawiera przede wszystkim szczegółową statystykę 40 zakładów w Niemczech, 3 w Austrii, 6 w Szwajcaryi, jednego w Rosyi (Sassenhof pod Rygą), a także informuje o dziewięciu szkołach dla tępych dzieci (für schwach befähigte Kinder). Wiadomości o wszystkich powyższych zakładach są więcj szczegółowe niż w dziale ociemniałych, ale za to wykaz jest niepełny, gdyż pominięto Danią, Szwecyą, Francją, Anglią i inne. Następuje starannie opracowana Bibliografia i ocena dzieł, sprawozdań i czasopism odnośnych z ostatnich trzech lat—niemieckich, duńskich i angielskich. Dalej spotykamy szczegółowe tezy, dotyczące leczenia i nauczania idiotów, a rostrzāsane na piątj konferencyi w sprawie opieki nad idiotami, odbytj we Frankfurcie nad Menem w Sierpniu 1866 r. Dla kaźdego nauczyciela będjie bardzo pouczajācy plan i szczegōłowy program nauk w szkole dla tępych dzieci w Brunświku. W końcu mieści się kilka nekrologów, na czele których nekrolog najzasłużeńszego na tēm polu d-ra Georgensa, zmarłego 1886 r.

Ostatni dział ksiāżki, dotyczācy głuchoniemych, rozpoczyna się wykazem odnośnych zakładów, — jest on rōwnie szczegōłowy ale tēż i rōwnie niepełny jak wykaz zakładów dla idiotów. Pomieszczono tu tylko Instytuty niemieckie w liczbie 97, austryackie w liczbie 19, i szwajcarskie w liczbie 13, co następnie zsumowano w obszernj tablicy o wielu rubrykach, tablica ta bogatsza jest wprawdzie w szczegōły, ale ciāśniejsza od znanych tablic Metteneta, które obejmujā wszystkie zakłady dla głuchoniemych świata cywilizowanego. Następnie bogata Bibliografia, chociaź obejmujāca tylko rok ostatni 1886-ty. Zestawiono tu i oceniono 24 dzieł, podręczników i czasopism niemieckich, 13 angielskich i amerykańskich, tudziej 20 francuskich; prócz tego zreferowano 21 dorocznych sprawozdań rōżnych zakładów głuchoniemych. Dalej czytamy życiorys Samuela Heinickego, tudziej kilka interesujācych rozprawek, między ktōremi dotknięto tēż nauki zręczności (slōjdu); dalej czytamy nekrolog zasłużonego Möllera, a w końcu szczegōłowy plan wykładów w Instytucie głuchoniemych w Hamburgu.

Takā jest jak widzimy ksiāżka, katalogujāca ostatnie fakty z dziedziny wychowania i nauczania ociemniałych, idiotów i głuchoniemych. Trzj specyjalni wspōłredaktorowie zapowiadajā w dalszym ciāgu prowadzić swoje prace, uzupełnijāc w dowolnych odstępach czasu to wydawnictwo tak pożyteczne nie tylko we względjie informacyjnym ale i naukowym.

Władysław Nowicki.

Korespondencya.

(*W sprawie rękopisu Krółodworskiego.*)

Kraków dnia 24 stycznia 1888 r.

Do Sz. Redakcyi Bibl. Warsz.

W uzupełnieniu rozbioru kwestyi autentyczności rękopisów staroczeskich Krółodworskiego i Zielonogórskiego (patrz. zesz. styczniowy r. b. str. 73—93) uważamy za nasz obowiązek dodać co następuje:

Prof. Gebauer, chcąc nadać swym wątpliwościom co do ekspertyzy chemicznej prof. Bělohoubka i Šafařika fachowe potwierdzenie, prosił prof. Strouhala, aby mu o tém, co w Archiv. f. sl. Phil. t. X w tej kwestyi ogłosił, swoje zdanie wypowiedział. Ten nie chcąc, aby go o stronniczość podejrzrywano, w porozumieniu z prof. Gebauerem odniósł się listownie do profesora chemii na Uniw. lipskim J. Wislicenus, prosząc go o zdanie. Na to otrzymał odpowiedź, że z krytyką prof. Gebauera przeciw prof. Bělohoubkowi we wszystkich punktach najzupełniej się zgadza, a nawet się dziwi, jak mógł się prof. Bělohoubek podjąć chemicznego badania, nie mając i nie mogąc mieć koniecznych danych. Ztąd uważa wszystkie wnioski prof. Bělohoubka w całości za fałszywe i nieusprawiedliwione — prawda leży po stronie prof. Gebauera.

Zabrawszy się następnie do eksperymentu, doszedł prof. Wislicenus do rezultatu, że pismo na pergaminie z przed lat 200 zachowuje się zupełnie tak samo, jak z przed lat 35, a przeto i pismo na pergaminie z początku XIX w. nie może się inaczej przedstawiać, jak z w. XIV-go. (Czeskie „Athenaeum“ V str. 74—76).

Tak tedy obrońcy autentyczności stracili ostatnią basztę, w której ocalenie pokładali. Już po wydrukowaniu artykułu w zesz. stycz. Bibl. dostaliśmy zesz. 3 i 4 X-go tomu Archiv. f. sl. Phil., w którym prof. Gebauer dowodzi szeroko nieautentyczności RK. i KZ. Od str. 502—569 rozbiiera język tych zabytków i wykazuje przeszło 1,000

błędów, czyli różnic między językiem znanych zabytków starocz. z XIV w. a RK. i RZ. Jeżeli się zważy, że błędy te znajdują się w liczbie wyrazów około 6,000 — więc na 6 wyrazów 1 błąd!! — to musi się nabrać przekonania, że już sam język jest w stanie obalić wiarę w autentyczność.

W następnym tomie Archiwu przedstawi prof. Gebauer argumenty histor.-literackie, paleograficzne i t. p.

Oprócz tego nadmieniamy, że na str. 77-ój wiersz 19-y od dołu w zesz. styczniowym Bibl. Warsz. wkradła się omyłka, zaciemniająca istotę rzeczy, dla tego prostujemy to miejsce w ten sposób: Jungmann w przekładzie Milтона „Straconego Raju“ użył pierwszy tego wyrazu „nalep“ w znaczeniu „piór strzały“, tłómacząc „arrows barb'd with fire“ przez „šipy s ohniwymi nalepy,“ a za nim Hanka i t. d.

Z szacunkiem

Roman Zawiliński.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Ogólny pogląd na polityczne stosunki europejskie. — Niepewność sytuacji przy manifestacjach pokojowych. — Dodatkowa reforma organizacji wojskowej w Niemczech, oraz potrzebny na nią kredyt 280 milionów marek. — Obostrzenie i przedłużenie prawa przeciw socyalistom. — Interpelacya posłów polskich z W. Ks. Poznańskiego w sprawie usunięcia nauki języka polskiego ze szkół ludowych. — Gossler poprawia redakcyą stypulacyi kongresu wiedeńskiego. — Rosya. — Austro-Węgry. — Anglia. — Francya. — Włochy. — Serbia. — Bułgarya. — Zgromadzenie ogólne instytucyi kredytowych i dobroczynnych w Warszawie. — Otwarcie wystawy tkackiej dnia 29-go stycznia. — Z ruchu naukowego: Posiedzenie walne Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu. — Akad. umiej. w Krakowie: dnia 13 i 16 grudnia dr. Piekosiński: „O początku szlachty polskiej.“ — Posiedzenie Wydziału matematyczno-przyrodniczego dn. 20 grudnia r. z. — Posiedzenie Wydziału historyczno-filozoficznego Akad. umiej. dnia 12 stycznia r. b. (Ks. Gromnicki: „O zawisłości Polski od Rzymu w wiekach średnich). — Projektowane przez ks. Konstantego Radziwiłła Muzeum starożytności polskich w Paryżu. — Wyrok sądu konkursowego w sprawie pomnika Adama Mickiewicza. — Zgromadzenie walne akcyonaryuszów teatru polskiego w Poznaniu. — „Nie wypadła“ komedya M. Wołowskiego i Józefa Kotarbińskiego na scenie teatru Wielkiego w Warszawie. — O naszym przemyśle węglowym (p. Brusnicyna). — Wiadomość departamentu rolnictwa o urodzajach i przypuszczalnej ilości zboża ze zbiorów 1887 roku w Cesarstwie i Królestwie. — Projektowana resursa rzemieślnicza. — 300-letnia rocznica urodzin poety chorwackiego, Jana Gundulicza. — † Józef Hordyński-Fedkowicz.

Niepewność położenia stosunków europejskich, którą zaznaczyliśmy w kronice zesłomiesięcznej, nie zdołały rozwiać nawet poważne deklaracye, które ze strony Rosyi objawiono, tak że chociaż w sferze życia politycznego Europy nie ma żadnych nowych faktów, któreby mogły silniej niepokoić sfery decydujące, to z dyskusyi dziennikarskiej przebija ton pesymistyczny, który nie stroi nawet od dawniejszej żarliwości polemicznej. W obec takiej sytuacji nie widać większego zaufania na żadnym z pól działalności międzynarodowej, co szczególniej niekorzystnie oddziaływa na stosunki międzynarodowe

w dziedzinie finansów, handlu i przemysłu. Zresztą obradujące w państwach konstytucyjnych sejmy odwróciły uwagę publicystyki od spraw międzynarodowych do spraw wewnętrznych. W sejmie berlińskim odkryła nareszcie dodatkowa reforma organizacyi wojskowej swoje nienasyconą paszczę, dla której zaspokojenia żąda minister wojny tylko 280 milionów marek kredytu dodatkowego. Przy tak wzmocnionej sile obronnej monarchii pruskiej mogłoby się здаwać zbytecznym nowe prawo przeciwko socyalistom, zagrożonym banicyą z ojezyny w razie ściągnięcia na siebie podejrzliwego oka policyi; lecz rząd pruski innego jest zdania i mimo głośniejszy wrzawy dziennikarskiej, broni żarliwie swego drakońskiego projektu. Na interpelacyą, wniesioną w sejmie pruskim przez deputowanych polskich z W. Księstwa Poznańskiego i Prus zachodnich, co do wykluczenia nauki języka polskiego z planu szkół elementarnych i ludowych, odpowiedział minister oświecenia publ., Gossler, z nadzwyczajnym cynizmem, że „germanizacya szkół w prowincyi poznańskiej dąży do wybawienia ludności polskiej z jej odosobnionego położenia ekonomicznego, powinna być zatem z wdzięcznością przyjęta jako wielkie dobrodziejstwo.“ Zastrzegł też równocześnie minister, że musi zaprotestować przeciwko tytułowi „Wielkie Księstwo Poznańskie,“ ponieważ rząd pruski zna tylko „Prowincyą poznańską.“ Przy objawianém od lat kilku na każdym kroku lekceważeniu prawa międzynarodowego przez ks. Bismarcka, nie razi już opinii europejskiej ta samowolna poprawka, jaką p. Gossler do redakcyi postanowień kongresu wiedeńskiego z r. 1815 z niesłychanym cynizmem wprowadził. W obec takiego stanowiska rządu względem upośledzanej wciąż ludności polskiej, nie można się spodziewać, żeby wymowne głosy posłów ks. ks. Jażdżewskiego i Stablewskiego oraz K. Jarochońskiego, nie mniej i Windthorsta i Schorlemer-Alsta jakikolwiek pożytek ludności polskiej w W. Ks. Poznańskim przynieść mogły, chociaż przepisy rządu obrażają prawo przyrodzone i najelementarniejsze zasady pedagogii.

Rosya nie opuszczając obranej raz drogi polityki pokojowej zwraca głównie uwagę swoją na interesa finansowo-ekonomiczne.

W Austro-Węgrzech zamknięte lub odroczone (galicyjski) zostały sejmy krajowe, gdy 24 stycznia otwarto sesyą rady państwa w Wiedniu. Wniosek ks. Lichtensteina, domagający się nowej ustawy szkolnej, opartej na samorządzie krajów i na uszarowaniu charakteru wyznaniowego uczniów, wznicił na razie w prasie liberalnej ogromną burzę, której przebiegu nie podobna w tej chwili odgadnąć. Równocześnie wynurzyła się w Austrii idea unii celują z Niemcami, gdyż poseł Tuerk i towarzysze jego ze stronnictwa niemieckiego uczynili w Radzie państwa odpowiedni wniosek.

W Anglii szamoce się gabinet Salisbyry'ego z członkami ligi na-

rodowej i z socyalistami, pocieszając stronników swoich w odezwach publicznych, że środki przez niego w tych sprawach stosowane odnoszą już pożądane owoce.

We Francyi przygotowują się stronnictwa republikańskie do nowego starcia między sobą i z gabinetem Tirarda na gruncie antagonizmu reminiscencyi komuny paryzkiej z Rzpłtą francuzką, w obec czego budzi się w kraju widoczne niezadowolenie z tych bezustannych anarchicznych zapędów, podkopujących powagę i wpływ Rzpłtej na zewnątrz. Tymczasem uspokojono szczęśliwie rozdrażnienie, wynikłe z nieprawnego wtargnięcia prokuratora włoskiego, Tosini, do konsulatu francuzkiego we Florencyi w celu podniesienia spadku po Husseinie baszy z Tunisu; ale układy celne, prowadzone między Włochami i Francją w celu zawarcia traktatu handlowego zostały zerwane.

Włochy zostają znów pod groźbą wątpliwych postępów swojej armii afrykańskiej, zagrożonej przez negusa abysyńskiego.

W Serbii, po upadku Risticza zyskuje stronnictwo radykalne coraz większe zaufanie króla Milana, i zapowiada korzystne nowe prawa w przyszłej skucepczynie, mające ochronić prasę od samowoli administracyi, tudzież obiecujące pewne bezpieczeństwo dla stanu urzędniczego, zależącego dziś od łaski lub niełaski zmieniających się gabinetów; na przyszłość można będzie usunąć urzędnika tylko na podstawie wyroku sądowego.

Usiłowania emigrantów bułgarskich, pragnących na czele najętych kup czarnogórców wzniecić bunt przeciwko istnjącemu porządkowi rzeczy w Bułgaryi, zrobiły wielkie fiasko: zgromadzone trzy bandy zostały albo przez turków rozbrojone, albo przez wojsko bułgarskie pobite i rozproszone.

W zakresie naszych spraw krajowych zaznaczyć wypada doroczne zgromadzenia walne, zdające sprawę z działalności instytucyi kredytowych i dobroczynnych, które chociaż w trudnych warunkach, rozwijają się pomyślnie. Otwarta w dniu 29-ym stycznia Wystawa tkacka w „Muzeum rolnictwa i przemysłu“ świadczy korzystnie o rozwoju tej gałęzi przemysłu w Królestwie; ale rozwój ten skromny nie sięga tej wysokości powodzenia, żeby mógł budzić zazdrość innych stref cesarstwa.

Z ruchu naukowego polskiego wypada wspomnieć o doroczném walném posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, które w nieobecności prezesa Augusta hr. Cieszkowskiego, odbyło się pod przewodnictwem Kazimierza Jarochońskiego. I ta instytucya wyjątkownie naukowa, ścigana i krępowana przez władze pruskie, nie mo-

że wywierać swego pożytecznego wpływu na tak szerokie koła, jakby tego sprawy narodowe wymagały; ale w mozolnej pracy swojej nie ustaje, bo są położenia, w których duchowa obrona dóbr narodowych stanowi jeden z pierwszych obowiązków obywatelskich. W tém przekonaniu tuszemy téż sobie, że sz. prezes, hr. Cieszkowski, nie zechce koniecznie obstawać przy zamiarze swoim ustąpienia z zajmowanego stanowiska przewodniczącego w téj instytucyi.

Z działalności Akademii Umiejętności w Krakowie mamy do przypomnienia obok posiedzenia Wydziału matematyczno-przyrodniczego z dnia 20 grudnia r. z. dwa posiedzenia Wydziału historyczno-filozoficznego z dn. 13-go i 16-go grudnia r. z., na których dr. Piekosiński przedstawił nadzwyczaj ciekawe swoje studjum: „O pochodzeniu szlachty polskiej,“ rzucające wiele nowego światła na pierwotną państwową organizacyą społeczeństwa polskiego. Opierając się na obszerniej relacyi „Wiek“ (nr. 12 i 15 z r. b.) obznajmiemy czytelników Bibl. z tym przedmiotem, zasługującym na powszechną uwagę. Kwestya ta łączy się ściśle z rozprawami, które toczyły się z żywém zajęciem w Akademii um. w r. 1881 („Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń Wydz. historyczno-filozof. Krak. 1881, tom XIV) i 1882-im (tamże tom XVI-ty. Krak. 1883) między dr. Piekosińskim z jednej a dr. St. Smolką i dr. M. Bobrzyńskim z drugiej strony co do pierwiastków organizacyi państwowej Polski w wiekach średnich (Zob. Bibl. 1883 r. t. I, str. 204). Powodem téj dyskusyi było dzieło dr. St. Smolki: „Mieszko Stary i jego wiek“ (Warszawa i Kraków 1881), gdzie znajduje się obszerny ustęp, przedstawiający obraz ustroju społeczeństwa polskiego w wiekach średnich, drukowany poprzednio w Bibl. Warsz. 1880 r. (zesz. Sierp. i Wrześ. str. 173—202 i 386—412). Prof. Bobrzyński, oddając sprawiedliwość wywodom naukowym d-ra Smolki, objawił odmienną opinią co do niektórych szczegółów w rozprawie: „Geneza społeczeństwa polskiego, na podstawie kroniki Galla i dyplomatów XII-go wieku“ (Spraw. i Rozpr. t. XIV); odrębne zaś zupełnie stanowisko zajął dr. Piekosiński w rozprawie: „O powstaniu społeczeństwa polskiego w wiekach średnich i jego pierwotnym ustroju,“ gdzie dowodził, że państwo polskie zorganizowało się pod wpływem sąsiedniego najazdu. Przeciwno temu pogładowi wystąpił dr. Smolka z rozprawą: „Uwagi o pierwotnym ustroju społecznym Polski Piastowskiej“ (tamże), do których się i dr. Bobrzyński przyłączył. Na to odpowiedział dr. Piekosiński w nowém studjum: „Obrona hipotezy najazdu, jako podstawy ustroju społeczeństwa polskiego w wiekach średnich z uwzględnieniem stosunków słowian pomorskich i zaodrzańskich“ (tamże t. XVI, str. 1—146).

Główna różnica tych poglądów polega na tém, że Smolka i Bobrzyński uważali średniowieczny ustrój społeczeństwa polskiego, jako wynik normalnego rozwoju pierwotnych stosunków patryarchalnych; gdy dr. Piekosiński przeciwnie dowodził, iż ustrój ten, jaki poznajemy

z kroniki Galla za panowania Chrobrego, pozbawiony jest wszelkich śladów pierwotnego ustroju patryarchalnego, jest już na wskroś państwowym, ponieważ przedstawia już stosunki z zupełnie rozwiniętymi i prawnie ściśle określonymi klasami społecznymi, których organizacje patryarchalne nie znają. Dla tej przyczyny trzeba uważać ten ustrój jako utwór powstały pod wpływem pierwiastków i stosunków zewnętrznych, nie ujawnionych wprawdzie dostatecznie na wszystkich stopniach rozwoju historycznego, ale przypominających w Polsce podobnie, jak to i w innych społeczeństwach średniowiecznych widzimy (np. u Sasów), skutki najazdu i podboju ludności autochtonicznej przez plemię lub plemiona sąsiednie, już do wojskowej organizacji nawykłe.

W dobie, którą Gallus przedstawia, nie ma już w Polsce piastowskiej wolnych posiadaczy gruntów drobniejszych, będących charakterystycznym znamieniem urządzeń patryarchalnych. Leleweł, szukając napróżno tej klasy ludności w dokumentach historycznych, wymyślił sobie bez dostatecznego usprawiedliwienia teorią o „utraconém obywatelstwie stanu kmiecego.“ Uczepiwszy się raz tej teorii, trzymał jej się konsekwentnie z uporem zawziętego doktrynera, przez co utrudnił młodszym badaczom wniknięcie w istotę rzeczy. Tę klasę wolnych posiadaczy drobnych gruntów, odnajduje dr. Piekosiński w Polsce piastowskiej już jako poddanych, ograniczonych znacznie w prawie własności i wolności, jako poddańców, na których ciążyą wszelkie powinności państwowe. Książę może już nimi dowolnie rozporządzać. Wyższą od nich klasę stanowi klasa włódyków, ludzi wprawdzie wolnych, ale nie posiadających żadnej własności ziemskiej, a zatem nie autochtonów w Polsce, ale przybyszów, którzy w charakterze wójów żyją w wielkich obozach pod grodami na utrzymaniu okolicznej ludności kmiećej czyli w późniejszym rozumieniu wieśniaczęj. Najwyższą zaś klasę stanowi szlachta, bardzo nieliczna, używająca wszelkich praw wolności osobistęj, ale podobnie jak woje nie posiadająca także własności ziemskiej, żyjąca na dworze księcia i zostająca na jego utrzymaniu. Te dwie wyższe klasy społeczne (włódyków czyli wójów i szlachtę, nie posiadającą własności ziemskiej) a zajmujące mimo to w ustroju społecznym Polski Chrobrego wyższe stanowisko, uważał dr. Piekosiński jako przybyszów, jako naja zd, mianowicie uważał wójów, jako szcep najezdzczy, a szlachtę jako wodzów tego szcetu, zostających pod naczelnem dowództwem Popielidów.

Tu następuje się pytanie: coby to mógł być za szcep, jakieby to mogło być plemię, przez które najejchane zostały ludy, mieszkające na całym porzeczu środkowćj Odry i Wisły?

Zanim postąpimy dalej za wywodem dr. Piekosińskiego nadmieniamy okolicznie, że badania etnograficzne zdają się wskazywać jako tych najejdzców — plemię słowiańskie Lechitów, które pod zagadkową — czy to pod wpływem mowy Greków i Rzymian, czy też wskutek wadliwćj transkrypcyi — nazwą Ligijów, Lingów, Silingów, Ligów, Longów, Lugiów tuła się beztładnie po ciemnej dotychczas

etnografii tych okolic na początku wieków średnich. Opinii téj bro- nił już w r. 1868-ym dr. Wojciech Kętrzyński („Die Lygier, ein Bei- trag zur Urgeschichte der Westslaven und Germanen.“ Z kartą geogr. Poznań 1868) i do niej zdaje się także przechylać w samodzielnych studyach swoich Szymon Matusiak, rozpoczętych w rozprawie: „Jakie ludy mieszkaly przy ujściu Wisły w czasach najdawniejszych?“ (Dru- kowano w czasop. „Wista.“ Warsz. t. I, zes. 5-ty do 9-go). Badania archeologiczne mogłyby tu dostarczyć także niektórych wskazówek, gdyby tendencyjna wrzawa patryotyzmu niemieckiego nie tłumila gło- su prawdziwej nauki, jakieśmy to widzieć mogli na ostatnich zjazdach archeologów niemieckich we Wrocławiu i w Szczecinie.

Dr. Piekosiński na poparcie swojej teorii najazdu, szukał dowo- dów oprócz w dokumentach i kronikach owoczesnych także i na polu heraldyki, ponieważ spostrzegł, że jeden dział herbów szlachty pol- skiej i to właśnie ten, który stanowi właściwość heraldyki polskiej, po- chodzi od run skandynawskich, których nie znajdujemy w heraldyce Europy zachodniej. Skoro tedy w chwili pojawienia się herbów w Eu- ropie, run y nigdzie, nawet u narodów skandynawskich, jako herb uży- wane nie były i z herbami zachodnio-europejskimi do nas przyjść nie mogły, a mimo to zjawiają się już na najdawniejszych pieczęciach szlach- ty polskiej o wiele wcześniej przed herbami zachodnimi, przeto należy uważać te znaki runiczne, jako prastare z n a k i c h o r a g i e w n e, przy- niesione do nas przez ów szczep najezdzczy. Jeżeli tedy ów szczep na- jezdczy używał run skandynawskich jako znaków chorągiewnych, a mi- mo to imiona szlachty są czysto słowiańskie (a nie jak u Warego-Ru- sów normandzkie), to płyńie ztąd oczywisty wniosek: 1-sze, że ów szczep najezdzczy był pochodzenia słowiańskiego; 2-re, że musiał mieć swoje pierwotne siedziby gdzieś w najbliższem sąsiedztwie Normanów duń- skich, od których przejął obyczaje rycerskie i runy, jako znaki chorą- giewne. Siedziby te leżały na ostatecznych zachodnich krańcach po- siadłości szczepu lechickiego przy ujściu Łaby. Kraje te zostały, jak wiadomo, zajęte na początku wieku IX-go przez plemiona saskie Hol- zatów, Sturmarów i Dytmarsów, a wobec tego faktu przypadłoby opu- szczenie tych okolic przez ów lechicki szczep najezdzczy i najazd ziem, po prawym brzegu Odry położonych, pod koniec wieku VIII-go naszej ery. Podbój przez to plemię rycerskie był bezpośrednią przy- czyną tak nagle obudzonej i w pierwszej zaraz chwili tak energicznie przeprowadzonej idei państwowej w Polsce, jak to za Chrobrego już widzimy.

Ustrój Polski piastowski, przez dr. Piekosińskiego przedstawiony, znajduje jeżeli nie wzór, to w każdym razie podobieństwo w ustroju społeczności saskiej, która w podobnych co polska warunkach, drogą podboju powstała. I saska społeczność dzieliła się jak nasza na 3 klasy: a) szlachtę (Edelinge, nobiles), b) ludzi wolnych czyli naszych w t o d y k ó w (Frilingi, ingenuiles) i c) niewolnych wieśniaków (Lassi, serviles) t. j. podbitych autochtonów, których nie sprzedano w niewolę,

lecz pozostawiono na gruncie. U nas nie było tak silnego antagonizmu narodowego między klasami jak u Sasów, bo u nas należeli wieśniacy do tegoż samego plemienia słowiańskiego co i szlachta, co owi lechici; u Sasów zaś zachodziła różnica narodowościowa między ludnością podbitą, autochtoniczną a Sasami, którzy wypędzali łą z ów z gruntu, aby na nim osadzić kolonistów saskich lub niemieckich.

Taki jest grunt naukowy téj doniosłej w swoim znaczeniu historycznym kwestyi, która nie ma nic wspólnego ani z teorią najazdu normandzkiego K. Szajnochy, ani też z rozmaitymi przywidzeniami Wacława Maciejowskiego, usławiającego liczne drużyny giermańskie, ani wreszcie z tymi tendencyjnymi etnologami i przyjaciółmi ludu, którzy dla zawichrzenia organizmu narodowego polskiego, pragną wzmóc w bezmyślną masę lub gwałtem narzucić jój fałszywą i przewrotną opinią o różnonarodowości pochodzeniu szlachty i ludu polskiego.

Gdy jednak antagoniści dr. Piekosińskiego wniosków jego z całą ich konsekwencją nie akceptowali, chociaż z nowemi przeciwko jego teorii argumentami nie występowali, zdawało się rzeczą pożyteczną dla nauki, nie ustawać w badaniu téj sprawy, dopóki ku ogólnemu zadowoleniu rozstrzygnięta nie będzie. Po kilkoletnich tedy dociekaniach przedstawił dr. Piekosiński wyniki swoich studyów w rozprawie: „O pochodzeniu szlachty polskiej.”

Dla wyjaśnienia tego przedmiotu starał się uczony nasz badacz poznać dokładniej: a) pierwotną organizacją wojskową w Polsce piastowskiej wraz z obowiązkami, jakie według niej mogły pierwotnie ciążyć na klasie szlacheckiej. b) Sposób zyskania szlachectwa polskiego i c) te znaki i herby polskie, które z tematów runicznych pochodzą.

Władza książęca w Polsce piastowskiej występuje w charakterze hetmańskim, w charakterze naczelnego dowództwa w razie wojny, jest przytém dziedziczną z zachowaniem zasady senioratu. W razie śmierci księcia najstarszy syn (senior) obejmuje władzę naczelnego dowództwa, ale młodsi jego bracia, młodsi dynastowie, nie schodzą do rzędu pospolitego ludu, ponieważ i oni są urodzonymi dowódcami wojskowymi i oni sprawują również dowództwo wojskowe, tylko nie naczelne, ale podległe seniorowi, chociaż prowadzą w ójów do boju i używają swoich osobnych znaków chorągiewnych. Ci młodsi dynastowie stanowią też pierwszy związek szlachty polskiej, i dla tego szlachectwo polskie jest pochodzenia dynastycznego, idzie po krwi, po rodzie, ponieważ pierwotnie można było zostać szlachcicem tylko drogą przybrania do któregośkolwiek starego rodu szlacheckiego lub książęcego t. j. w ten sposób, że którykolwiek stary ród szlachecki lub książęcy adoptował do swojego grona włódyków. Najstarsza organizacja wojskowa w Polsce średniowiecznej opiera się też na rodach szlacheckich. Nie ma innych chorągwi prócz chorągwi książęcej i chorągwi starych rodów szlacheckich, a z tego oczywisty wniosek, że wśród pierwotnych tych stosunków nie mogło być mowy o ogólnym

obowiązku szlachty do służby wojskowej, bo wtedy nie możnaby było uniknąć wypadku, aby w chorągwi nie znalazła się szlachta z różnych rodów. Rycerstwo szeregowie rekrutuje się wyłącznie z wojów. Prawo szlachty do dowództwa wojskowego, prawo hetmańskie, przemieniło się dopiero wtenczas w obowiązek służby wojskowej, gdy pojedyncze rody szlacheckie, ubożając wskutek rozrodzenia swego, nie były w możności utrzymać swych własnych chorągwi rodowych. Szlachectwo więc polskie nie jest pierwiastkowo prawem nadaném, lecz opiera się na pochodzeniu rodowém, na dziedzicznej wspólności krwi. Nie mogło też ono powstać ani drogą podnoszenia się pojedynczych jednostek z ludu do wyższej klasy społecznej, ani drogą monarszego nadania; ale tylko przysposobieniem (adopcyą) do starego rodu szlacheckiego lub książęcego.

Kiedy ustały herby dziedziczne, a szlachta polska przemieniła swe prastare znaki chorągiewne na herby, wszyscy towarzysze jednej chorągwi na znak wspólnego rodowego pochodzenia, przyjmują znak chorągiewny Seniora za swój herb.

Okoliczności, wskazane wyżej, objaśniają nas, dla czego to jeszcze w epoce Kazimierza W-go np. na wyprawę wołoską r. 1359-o idą tylko 3 chorągwie królewskie t. j. ziemi krakowskiej, sandomierskiej i lwowskiej, a natomiast 9 chorągwi rodowych: Toporczyków, Leliwitów, Lisów, Rawitów, Gryfów, Szreniawitów, Habdanków, Półkocziców i Strzemieńczyków. Owe 3 chorągwie królewskie albo raczej ziemskie oznaczają początek nowej organizacyi wojskowej, bo kontyngensu dostarczał do nich nowy żołnierz, nieznanym dawnym chorągwiom rodowym, żołnierz, utworzony z wójta, sołtysa i kmieci wsi, zakładanych świeżo na prawie niemieckiem.

Dynastyą książęcą, która szlachcie polskiej początek dała, jest dynastia Dragów (Smoków-Gryfów), występująca na schyłku wieku VIII-o u słowian zaodrzańskich, Obotrytów i Lutyków, z której poszły dynastye książąt pomorskich, meklemburskich i rujskich, używających w herbie Gryfa. Z téj dynastyi pochodzą także dynastye Popielów i Piastów. Sama zaś dynastia Dragów pochodzi prawdopodobnie od któregoś z potomków króla Samona.

Co się nareszcie tyczy run skandynawskich, które nieznanie w heraldyce zachodnio-europejskiej, spotykają się w herbach szlachty polskiej, dowodził dr. Piekosiński, iż one należą częścią do starszego, częścią do młodszego abecadła runicznego, a ponieważ oba te abecadła istniały obok siebie tylko na samym schyłku VIII-o wieku, przeto też tylko w téj epoce do Polski przyniesione być mogły t. j. w téj epoce, do której dr. Piekosiński odnosi nie tylko przybycie szczepu polabskiego lechitów do krajów, położonych po prawym brzegu Odry, ale i założenie państwa polskiego.— Dyskusya, jaka się wywiązała z powodu tak doniosłych poglądów dr. Piekosińskiego pomiędzy obecnymi na posiedzeniu Członkami Wydziału oraz komisji historycznej, każe się spo-

dziewać, że przedmiot ten nie przestanie tak prędko zajmować badaczy przeszłości naszej.

W Akademii umiejętności odbyło się dnia 20 grudnia posiedzenie Wydziału matematyczno-przyrodniczego pod przewodnictwem dyrektora L. Teichmanna. Sekretarz zawiadomił obecnych, że p. K. Noiszewski w Dyneburgu powierzył Akademii zapieczętowany opis swego wynalazku i zastrzegł sobie termin jego otwarcia. Następnie prof. Kreutz przedstawił rozprawę d-ra Dunikowskiego p. t. „Gąbki cenomańskie z warstw fosforytowych Podola galicyjskiego.“ W dyskusji nad tym przedmiotem zabierał głos prof. Karliński i Teichmann. Na posiedzeniu administracyjnym uchwalono przesać rozprawę d-ra Dunikowskiego i p. M. Raciborskiego (Odmiana teratologiczna *Lamium album*) do komitetu wydawniczego.

Dnia 12 stycznia r. b. odbyło się w Akademii umiejętności posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego, na którym ks. prof. Gromnicki przedstawił swą pracę: „O zawistości Polski od Rzymu w wiekach średnich.“ Autor, opierając się na świadectwach, dowodzących, że od czasów rozszerzenia się w Polsce chrześcijaństwa, Polska zależną była od Rzymu, twierdzi, że oznaką téj zależności było opłacanie świętopietrza, nie mniej uczy, że zależność ta miała służyć ku obronie przeciw państwu niemieckiemu. Pierwszy jój ślad znachodzi ks. Gr. już w r. 974; ponieważ Mieszko I ofiarował siedmioletniego swego syna Bolesława, przez akt postrzyżyn i przesłanie jego włosów do Rzymu, Stolicy apostolskiej, a że było to w połączeniu z akcją przeciw Niemcom, można ztąd przypuszczać, że w tym samym czasie zerwał stosunki z Ottonem II. Ten kierunek polityki mogło wskazać Mieszkowi poddanie pod specjalne *mundiburdium* Rzymu metropolii magdeburskiej wraz z Kościołem polskim przez Ottona I. Zawistość od Rzymu, w którą już poniekąd wszedł Mieszko I, utwierdza się następnie przez oddanie Polski św. Piotrowi za czasów Jana XV, a niemal w tym samym czasie znachodzimy u Thietmara i w liście św. Brunona do Henryka II wiadomość, że Bolesław Chrobry zobowiązał się do opłacenia daniny św. Piotrowi, to jest świętopietrza. W XV-ym wieku płacili świętopietrze Dania, Anglia i Węgry, a wszędzie wówczas płacono je jako *podium de domo, de familia*, można przeto wnioskować, że nie w inny sposób oddawano je wówczas i z Polski. Ale gdy Kazimierz I otrzymał dyspensę z Rzymu, by mógł opuścić klasztor i pojąć żonę, mogło ono być zamienione na daninę pogłówną: *a capite, de singulis capitibus*, co każe przypuszczać źródła polskie już z XIII wieku, odnoszące początek świętopietrza polskiego do owéj dyspensy Kazimierza. Szczególna protekcya, jakiej w w. XIII i XIV-ym szukało wielu książąt u stolicy apostolskiej, jakkolwiek czasowa i osobista, wzmacniała wprawdzie zależność ich od Rzymu; ale była téż zarazem dla nich korzystną, gdyż zapewniała im

opiekę papieży nie tylko przeciw roszczeniom Niemiec, ale i przeciw możnowładztwu duchownemu, co sobie niektórzy książęta w aktach obediencji wyraźnie zastrzegają. To też cechę utylitarną posiada we wszystkich epokach zawisłość Polski od Rzymu i dla tego okazuje się ona ściślejszą lub luźniejszą, stosownie do mniejszej lub większej potrzeby poparcia kuryi rzymskiej w sprawach ogólnoeuropejskich. Wiele też świadectw nazywa tę zależność obroną lub opieką: *defensio*, *tutela*, *patrocinium*. Ztąd ks. Gromnicki sądzi, że miała ona pewne podobieństwo do stosunku klienteli średniowiecznej. Zważywszy zaś, że władza papieska gruntowała się na fundamencie praw kościelnych, miała ona pozory stosunku instytucji kościelnych do ich patronów. Nie można wreszcie zaprzeczyć, że podobną opiekę mieli papieży także i nad innymi krajami; nie był to zatem odosobniony stosunek Polski do Rzymu. Było to jednak pewne zwierzchnictwo nad Polską, a skutkiem tego zwierzchnictwa stolica apostołska wykonywała akta jurysdykcji w Polsce wbrew prawom krajowym, bo usuwała ius domini książąt. W bliskim związku z taką zawisłością była inna zawisłość, która również w innych krajach chrześcijańskich istniała, mianowicie zawisłość, pochodząca z tego tytułu, że niektórzy książęta polscy otrzymali swoje korony królewskie od papieży, a prócz tego także z powodu koronacji, która była uważana za akt religijny, płynący ze źródeł władzy kościelnej. Wynikająca ztąd pewna zależność idealna od kościoła obowiązywała nie tylko namaszczonego i koronowanego króla, który przysięgał szanować Kościół, ale i jego przedstawiciele do pewnych aktów sprawiedliwości, których sędzią i stróżem był papież.

Ponieważ wreszcie Polska była polem współzawodnictwa dwóch uniwersalnych potęg średniowiecznych, cesarstwa i papieżstwa, można tedy przypuszczać, że skoro Wacław II wziął w lenno Polskę od cesarza Albrechta, to i Łokietek wszedł w jakąś ściślejszą zawisłość od Bonifacego VIII, jak to wskazuje własny list Łokietka do Jana XXII, z r. 1324. W ogóle atoli jasnych wybitnych cech zawisłości Polski od Rzymu nie było, a to dla tego, że: a) tej zawisłości nie można było jasno paragrafami określić, tylko zależała ona od potrzeb klienta i od potęgi jego patrona; b) Nie było żadnych traktatów lub umów między papieżami a Polską, któreby określały warunki tej zależności; c) Cała zawisłość gruntowała się na charakterze kościelnym papieży i na ich stosunku do państw chrześcijańskich w ogóle nie mniej na zapatrywaniu wieków średnich na władzę papieską. Zapatrywania się zaś na granice tej władzy ulegały już w samych wiekach średnich różnym zmianom. Za wskazówkę takiego zmiennego zapatrywania się możemy uważać pismo Ostroroga: „O naprawie Rzeczypospolitej, gdzie Ostroróg w § 1 ostro występuje przeciwko obediencji, jaką królowie papieżom zaprzysięgali. Z tego widno, że i zaprzysięgane przez króla polskiego bezwzględne posłuszeństwo papieżowi można uważać za wynik zawisłości od Rzymu. Przedmiot tak doniosły wywołał

ożywioną dyskusją, w której dr. Abraham starał się wykazać, że niektóre akta, które prelegent za dowód zależności Polski od Rzymu uważa, mają charakter ogólniejszy i są wprost wpływem władzy papieża, jako Głowy świata chrześcijańskiego. W dyskusyi brali nadto udział: ks. Chotkowski, dr. Dargun, dr. Kasperek, dr. Smolka i dr. Ulanowski.

Miłośnikom starożytności znane są cenne zbiory, gromadzone z wielkiem znanstwem w Paryżu przez księcia Konstantego Radziwiłła. Główną część tych zbiorów stanowią pamiątki polskie, szczególnie starożytne zbroje, makaty, pasy słućkie Paschalisa i Mawarskiego, kobierce, porcelany koreckie, rządy z czasów odsieczy wiedeńskiej i Augusta II i t. p. Zbiory te, pomieszczone w pałacu księcia przy bulwarze de Latour Maubourg nr. 22, były dotychczas prawie niedostępne dla zwiedzających. Według ostatnich wiadomości prywatnych, traktuje książę o kupno jednego z okazałych pałaców, w którym zbiory te pomieścić zamierza, a urządziwszy z nich prawidłowe muzeum, otworzy je dla powszechnego użytku. Otwarcie muzeum nastąpić ma na wiosnę r. b. 1888.

W zajmującej nas już od kilku lat sprawie pomnika Adama Mickiewicza postąpiliśmy ostatecznie jeden krok naprzód. Wyrok sądu konkursowego nad projektami pomnika, zapadły dnia 16 stycznia w Krakowie, przyznał pierwszą nagrodę projektowi p. Godebskiego, drugą p. Rygierowi, trzecią p. Gadomskiemu. Zwyciężyła zatem idea tych, co przed trzema laty tak głośno przeciw wyrokowi sądu konkursowego protestowali; obecnie nie odezwała się jeszcze żadna protestacya! Przyznanie nagród nie rozstrzyga jeszcze kwestyi dzieła, które wykonaniem będzie, bo wspaniały projekt Godebskiego wymagałby w wykonaniu cztery razy większych funduszków aniżeli są te, któremi komitet rozporządza.

W połowie stycznia odbyło się walne zgromadzenie „akcyonaryuszów teatru polskiego w Poznaniu,” na którym w niekorzystnym świetle przedstawiło się dzisiejsze położenie téj instytucyi. W roku sprawozdawczym odegrano 110 przedstawień, złożonych z 72-ch sztuk, w téj liczbie 40 nowych. Z tych 72-ch powtórzono zaledwie 33. Ta cyfra dowodzi, że publiczność jest zniechęconą do teatru, a gdy ta ostatnia instancya odsądza instytucyą od prawa bytu, grozi jéj upadek. Złęgo należy szukać w anormalnych warunkach miasta, ale wina cięży i na publiczności i na kierownictwie. Pod tym względem Poznań nie miał nigdy szczęścia, a jedyny racjonalny projekt przedstawiony w r. 1884-ym, projekt połączenia przedsiębiorstwa krakowskiego z poznańskiem, spętał na niczém. Dziś teatr znalazł się w tém położeniu, iż na 99,177 marek funduszu własnego posiada 57,577 marek długu i że na ostatniem walnem zgromadzeniu, na wniosek pp. Więckowskiego i Rzepeckiego,

obradowano nad „zniesieniem stałych widowisk, a zamienieniem ich na przedstawienia amatorskie.” Wniosek nie uzyskał dotąd zatwierdzenia walnego zgromadzenia i dopiero po obradach komisji rozstrzygnie zgromadzenie o dalszych losach sceny.

Twórczość literacka i artystyczna przechodzi w tej chwili dziwną fazę; miarodajnym w niej czynnikiem jest nie summa talentu złożonego w dziele, ale poglądy i przekonania społeczne, wyznawane przez autora; a w ocenie utworu, zamiast badania, o ile dzieło jest pięknem, prawdziwem, występuje pytanie: czy jest postępowem, czy też konserwatywnem?

Objaw to zwykły w okresach wyjałowienia, kiedy twórczość słabnie, omdlewa i czując swoje zanikanie, próbuje odżywiać się pierwiastkami obcemi, kiedy krytycyzm rozpiera się wszechwładnie i wszystko pod swoje despotyczne zagarnia panowanie.

Krytyka dzisiejsza szczególnie sprzyja takiemu dążeniu, które w pewnym stopniu sama wytworzyła. Porzuciwszy oddawna zastarzałą metodę rozpatrywania utworu samego w sobie, oderwanego od danéj doby literackiej lub artystycznej i sądanego jedynie według martwéj, estetycznéj formuły, rozszerzyła następnie zakres swoich badań przez wprowadzenie do nich prądów, panujących we współczesnym autorowi momencie piśmienniczym, a głównie przez uwzględnienie psychologii samego twórcy i zajmowała się człowiekiem prawie tyle, co jego dziełem, jeżeli nie więcej.

Obecnie zaciasno jéj i w tych granicach. Taine, Brandes, Spasowicz, Tarnowski nie wystarczają, za wiele jeszcze interesują się pięknosciami, poezją i artyzmem w literaturze i sztuce. W tej chwili krytyka zaczyna śledzić już tylko idee, unoszące się z dzieł pewnego okresu niby jakieś duchowe opary i rozbiera ich użyteczność czy też szkodliwość dla organizmu bieżącej chwili. W takiej mgłę rozptywa się człowiek i dzieło zupełnie; majaceze tylko jakaś nikła psychologia społeczna, wysnuwana fantastycznie z literackich ideałów.

Na skutki tego kierunku w krytyce długo czekać nie będziemy; już Anglia wstrzymuje się od obchodu setnéj rocznicy urodzin Byrona, maluczko, a „Fausta“ potępiać będą ze stanowiska katolickiego, „Bozką komdyą“ z punktu widzenia protestanckiego; „Pan Tadeusz“ przypadnie, jako epos szlacheckie; „Nie boska komedia,“ jako poemat arystokratyczny a „Ogniem i mieczem“ straci wszelką wartość dla wielbicieli aktualności.

Jeden jeszcze, kto wie czy nie gorszy objaw jest dalszem następstwem takiego kryterium twórczości literackiej i artystycznej: mnożenie się z każdym dniem utworów, których jedyną racją bytu stanowi pewne hasło, szeregujące mnóstwo mierności naokoło nielicznych bardzo wyjątkowych talentów.

Fala nowelistów i nowelistek, przekonanych, że postępowi drogę torują motywami demokratyczno-ludowemi na czarno pesymizmem

pobejcowanemi, przybiera już rozmiary prawdziwej powodzi. Obecnie mamy do zanotowania utwór sceniczny, który podobny kierunek z książki na deski teatralne przenosi.

Sztuk tendycyjnych nie brakowało wprawdzie nigdy na naszej scenie, ale komedia z tak wybitnie publicystyczną cechą jak „Nie wypada“ pp. M. Wołowskiego i J. Kotarbińskiego, pierwszy raz może była u nas przedstawiona.

Właściwie jestto nie komedia, lecz dyologowany artykuł dziennikarski, w którym frazes najgłówniejszą odgrywa rolę, frazes ani trochę nie lepszy, a o wiele gorszy od wszystkich tych, za które tak ciężko pokutować musiał romantyzm. Dotychczas stanowi on jedyną przyczynę względnego powodzenia sztuki, nieszczególnie świadczącego o zmyślnym krytycznym naszej publiczności.

Wypowiada go naturalnie demokrata i postępowiec i to w jakiej chwili!

Wyobraźmy sobie taką zasadniczą sytuacją. Młody człowiek, ubiegający się godność na posła pod sztandarem postępowym (rzecz się dzieje w Galicyi), ma dwóch współzawodników: ograniczonego, choć dobrodusznego szlachcica, który tułał się już po wszystkich sztukach polskiego repertuaru—i oportunistę, należącego do prawego centrum. Dwaj kandydaci konserwatywni popierani są przez redaktora zachowawczego dziennika, nie cofającego się przed żadnym środkiem agitacyjnym, nawet przed wdzieraniem się w stosunki rodzinne przeciwnika politycznego. Szanowny ten dziennikarz urządza na zgromadzeniu przedwyborczem skandal, rozpuściwszy między wyborcami pogłoskę: jakoby postępowiec był „znajdą, dzieckiem miłości.“ Wtedy to, dotknięty tak boleśnie w najdroższych uczuciach młodzieniec, uważa za najstosowniejsze palnąć mówkę przeciwko konserwatystom, banalną nie do uwierzenia deklamacją o pleśni, o próchnie, o lokajach, zgiętych w liberyi przed swymi panami etc. etc.

Brawa, wybuchającego po tej dziwnie umieszczonej retoryce, trudno sobie wyobrazić—utrzymuje ono dotychczas sztukę na repertuarze.

Jakto? więc to wszystko?... a „Nie wypada“ a owe dwa wyrazy w tytule jakież mają w sztuce znaczenie?

Mają i to niepoślednie, bo streszczono w nich całą filozofią utworu.

Z przytoczonej krótko głównej sytuacji komedii widzimy, że jest to z małemi zmianami temat rozwinięty w „Osaczonym“ przez Lubowskiego, który przeprowadził go z większą nierównie bystrością obserwacyjną.

Na to tło rzuciła spółka autorska dwa jeszcze motywa, przypominające „Rodziny Fourchambault“ i „Syna Giboyera“ Augiera.

Obalony przez agitację wyborczą bohater, jest istotnie dzieckiem miłości. Przyszedł na świat przed trzydziestu laty, dzięki urokom wiosennej nocy, które upoiły młodziutką panienkę, siostrę owego szlachcica, ubiegającego się o godność poselską, i pewnego, studenta przybyłego do jej rodziców na wakacje. Nieszczęście się stało; student wprawdzie

padł ojcu do nóg i chciał się żenić, ale został za drzwi wyrzucony i nie mógł zrozumieć, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto, spotkałoby go to samo tak dobrze w konserwatywnym jak i w postępowym domu. Inde irae. Po latach wielu spotykamy go w samym ogniu akcji dramatycznej, jako sekretarza rady powiatowej, usiłującego bronić syna od ciosów, które pośrednio uderzają w młodzieńca z ręki matki, konserwatystki, zamieszanej w agitacji na korzyść brata szlachcica, a nieświadomej egzystencji dziecka, o którego śmierci była przekonana.

Stąd kolizya więcéj teatralna niż dramatyczna, wysnuta dowolnie z owéj panującej jakoby nad stosunkami ludzkiemi formułki „nie wypada.“

Syn przypadku został dzieckiem nieprawém dla tego, że „nie wypadało“ oddać postępowcowi panny z gniazda konserwatywnego; matka nie przyznaje się do swego dziecka dla tego, że zajmuje dziś pozycyą, na której „nie wypada“ odstaniać przed ludźmi błędu młodości; bohaterowi demokracji szlachcic odmawia córki, bo „nie wypada“ łączyć się z człowiekiem niewiadomego pochodzenia!

Czyż potrzeba wykazywać błahość motywów, na których autorowie oparli najważniejsze sytuacye swéj sztuki?

Nie na tém jednak koniec.

Są jeszcze inne ofiary téj mniemanéj tyranii społecznej.

Oportunista, ubiegający się wraz z szlachcicem i demokratą o mandat poselski, wlecze za sobą kulę u nogi, którą mu przykuwa konwenans, niedozwalający zerwać związku z rozpustną żoną i połączyć się z inną wolną kobietą, kochaną i kochającą. Więc znów „nie wypada“ targać więzów, choćby najwstrętniejszych z obawy skandalu, „nie wypada“ pannie kochać żonatego człowieka i t. d.

Ostatecznie stosunek oportunisty do owéj panny i do zepsutéj gruntownie żony, sytuacya człowieka, nie mającego odwagi jednym energicznym czynem zasłużyć na szczęście w nowym związku, byłaby najlepszą w sztuce inwencyą, gdyby ludzie w nią wplątani byli psychologiczniej pojęci i narysowani, gdyby panna nie przypominała szablonowéj „nowéj kobiety“ z bieżącej beletrystyki, a oportunista nie budził wrażenia kompletnéj śmieszności.

A teraz jaki jest związek między tezą społeczno-polityczną, zawartą w pewnych hasłach, a teorią etyczną, zamkniętą w słowach „nie wypada?“

Wyjaśnił nam go wyrazy, wypowiedziane przez bohatera demokratę do owéj panny zakochanej w żonatym człowieku, kiedy dowiedział się, że przedmiotem jéj miłości jest oportunistą.

— Źle pani trafiłaś — to prawe centrum, — ani zimno, ani gorąco!

To znaczy, że według autorów między hasłami politycznemi a psychologią ich wyznawców musi panować ścisła konsekwencya, że demokratą musi być szlachetnym, skorym do czynu, konserwatysta

zaś egoistą, pozbawionym szlachetniejszych uczuć, a prawie centrum niezdecydowanym a chwiejnym bez inicjatywy etc.

Co warta taka psychologia, wie każdy, kto cokolwiek głębiej zjrzał, już nie w galicyjskie, ale w jakiegokolwiek stosunki życiowe, i miał sposobność przekonać się, jaka częstokroć przepaść dzieli człowieka publicznego od prywatnego, jak odmienne bywają pobudki postępów publicysty i ojca, męża lub kochanka.

Ale nie widzieli czy też nie chcieli widzieć tego autorowie, którym widocznie chodziło jedynie o utwór polemiczny, wsparty argumentami w ludzkich postaciach, mogących wyrzec złudzenie życia jedynie na nieświadomych realnej treści życia.

A szkoda, bo autorom nie można odmówić pewnej śmiałości w wydobywaniu jaskrawych efektów teatralnych i zreczności, z jaką kilka dobrych scen w drugim akcie przeprowadzili.

Miejmy nadzieję, że w następnym utworze publicyści ustąpią miejsca dramaturgom.

Brozura p. Brusnicyna o naszym przemyśle węglowym. Niejednokrotnie już zwracaliśmy uwagę czytelników na żywe zainteresowanie się publiczności fachowej i niefachowej w Cesarstwie sprawami przemysłu naszego, zwauego w dziennikach „kresowym,” oraz w ogóle zajęcie się szerokich kół społecznych działalnością naszą na niwie ekonomicznej. Zabierali głos w tej sprawie uczeni ekonomiści i profesorowie, poświęcając jej studia poważne, mniej lub więcej obiektywnie prowadzone, pisali o niej dziennikarze, uganiający się za popularnością i łatwymi efektami pióra, kierowanego ciasnymi widokami osobistymi lub namiętnościami koteryi, wnosili petycje do władz przemysłowcy, podnieceni obawą niemiłej dla siebie konkurencji i walczący w imię zagrożonej kieszeni własnej. Obecnie mamy do zaznaczenia nowy objaw owego zainteresowania, tym razem trzymany w tonie poważnym. Mówimy o brozurze, wydanej niedawno pod tyt. „O przemyśle węglowym w kraju Nadwiślańskim,” której autor, p. Brusnicyn, miał możność zapoznania się bliższego z przemysłem rzeczoną w czasie, gdy, jako członek specjalnie wysłanej komisji, badał w r. 1886-ym stan przemysłu fabrycznego w Królestwie. W obec znaczenia, jakiego w ostatnich zwłaszcza czasach, po podwyższeniu cła na węgiel zagraniczny, nabrał przemysł odnośny w kraju naszym, pobieżny choćby rzut oka na niektóre fakty, w brozurze p. Brusnicyna podane, o ile sądzimy, powinien budzić zajęcie w czytelnikach, nie obojętnie na rozwój nasz ekonomiczny patrzących.

Terytorjum Królestwa Polskiego, kryjące w swém wnętrzu pokłady węgla kamiennego, nie zostało jeszcze dokładnie zbadaném; praca w tym kierunku, poruczona przez komitet geologiczny w Petersburgu geologowi p. Michalskiemu, nie wydała jeszcze rezultatów ostatecznych. O ile jednak wiadomo, węgiel znajduje się na południu Polski na przestrzeni około 100 geograficznych mil kwadratowych, w czę-

ści pod samą powierzchnią, w części zaś na mniej lub więcej znacznej głębokości. Ilość węgla kamiennego, wydobywanego tu w latach ostatnich, szybko się zwiększa i tak: w r. 1869-ym wydobyto 13,736,000 pudów, w siedm lat później ilość wydobyta doszła do 55,321,000 pudów, a w r. 1885-ym dosięgła 108,075,009 pudów. Większość kopalni znajduje się w rękach cudzoziemskich, przeważnie Niemców. Według danych, przytoczonych przez autora broszury, o jakiejś mowa, ilość węgla, wydobywanego przez krajowców, wyrównywa zaledwie 18,2% ilości jego ogólnej; jeżeli zaś odtrącić ilość eksploatowaną rocznie przez warszawskie Towarzystwo kopalni węgla kamiennego, w którego skład wchodzi i mieszkańcy tutejsi i poddani zagraniczni, to pozostanie zaledwie 4,6% węgla, należącego wyłącznie do poddanych tutejszych. Ten cudzoziemski charakter eksploatacyi, zdaniem p. Brusnicyna, odbija się nader niekorzystnie na systemie gospodarki górniczej. Cudzoziemcy bowiem, dążący à tout prix do jak najszybszego wyciągnięcia grosza z przedsiębiorstwa dla używania go u siebie zagranicą, eksploatują prawie wyłącznie warstwę „Reden,“ przyczem czynią to bez troszczenia się o warstwy inne, które, jakkolwiek bez warunkowo są uboższe, a przez to mniej się opłacają, to jednak stanowią poważną część bogactwa kopalnianego kraju, a strata jej przynosi temuż krajowi szkodę istotną, a co najgorsza, niepowetowaną. Według obliczeń hr. Platerra, przedstawionych podczas drugiego zjazdu przemysłowców węglowych w Warszawie, ta marnowana bezpowrotnie część węgla, wynosi około 50% bogactwa kopalnianego kraju w tym zakresie. Gospodarka nosi tu więc charakter niejako grabieżczy. Przyczynia się zaś do tego w pewnej mierze i brak zupełny wykształcenia fachowego zarówno wśród właścicieli, jak i wśród używanych przez nich oficjalistów. Życie ludności roboczej i bezpieczeństwo kopalń jest tu wskutek tego bezustannie na szwank narażanem. Szczęśliwy w tym względzie wyjątek stanowi towarzystwo francuzko-włoskie.

Nadmienić wypada, że ten stan górnictwa węglowego u nas, był przedmiotem rozpraw przemysłowców oduśnych, którzy na wzmiankowanym wyżej zjeździe w Warszawie postanowili starać się o przedsięwzięcie przeciw temu środków właściwych w drodze urzędowej; dalekie to jednak rzeczy, a zanim regulamin odpowiedni zyska zatwierdzenie władz i znajdzie zastosowanie w życiu, poważna część zasobów mineralnych kraju zginie bezpowrotnie.

Według twierdzenia p. Brusnicyna, będącego w tym punkcie w sprzeczności rażącej z tém, co oświadczyli przemysłowcy podczas pierwszego zjazdu ich w Warszawie, eksploatacyja węgla kamiennego w kraju naszym daje około 50% czystego zysku. Stosunki robotnicze wiele pozostawiają do życzenia. Co do tego ostatniego przedmiotu, autor przytacza dane bardziej szczegółowe przy opisie jednej tylko kopalni „Jerzy,“ zatrudniającej 1,068 robotników i 16-tu oficjalistów, a mającej dawać do 70% dochodu. Z pomiędzy robotników 322-ch,

czyli nie więcej jak 30%, należy do żywołu miejscowego; z liczby pozostałych najwięcej, bo 450-ciu (42%) znajdujemy poddanych pruskich, 289-ciu (27%) austriackich i 7-miu włoskich. Około 400 robotników mieszka stale za granicą, z kąd codziennie przybywa na robotę. Poniżej 15-tu lat wieku robotników w kopalni nie ma wcale, w wieku zaś od lat 15-tu do 17-tu znajduje się 199-ciu ludzi (18,6%). Kobiet pracuje tu 93 (8,7%). Praca dzienna waha się od 1 rs. 50 kop. do 45 kop. Nieproporcjonalnie natomiast wysokie są kary pieniężne, nakładane na robotników; według p. Brusnicyna, za spóźnienie się robotnik płaci rs. 1 kop. 50, za przynoszenie ze sobą trunków rs. 5 i t. p.

Stan przemysłu węglowego u nas, opisany przez p. Brusnicyna, stanowi — rzecz można — jedno więcej testimonium paupertatis naszej, świadczy wymownie o niedołęztwie naszym w zakresie działalności ekonomicznej. Rodzime nasze skarby kopalniane wzbogacają obcych i częstokroć niechętnych dla nas przybyszów, którzy z jednej strony, nie poczuwając się do żadnych obowiązków względem eksploatowanej przez siebie ziemi, marnują znaczną część jej zasobów, z drugiej zaś używają do pracy przeważnie żywołu cudzoziemskiego, podczas gdy ludność nasza robocza nie ma zbyt wiele zarobku, a specjaliści, wyżej wykształceni, w stronach dalekich szukać muszą dla siebie kawałka chleba.

Dane, ogłoszone przez departament rolnictwa, o urodzajach i przypuszczalnej ilości zboża ze zbiorów r. 1887-go w Cesarstwie i Królestwie. W obec wpływu niezaręczonego, jaki urodzaj lub nieurodzaj zboża w Cesarstwie, wywiera na warunki i widoki handlowe rolnictwa u nas, zasługuje na uwagę zbiór odnośnych wiadomości statystycznych, wydawany peryodycznie przez departament rolnictwa. Dane z różnych okolic, potrzebne do skompletowania obrazu, otrzymuje departament rzeczony od korespondentów, rozrzuconych po całym państwie, a których obecnie funkcjonuje 2,217. Przed niedawnym czasem wyszedł zeszyt drugi zbioru owego za rok 1887-my, obejmujący okres tego roku letni. Oprócz szczegółowych danych statystycznych, znajdujemy tu nadto zrobione przez departament obliczenie przypuszczalnej ilości zboża ze zbioru roku 1887-go. Obliczenia tego rodzaju dokonywano już w ciągu trzech lat ostatnich, przyczem próba okazała się pomyślną, cyfry bowiem przypuszczalnie z lat 1885 i 1886-go nieznacznie tylko różniły się od cyfr, w jakich wyraził się rezultat rzeczywisty zbiorów z lat pomienionych; mianowicie dla zbóż najważniejszych, jako to: żyta, owsa, jęczmienia i pszenicy ozimój różnica rzeczona nie przewyższyła 10%, a jedynie dla pszenicy jarój, gryki i prosa dosięgła 25%.

Przechodząc do danych szczegółowych, widzimy, że zbiór zeszłoroczny zboża w Cesarstwie uważać należy w ogóle za wyższy od średniego. Przyczyniły się do tego głównie przyjazne warunki atmosferyczne, zarówno w epoce rośnięcia zbóż i traw, jak i w chwili ich sprzętu. Obszar terytorium, na którym urodzaj spadł poniżej miary

Średniej, stanowi nie więcej, jak część piątą obszaru ogólnego. Ze zbóż poszczególnych, żyto np. w 49-ciu guberniach Rosyi europejskiej, dało rezultat, który w 4-ech guberniach nazwać można świetnym, (gubernia Charkowska, Kijowska, Połtawska i Twerska), w 13-tu — bardzo dobrym, w 25-ciu — dobrym, w 4-ech — średnim, w 2-óch niższym od średniego, złym zaś w jednej tylko gubernii Tauryckiej. Pszenica ozima w guberniach zwłaszcza Kijowskiej i Charkowskiej obrodziła tak, jak nie pamiętają od lat dawnych. Zbiór owsa był świetnym w gubernii Charkowskiej, bardzo dobrym w 15-tu guberniach, dobrym w 20-tu, średnim w 7-iu, niższym od średniego w 2-óch, a niepomyślnym w 4-ech. Kartofle w ogóle udały się dobrze, z wyjątkiem stepów południowych, prowincyi zachodnich i po części północno-zachodnich. Len dał także rezultaty zadawalniające, z wyjątkiem wyprodukowanego w guberniach stepowych na południu. Dane bardziej szczegółowe przytoczymy jedynie dla prowincyi, najbliższej z nami sąsiadujących. Oznaczając urodzaj średni przez cyfrę 100, to zbiory w miejscowościach niżej wymienionych wyrazić się dadzą w cyrach następujących:

	żyto	pszenica ozima	pszenica jara	owies	jęczmień	gryka	proso
gub. Kijowska	165	190	200	140	150	90	100
„ Podolska	135	138	160	140	140	80	70
„ Wołyńska	120	112	112	108	125	65	75
„ Kowieńska	118	140	85	100	90	85	—
„ Wileńska	118	122	90	95	90	70	—
„ Grodzieńska	108	107	120	114	95	70	—
„ Mińska	110	105	105	115	115	85	100
„ Mohylowska	105	130	145	118	120	90	—
„ Witebska	120	160	112	120	130	108	—

Interesująco przedstawiają się także cyfry, wskazujące ilość zboża, zebranego w guberniach Cesarstwa w ciągu trzech lat ostatnich, w porównaniu z przypuszczalną ilością zboża ze zbioru roku 1887-go. Dają one jednak pojęcie o urodzajach zeszłorocznych w Cesarstwie. I tak zebrano ogółem:

	w r. 1884	w r. 1885	w r. 1886	w r. 1887
	w tysiącach czterwici — ilość przypuszczalna			
żyta	115,000	118,000	111,000	127,000
pszenicy ozimój	13,000	13,000	6,600	14,000
pszenicy jarój	31,700	16,800	20,400	23,400
owśa	84,000	65,200	95,000	95,000
jęczmienia	22,300	16,800	22,400	24,000
prośa	7,850	4,000	10,750	7,850
gryki	11,600	7,200	13,400	9,600

Zbiór zatem niższy od średniego da przypuszczalnie tylko gryka, za średni uważać należy zbiór pszenicy jaréj i prosa, wszystkie zaś inne gatunki zboża przekroczą prawdopodobnie miarę średnią.

Urodzaje zeszłoroczne w Królestwie Polskiem, podług danych, zaczerpnięte z tegoż samego wydawnictwa urzędowego departamentu rolnictwa, wypadły w ogólności mniej pomyślnie aniżeli w Cesarstwie. I tu również za przyczynę najważniejszą uważać należy warunki atmosferyczne, mianowicie zimna w połączeniu z deszczami i wiatrami w początkach lata, oraz nadmierną suszę, jaka w całym kraju w następstwie zapanowała. Klęsk gradowych znaczniejszych w roku zeszłym nie było, z wyjątkiem jedynie niektórych miejscowości gubernii Radomskiej, gdzie w skutek gradu ucierpiały przeważnie żyta. Dane szczegółowe dla pojedynczych gubernii Królestwa wykazują, że z desiatyny gruntu (1,97 morgi) zebrano przecięciowo:

	żyta	pszenicy oziméj	owsa	jęczmienia.
	o z e t w e r t i.			
W gubernii Kieleckiej	7	10	10	11 $\frac{1}{2}$
„ Lubelskiej	10	10	17	12
„ Piotrkowskiej	6	8	6 $\frac{1}{2}$	8
„ Płockiej	8	9 $\frac{1}{2}$	10	11
„ Radomskiej	12—16	10 $\frac{1}{2}$ —15	13—17	12—15
„ Siedleckiej	7	6	9 $\frac{1}{2}$	7
„ Suwałkoskiej	11 $\frac{1}{2}$	13	10	10
„ Warszawskiej	9	11 $\frac{1}{2}$	13 $\frac{1}{2}$	13

O ile z wykazu tego sądzić można, nalepiéj zbiory powiodły się w gubernii Radomskiej, za którą idą z kolei gubernie Suwałkoska, Warszawska i Lubelska. Najgorsze urodzaje miały gubernie: Piotrkowska i Siedlecka. O guberniach: Kaliskiej i Łomżyńskiej nie znajdujemy w wydawnictwie pomienioném żadnej wzmianki, co przypisać należy albo zupełnemu brakowi korespondentów departamentu w tych stronach, albo—co prawdopodobniejsze — późnemu nadesłaniu przez nich wiadomości odnośnych.

Ze zbóż i roślin rolniczych ornych, pszenica jara, len i rośliny oleiste wypadły średnio, podobnież kartofle, jakkolwiek te ostatnie nadgniły w niektórych miejscowościach z przyczyny deszczów. Buraki obrodziły w gubernii Warszawskiej, natomiast zaś dały rezultat niezbyt pomyślny w Płockiej. Wreszcie owoce w całym niemal kraju wypadły nieszczególnie.

Projektowana resursa rzemieślnicza. Sprawa w stosunkach naszych doniosła i ważna agituje się obecnie w sferach rzemieślniczych, budząc żywe zajęcie się zarówno wśród warstw interesowanych bezpośrednio jak i wśród szerszych kół publiczności. Mówimy o projekcie utworzenia tak zwanéj resursy rzemieślniczej. Myśl zało-

zenia instytucji tego rodzaju zewszecznian pożyteczna, podniesioną została niedawno przez ludzi dobrej woli, a obecnie znajduje się już na drodze do urzeczywistnienia. Komitet, złożony z osób, należących do sfery rzemieślniczej, obeznanych z potrzebami oraz wymaganiami tejże warstwy, obraduje nad ustawą, która niezadługo ma być przedstawioną władzy. Członkiem resursy będzie mógł być każdy rzemieślnik zarówno warsztatowy, jak fabryczny, o ile na przyjęcie go do grona zgodzi się komitet wyborczy. Podstawą i warunkiem przyjmowania w poczet członków resursy mają być z jednej strony kwalifikacje rzemieślnicze, jako to: dyplomy cechowe, książki czeladne, świadectwa fabryczne i t. p., z drugiej zaś prowadzenie się moralne kandydata. Każdy członek będzie mógł ze sobą wprowadzić gości. Resursa tego rodzaju, o ile zasady jej pozostaną na tej wysokości, na jakiej stawiają je inicjatorowie, może z czasem stać się punktem centralnym dla całego stanu rzemieślniczego w mieście naszym. Rzemieślnik znajdzie tu nie tylko rozrywkę ucziwą i właściwą dla swego wieku, lecz nadto przy zetknięciu się z ludźmi różnych fachów, przez pogadankę wspólną i porozumienie się w sprawach, obchodzących bądź ogół rzemieślniczy, bądź dany fach pojedynczy, pogląd jego na rzeczy rozszerzy się a oko jego wybiegnie po za ciasny okrąg interesów i zajęć osobistych. Sądźmy, że jednym z bardzo ważnych braków w społeczeństwie naszym w ogóle, jest nieznamość zupełna warstw jego pomiędzy sobą; nieznamość ta zresztą przy braku wszelkiego życia publicznego posuniętą jest tak daleko, że nie tylko całe klasy społeczne obok siebie żyjące, mają o sobie wyobrażenie niedokładne i częstokroć najdziwniejsze, lecz nadto w obrębie jednej i tej samej warstwy społecznej, pojedyncze koła niewiele wiedzą o sobie. Taki środkowy punkt zbiorczy całej warstwy rzemieślniczej, jakim obiecuje być resursa projektowana, dopomoże, sądźmy, dzielnie do zaznajomienia się wzajemnego osób i cechów poszczególnych a ztąd do poznania i ocenienia wspólnego a świadomego potrzeb i widoków, obchodzących zarówno całą klasę rzemieślniczą, jak i koła w niej pojedyncze. Nadto resursa taka, stojąc z natury rzeczy, na oku całego społeczeństwa miejskiego, da temuż społeczeństwu możność poznania bliższego, jednej z ważniejszych warstw jego składowych. Resursa ma prenumerować pisma specjalne i popularne, a z czasem dadzą się tu urządzić systematyczne pogadanki fachowe. Rzemieślnik przeto nabywałby tu również pewnych wiadomości fachowych, których gdzieindziej dostarczają szkoły specjalne u nas nieistniejące, a z wielu względów bodaj czy tak rychło możliwe.

W dniu 8 stycznia obchodziła Chorwacya trzechsetną rocznicę urodzin największego swego poety, autora poematu „Osman,“ — Jana Gundulića. Poemat ten, pisany na wzór, „Jerolimy wyzwolonej“ Tassa wyszedł po raz pierwszy w r. 1826 w Dubrowniku, a na wydanie jego wpłynął ziomek nasz, Andrzej Kucharski, który rozpatrzywszy

się w rękopisach „Osmana,“ zebranych przez Volantię wpłynął na jego wydanie. Treść poematu „Osman“ stanowi wojna chocimska, a wśród bohaterów poematu spotykamy, naowczasz jeszcze królewicza Władysława, którego autor nazywa — „poljacczokoga sławna králja sławni sin,“ zaznaczając niejednokrotnie w poemacie sympatyje swoje dla Polski. Gundulić urodził się d. 4 stycznia 1588 r. a umarł w 1638 roku. Całej jego epopei tłómaczonej na język polski nie mamy.—Pisali o nim Dubrowski („Bibl. Warsz.“ 1841 r. t. IV, str. 265—288) i Adam Rzążewski (Tamże 1868 r. str. 414—439). Najlepsze treściwe studjum podał Br. Grabowski w „Kraju“ Przegl. liter. z dn. 9 (21) stycznia 1888-o r.

Piśmiennictwo ruskie poniosło ciężką stratę przez zgon Józefa Hordyńskiego-Fedkowicza. Ś. p. Józef urodził się 8-go sierpnia 1834 r. w siole huculkiem Storoniec-Putyłów. Ojciec poety był urzędnikiem sądowym i właścicielem części dóbr; matka była córką księdza greckowśchodn. obrządku Hanickiego. Nauki pobierał początkowo prywatnie, później zaś uczęszczał do gimnazjum czerniowieckiego. Wzięty do wojska, dosłużył się rangi porucznika i odbył kampanię włoską, biorąc udział w bitwach pod Magentą i Solferino. Już wtedy próbował pióra, pisując bądź po rusku, bądź po niemiecku udatne pieśni żołnierskie, które obiegały po pułkach. Z powodu nadwężonego zdrowia, w r. 1862 opuścił szeregi i osiadł w rodzinném miejscu, zkąd odbywał wycieczki do Czerniowiec i do Lwowa. Odtąd datuje się niezmqordowana twórczość Fedkowicza. Wydał 2 tomy poezyi oraz kilka tomów powieści, przez które stanął w rzędzie najwybitniejszych pisarzów. Przed r. 1880 przesiedlił się do Czerniowiec, i tu po krótkiej przerwie, począł pracować na polu piśmiennictwa narodowego. Należał do założycieli pisma *Bukowyna*, które redagował do końca życia; pisał bardzo wiele dla bukowińskiej „Biblioteki dla młodzieży,“ dla ruskich kalendrzy, oraz wydawał oddzielne broszury, jak „Proskurka,“ „Żołnierski pisni“ i wiele innych. W manuskrypcie zostało: „Swatanje na hostyni,“ melodramat; „Kiermanycz,“ melodramat, „Doubusz,“ tragedia; „Mazepa,“ tragedia, oraz nieskończona tragedia „Bohdan Chmielnicki“ i wiele drobniejszych utworów. Jako człowiek, należał do tych, co najchętniej pozostają sami, czuł jakoby wstręt do towarzysztwa. Odziany zawsze w huculski strój narodowy, znany był w mieście więcj ludowi, niż klasie inteligentnej.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Ks. kan. Polkowski spisał alfabetycznie tytuły dwustu najstarszych ksiąg, drukiem ogłoszonych między rokiem 1462-im a 1500-ym jakie znajdują się w bibliotece kapituły katedralnej krakowskiej i w bibliotece samego autora, podając zarazem treściwie osnovę, którą każdy z tych druków zawiera. Nie jest to więc zwykły katalog druków i ksiąg czterechsetnych, ale rozumowany katalog, odnośnie do każdej książki, dowodzący, iż autor musiał mieć każdą księgę w rękę, przeglądając ją i czytać, aby mógł o niej tak poważną dać wiadomość. Dzieło poprzedza przedmowa, t. j. studjum o najdawniejszych drukach w ogóle, o liczbie wydań różnych ksiąg i autorów, od pojawienia się druku aż do roku 1500-go, o metodzie drukowania, o czcionkach, papierze, drukarzach, introligatorach i t. d. Na końcu rozklasyfikował autor te dwieście druków: 1) przedmiotami, 2) autorami, 3) chronologicznie, jak wychodziły, 4) drukarniami i drukarzami oraz stosownie opatrzył wszystko indeksami. W literaturze polskiej pierwsza to tego rodzaju praca wartości niepośledniej, przenosząca nas o 400 lat wstecz i pokazująca najwymowniej, na jakim była stopniu oświata i kultura ówczesnego społeczeństwa polskiego. Szkoda, że książka o której mówimy, o 116-tu stronicach, wyszła na gwiazdkę z drukarni Anczyca w Krakowie w stu tylko egzemplarzach.

Prof. Adolf Pawiński, który przez wydanie kilkunastu tomów „Źródeł dziejowych“ przyczynił się znakomicie do pomnożenia materiału archiwalnego pierwszorzędnej wartości, a przez krytyczny wybór tych dokumentów rzucił wiele światła na historią naszą i ułatwił badaczom dziejów polskich jak najrozleglejsze z nich korzystanie, obdarzył nas nowem dziełem, stanowiącém obfitą nader skarbnicę wiadomości do historii reprezentacji narodowej i do historii administracji państwowej Rzeczypospolitej polskiej, opierającej się na jak najszerszej decentralizacji. Dzieło to wyszło pod tytułem: „Dzieje ziemi Kujawskiej oraz Akta historyczne do nich służące.“ Ogłosił Adolf Pawiński. Warsz. 1888. Druk J. Bergera, w V-ciu wielkich

tomań, 4-o maj. i stanowi dopiero 1-szą część z 8-iu działów w jakich się ma zawrzeć całość „Dziejów ziemi kujawskiej.“ Tom I-szy pod osobnym tytułem: „Rządy sejmikowe w epoce królów elekcyjnych“ od roku 1572—1795, z 2-ma objaśnieniami wstępniemi (str. II, XIII, 431) przedstawia wyrozumowany przegląd szczegółowy wszystkich kwestyi, odnoszących się nie tylko do samych sejmików, ale objaśniających zarazem istotę i znaczenie polityczne i administracyjne władzy sejmów naszych w téj epoce, sposobu ich zwoływania, porządku obrad, zasady stanowienia uchwał i t. p. Jest to materyał na tém polu po raz pierwszy z wielką dokładnością zebrany i oceniony ze stanowiska nauk historycznych i politycznych. Tom ten stanowi osobną w sobie całość i daje dokładny obraz Rządów sejmikowych w Polsce na tle stosunków województw kujawskich. Kto zastanawiał się kiedykolwiek nad przewagą indywidualności prowincjonalnych w Rzeczypospolitej polskiej, ten pojmuje, że tylko na téj podstawie można zrozumieć całą machinę naszego sejmowania, którego ze stanowiska dzisiejszych idei państwa scentralizowanego sądzić niepodobna. Odrębna indywidualność pojedynczych ziem, województw i powiatów zrodziła się już w epoce Piastowskiej, kiedy się Polska rozpadła na dzielnice,—i nie zatarła się bynajmniej następnie, gdy te dzielnice znów utworzyły jedną całość. Na tym gruncie wyrosła idea unii lubelskiej, która te zasady historyczne usankcjonowała i nowęj energii im dodała. Tu kryje się źródło osławionego Liberum Veto, którego nie stworzyła żadna teoria, żadna doktryna polityczna—i żadna akcja teoretyczna usunąć go też nie mogła. Poglądu tego broniliśmy w r. 1855 (De nuntiorum terestr. „Liberum Veto“ w dysertacji doktorskiej: De consilio design. successorem regni vivo Joanne Casimiro. Berol. 1855, pg. 165—246). Zebrany przez prof. Pawińskiego materyał archiwalny potwierdza ten pogląd jak najdokładniej. Wśród téj kohezji ziem i powiatów, którym nawet do federacyi daleko, nie mogło zaprawdę być mowy o większości lub mniejszości, ani nawet o jednomyślności; ale chodziło o to, czy jest zgoda lub nie ma zgody, i to dawno przed Sicińskim—i tak też pozostało po Sicińskim z tą uwagą, że ideą, popychającą nasze życie publiczne, była aspiracya sejmików do przełamania i obczwładnienia powagi i wpływu sejmów walnych. Jest to przedmiot, zachęcający do poważnych specjalnych studyów, których kierunek zaledwo tu ogólnie wskazać mogliśmy. Tomy następne zawierają już sam archiwalny materyał wielkiej naukowej wartości nie tylko pod względem historycznym, ale i administracyjnym, skarbowym, wojskowym, statystycznym i t. d. Tom II zawiera „Lauda i Instrukcyje sejmikowe od r. 1572 — 1674“. Str. IV, 434. Spis chronologiczny laudów województwa brzeskiego i inowrocławskiego z wskazaniem miejsca sejmikowania, terminu odbywanych obrad i treści tytułowej. Dalej spis miejscowości, o których w laudach wzmiankowano. Spis osób i urzędów tych województw. Urzędy wojskowe. Urzędy innych województw. Godności duchowne. Marszałkowie sejmików radziejow-

skich. Posłowie. Spis nazwisk różnych. Te indeksa znachodzimy w każdym z tomów następnych podług epoki, którą obejmują. Tom III: „Lauda i Instrukcye sejmikowe od r. 1674—1700.“ Str. 245.—T. IV takie same dokumenty od r. 1700—1733 str. 420.—T. V również od r. 1733—1795. Str. 413. *J. K. P.*

W interesie dalszych badań historycznych należałoby tylko jeszcze sobie życzyć, aby ogłoszony został drukiem także starszy podobnej wartości materyał archiwalny, poprzedzający rok 1572. Pojawiło się wprawdzie w ostatnim czasie dzieło p. Lekszyckiego, które pod względem językowym, prawnym i administracyjnym wielkiego jest znaczenia, ale na polu przez prof. Pawińskiego tak wszechstronnie obrobioném, mniej zawiera materyału. Mówimy o książce, która jako 31-szy tom publikacji, wydawanych przez rząd pruski z archiwów państwa, wyszła w Lipsku pod tyt.: „Die aeltesten grosspolnischen Grodbücher“ (Najstarsze wielkopolskie księgi grodzkie). T. I-szy, Poznań, 1888. (1386—1399). Wyd. J. Lekszycki, archiwista I-szej kl. w Poznaniu.

Znany jako Wiktor z Baworowa, tłumacz pierwszorzędnych utworów poetycznych, w wiejskiem zaciszu oddaje się nieustannie pracy w tym kierunku. Trzydzieści kilka lat temu rozpoczął Wiktor z Baworowa zawód literacki, drukując utwory pomniejszych w „Dzienniku literackim“ poczem wnet nastąpił przekład epopei Wielanda „Oberon“ (w r. 1853). Następnie zwrócił się tłumacz ku literaturze angielskiej, mianowicie ku Byronowi. Z Byrona przełożył następujące dzieła: „Don Juan,“ „Czajld Harold,“ „Sądne widzenie,“ „Wiek spiżowy,“ „Poeci angielscy i krytycy szkocy,“ „Proroctwo Danta,“ „Żale Tassa,“ „Przypomnienia z Horacego,“ „Beppo,“ „Walec,“ „Przekleństwo Minerwy,“ „Awalar irlandzki,“ oraz znaczniejeźą ilość pomniejszych poezyi, pomiędzy temi „Ode do Napoleona.“ W ostatnim czasie zajął się Wiktorem Hugo; mianowicie ze słynnego dzieła „Les Châtiments“ wybrał najświetniejsze, stanowiące odrębną całość ustępy i odtworzył je z ową potoczystością języka i wiernością treści, jaka wszystkie tłumaczenia Wiktora z Baworowa cechuje. Niestety nader płodna i tyle pożyteczna działalność Wiktora z Baworowa znaną jest zaledwie małej garstce osobistych znajomych i znawców literatury, którym tłumacz od czasu do czasu najnowsze swe prace odczytuje. Z całego szeregu wymienionych powyżej utworów, pojawiło się na półkach księgarskich jedynie dziesięć pieśni „Don Juana“ (cały utwór ma pieśni szesnastcie); trzy pieśni „Czajld Harolda“ były drukowane w „Dzienniku literackim“ (razem jest pieśni cztery), „Oda do Napoleona,“ „Awalar irlandzki,“ „Walec“ i „Przekleństwo Minerwy“ w innych czasopismach. Reszta cennych utworów kryje się w tece tłumacza!

Księgarnia Gebethnera i Wolffa rozpoczęła bardzo wspaniałe

wydawnictwo pod tyt. J. I. Kraszewski: „Wizerunki książąt i królów polskich.“ Z 39 rycinami Ksaw. Pillatiego oraz inicjami Cz. Jankowskiego, zes. I. Wydawnictwo to przynosi zaszczyt autorowi, rysownikom, wydawcom i drukarni Orgelbrandów. Na pięknym papierze widzimy bardzo starannie rytowane portrety królów polskich, wykonane przez p. Pillatiego ściśle podług rycin i portretów starożytnych oraz według podania kronik. Pod każdym portretem scena z życia danego króla ołówka tegoż artysty. Obok treściwa charakterystyka każdego z królów przez Kraszewskiego. Pracę tę, rozpoczętą w Dreźnie 1883 r., a ukończoną w Magdeburgu 1885 r. ofiarował ś. p. Kr. księżnej Ludwice z Hołyńskich Falconieri-Corpeгна. Dzieło wyjdzie w 6-ciu zeszytach i kosztuje w prenumeracie rs. 5.

Wydawany w Wiedniu rocznik „Die Dioskuren“ za r. 1887, zamieszcza kilka prac nas obchodzących. Najważniejszą jest praca Albina Teuffenbacha: „Josef Fürst Poniatowski, Marschall von Frankreich, ein Wiener Kind.“ W pracy tej, opartej na aktach wojskowych, wywodzi autor całą historią służby ks. Józefa w armii austriackiej, przyczem udowadnia, że ks. Józef urodził się w Wiedniu 4 maja 1763, (nie zaś w Warszawie w r. 1762, jak podawano dotąd), w pałacu hr. Kinsky'ch na Herrengasse. Ojcem chrzestnym był mu hr. Józef Kinsky.

Drugim artykułem zawartym w tym roczniku są poezye Gomulickiego w tłumaczeniu Emilii Bett a wreszcie powieść o Fryderyku Szopenie p. t. „Nur eine Rose aus dem Leben eines Künstlers“ przez Hermine Proschke.

Jako tom 26 zbioru „Deutsche Litteraturdenkmale des 18 und 19 Jahrhunderts in Neudruck herausgegeben von Bernhard Seuffert“ ukazało się dzieło p. t. „Johann Elias Schlegels ästhetische und dramaturgische Schriften“ (Heilbronn, 1887 stron CLXXX, 226). Wydanie tych pism poprzedził J. Antoniewicz obszernym wstępem. Pisma J. E. Schlegla mają w dziejach literatury niemieckiej XVIII stulecia wielkie znaczenie, ponieważ Schleglowi należy się pierwszeństwo pomiędzy tymi, którzy epokę klasycznego rozwoju piśmiennictwa niemieckiego poprzedzają. Ale prace Schlegla nie były samodzielne; opierały się na bardzo licznych, dawno już zapomnianych rozprawach i badaniach uczonych francuskich i innych. Otóż zadaniem wstępu nowej edycyi było zbadać jak najdokładniej wszystkie te źródła, na których Schlegel zapatrywania swe wykształcił i opierał. Pan Antoniewicz nie szczędził żadnych trudów i porównywał jak najskrupulatniej wszystko, co tylko w książkach i czasopismach dawnych się znajduje a jakiegokolwiek pokrewieństwo z rozprawami Schlegla na sobie nosi, tak że jego książka może zupełnie zastąpić pierwotną, dziś bardzo rzadką edycyą pism estetycznych Schlegla.

W jednym z ostatnich zeszytów „Reveu de l'art chrétien“ znaj-

duże się opis 14 medali wybitych z polecenia papieża Innocentego XI na pamiątkę zwycięstwa Jana III pod Wiedniem i Parkanami. Wszystkie medale mają na jednej stronie popiersie Papieża, na drugiej zaś: 1) Zbawiciel ocala św. Piotra z toni morskiej; 2) św. Michał zwalczą smoka; 3) Ołtarz z tiarą, koroną królewską, cesarską i książęcą; 4) popiersie papieża, Jana III, Leopolda i doży weneckiego; 5) i 6) Lew Wenecyi; 7) Korona palmowa 1683; 8) Uosobienie kościoła św.; 9) Krzyż z koroną cierniową; 10) Nadzieja; 11) Buda i Dunaj 1666; 12) Anioł z koroną, unoszący się nad okrętem; 13) Lew Wenecyi zwyciężający psa tureckiego; 14) Domek Loretański i sztandar turecki temuż domkowi przez Jana III ofiarowany.

W drugim tomie wydawnictwa „*Vetera Monumenta Vaticana Hungariae*“ seryi 2-giej znajdujemy również bardzo ciekawe i nieznanne dokumenta do historii Jana Sobieskiego, a szczególnie do jego wojen z Turcyą.

W czasopiśmie „*Vierteljahrsschrift für Heraldik, Sphragistik und Genealogie*“ znajduje się w ostatnim zeszycie zajmująca rozprawa Marcelego Janecke'go, p. t.: „*Erhielten die Juden in Polen durch die Taufe den Adelstand?*“ (Czy zyskiwali żydzi w Polsce przez chrzest szlachectwo?).

„*Zeitschrift der Wiener Anthropologischen Gesellschaft*” zamieszcza pracę p. J. Spötl'a o prastarych hutach żelaza w Tatrach.

„*Słownika geograficznego Królestwa polskiego i krajów przyległych*“ pod redakcją Br. Chlebowskiego i Wł. Walewskiego, wychodzącego od roku 1880-go w zeszytach miesięcznych, wyszedł zeszyt 97-y. Ukończony świeżo 8 tom (z zeszytem 96-ym), doprowadzony do „*Pozajście*,” obejmuje oprócz kilku tysięcy drobniejszych, cały szereg obszernych opracowań (między innymi dosyć szczegółową geografią Polski), z których każde stanowi specjalną, wyczerpującą często monografię. W ciągu roku 1888 wyjdzie tom IX, który obejmie koniec litery P., literę R. i początek S. „*Słownik geograficzny*” jest pierwszym w naszej literaturze dziełem, obejmującym cały obszar ziem, na których mieszka lub mieszkała ludność polska. Zarówno fizyczne cechy tego obszaru, jako też i wszystkie osady (wsie i miasta), w których skupiła się praca rolnicza i przemysłowa, życie społeczne i polityczne, są opisane z możliwą dokładnością co do stanu obecnego i kolci dziejowych. Każdy, komu współczesne położenie i przeszłe losy społeczeństwa nie są obojętne, znajdzie w tym dziele obfite zasoby danych i wiadomości.

Instytut wiedeński kartograficzny *Artaria et Com.* wydał wyborną, dokładną kartę zachodniej Rosyi w rozmiarach 1:1,500,000,

która obejmuje całą Galicyą, Królestwo Polskie, część Litwy, Wołyń, Podole i część Bessarabii.

Nakładowa księgarnia Manza w Wiedniu wydała „Ustawy dla szkół ludowych w Austro-Węgrzech“ w opracowaniu dr. Burckharda, wicesekretarza ministeryalnego. Pomieszczone tam są ustawy państwowe i krajowe, odnośnie rozporządzenia ministeryalne i wyroki trybunału administracyjnego. Okazałe dwa tomy, do których dodane jest chronologiczne i alfabetyczne repertoryum, ułatwiają w wysokim stopniu korzystanie z tego obfitego skarbcza wiadomości o szkołach ludowych.

Nakładem redakcyi Biblioteki umiejętności prawnych wyszło dzieło pod tyt.: „Prace przygotowawcze do prawa o rejestrze firmowym z oryginalnych materyałów przełożył i opracował Kazimierz Nowakowski, sekretarz komitetu projektodawczego. Część druga, Warszawa 1887, str. 593. Z kilku dodatkami tablic, zawierających wzory Wykazów rejestru handlowego, oraz kilka wiadomości o urządzeniu rejestru firmowego za granicą.

Dr. Okolski Antoni wydał ważne dzieło pod tyt.: „Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.“ Warsz. 1888, str. 596. Jest to obszerny wykład prawa państwowego, zawierający dokładny obraz ustroju politycznego, mianowicie zaś władzy prawodawczej i wykonawczej w państwach europejskich i w Stanach zjednoczonych. Dzieło to witamy, jako prawdziwe zbogacenie literatury naszej na tém polu.

Wychodzący w Petersburgu tygodnik „Kraj“ wydaje od początku nowego roku prócz dawniejszego dodatku, zawierającego „Przegląd literacki,“ drugi jeszcze dodatek, mieszczący w sobie wiadomości z dziedziny spraw ekonomicznych. Do nr. 52-go, ostatniego z r. 1887 dołączono „Przegląd literacki,“ jako dodatek nadzwyczajny w formie sporego zeszytu (str. 42), zawierający wyłącznie zbiór artykułów wybitniejszych pisarzy naszych z dziedziny prawnej i ekonomicznej w 7 działach, mianowicie: 1) Społeczoznawstwo (?), ekonomia, statystyka; 2) Prawo państwowe i międzynarodowe; 3) Prawo karne; 4) Prawo cywilne; 5) Organizacya sądowa; 6) Historia i encyklopedia prawa; 7) Stosunki ekonomiczne. Znajdujemy tu treściwe rozprawy o najżywniejszych kwestyach bieżących, napisane przez specjalistów, dające pogląd jasny na najważniejsze zadania chwili.

Wrześniowski August prof. wydał „Zasady zoologii.“ Z 499 rysunkami w tekście i jedną tablicą chromolitografowaną. Warsz. nakład Gebethnera i Wolffa. Bibl. umiej. Przyrodniczych, 1888, str. 745. Dokładny ten podręcznik, opracowany samodzielnie, czyni za-

dość wielkiej potrzebie przy wykładzie historii naturalnej, której gałąź botaniczną reprezentują bardzo pożytecznie dzieła prof. Rostańskiego. Część pierwsza wyklada wiadomości wstępne, część druga: anatomią i fizyologią; część trzecia: systematykę zwierząt. Liczne drzeworyty objaśniają doskonale treść bogatą. Przy ponowném wydawaniu zapewne autor zwróci większą uwagę na poprawność stylu polskiego, która w tej edycji dużo ucierpiała.

„Biblioteki przyrodniczej,” wydawanéj przez redakcyą „Wszechświata” z zapomogi kasy im Mianowskiego, wyszedł z druku tom II-gi pod tyt.: „Zasady meteorologii” przez H. Mohna, przełożył St. Kramsztyk. Warsz. 1888, 8-o str. XVI+318 i VI, a 43 drzeworytami w tekście, oraz 24 tablicami litografowanemi.

„Kwartalnika historycznego” wychodzącego we Lwowie, zeszyt I-szy na rok 1888-y zawiera rozprawę Z. Hordyńskiego: „Brodzińskiego lata szkolne.” Recenzye i sprawozdania dzieł z całego obszaru nauk historycznych, dające ogólne wyobrazenie o naszym ruchu umysłowym na tém polu. Spis obszerniejszych recenzyi, drukowanych w innych czasopismach. Bibliografią dzieł zaganicznych. Sprawozdanie z posiedzeń Tow. historycznego. Polemika i t. p.

W ogólnym zbiorze pism historycznych Leopolda Rankego, wydawanym w Lipsku wyszedł tom 49 i 50, stanowiące 2 części osobnego dzieła pod tyt. „Zur Geschichte Deutschlands und Frankreichs im 19-ten Jahrhundert.” (Przyczynek do historii Niemiec i Francyi w w. XIX-ym). Wydany p. Alfr. Dove. Lipsk. 1887. Str. XIX, 623. Dzieło to zasługuje na szerszą uwagę nawet poza kołem historyków, ponieważ zawiera wiele materiału do zrozumienia tegoczesnej roboty Prus zimperyalizowanych (sit venia verbol), w których wiele przedsięwzięć Bismarckoskich natchnionych zostało przez idee i widoki historyografa pruskiego. Część 1-sza zawiera artykuły Rankego z czasop. historycznego (historisch-politische Zeitschrift), które Ranke wydawał w Berlinie w początkach działalności profesorskiej: znajdujemy je tu zebrane pod ogólnym tytułem: „Restauration i rewolucya lipcowa,” poczem następuje korespondencya króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV-o z Bunsenem, wreszcie parę Memoryałów,“ przedstawionych za pośrednictwem Edwina Manteuffla Fryderykowi Wilhelmowi IV-mu w latach 1848—51, których echo słyszymy często niemal dosłownie w odpowiedziach króla do Bunsena, chociaż nie bez pewnych zastrzeżeń. Memoryały te tchną zimną rozumą historyka, który nawet w chwili ogólnego wzburzenia patrzył jasno na znaczenie polityczne owéj chwili, starał się być zawsze przezornym i na obydwie strony się oglądającym. Przewodnią ideę historyczną dla rozwoju Niemiec widzi Ranke „w kolebce zdrowej monarchii (in dem Mutterlande) t. j. w Prusach, gdzie interes korony łączy się ściśle z dobrem ludności całej, widzi ją w po-

dźwignieniu téj królewskości pruskiéj, jakkolwiek w formach nieco zmienionych; bo według jego zdania „potrzebuje ustrój konstytucyjny dla swego własnego bezpiecznego rozwoju monarchy niezależnego, czerpiącego z siebie samego całą władzę panującego.“ Zaleca jak naejnergiczniéj cesarstwo prusko-niemieckie, ale gani pruski projekt Unii, opierający się na stanowisku sejmu frankfurckiego, żąda, żeby akcyja pruska oparła się na idei związku państw niemieckich, „wszystko idee, które wykonane zostały w latach 1866-ym i 1871-ym. „Jeżeli zwierzchnicza władza w Niemczech nie ma utonąć w zburzonych falach republikanizmu, to powinna zdobyć się na odwagę, która zdolną będzie uszanować samodzielność państw pojedynczych równocześnie z ideą samodzielności książąt niemieckich.“ — Ranke sądził, że co do tego punktu, to Prusy mogą liczyć nawet i na Austryą, która potrafi uszanować interesy pruskie. Już Ranke wypowiada bez ogródki zdanie, że państwo powinno zająć się zorganizowaniem — uporządkowaniem interesów klasy robotniczej przez unanie zasady „prawa pracy“ („das Recht auf Arbeit“), tylko z tém zastrzeżeniem, aby się ta robota państwa rachowała z danemi w każdéj chwili stosunkami oraz, żeby nie dławiała swobody działalności prywatnej. — Ks. Bismarck miał tedy przewidującego nauczyciela!

Doniosłe znaczenie ujawnionych wyżej poglądów Rankego na misyję monarchii pruskiéj, okaże nam się jeszcze wyraźniéj w całej sile zasady historycznej i zastosowania praktycznego, gdy zwrócimy uwagę na to, że pod wpływem takiéj szkoły historycznej kształciło się kilka młodszych pokoleń. Szkoła zaś pruska uczy karności i przygotowuje we wszystkich gałęziach służby publicznej urzędników słuchliwych, oddanych najgorliwszej obsłudze maszyny państwowej.

N e k r o l o g i a .

† Dnia 23-o grudnia 1887-o r. we wsi Statkowce pod Lubarem na Wołyniu, umarł **Leonard Sowiński**, poeta niepospolitego talentu i siły. Ś. p. Leonard urodził się w Berezówce, gub. Podolskiej dnia 7-o listopada 1831-o r. Nauki początkowe pobierały w szkole powiatowej w Międzyborzu, zkąd przeszedł do gimnazjum w Żytomierzu. Po ukończeniu studyów gimnazyalnych wstąpił r. 1847-o na wydział filologiczny Uniwersytetu Kijowskiego. Otrzymawszy po 4-ch latach studyów stopień kandydata, wstąpił r. 1852-o powtórnie do Uniwersytetu i zaczął studyować medycynę. Blizki już ukończenia studyów medycznych (odbył już 4 kursa), porzucił Uniwersytet, szpitale i kliniki i wziął się do pracy literackiej. Kroku tego nie mógł sobie darować przez całe życie. Wspomnienia swoje szkolne wydał nakładem M. Orgelbranda przed 3-ma laty, poprzednio drukowane już urywkami. W r. 1857 zwiedził większą część Europy (Austryą, Niemcy, Saksonią, Belgią, Francją i Włochy), a podróż ta wywarła na jego duszę wrażliwą i poetyczną wpływ bardzo wielki. Po roku takiej wędrówki powrócił Sowiński w strony rodzinne i mieszkał bądź na Podolu bądź w Kijowie przez lat cztery (1858—1862), biorąc czynny nader udział w ówczesnym życiu obywatelskim a mianowicie w ówczesnych sejmikach szlachty w Kamieńcu Podolskim. Widzimy go następnie przez lat 6 w Kursku, potem w Warszawie (od r. 1868-o), potem kilku nawrotami jako nauczyciela domowego na prowincyi w Królestwie, nakoniec w Warszawie aż na najniższym szczeblu niedoli i nędzy.—Zawód pisarski rozpoczął Sowiński w dosyć młodych latach. Zachęcony przez Kraszewskiego, który cenil jego talent, wydrukował w „Piśmie Zbiorowem Wileńskim” (będącym dalszym ciągiem *Teki wileńskiej*) urywki z „Satyr,” w których poeta pragnął natchnąć satyrę starożytną ideałem chrześcijańsko społecznym (r. 1859-o), równocześnie wyszło w Kijowie oddzielnie 12 sonetów Sowińskiego pod ogólnym tytułem „Wdziadła.” Zamiłowany w poezyi małoruskiej wydał w r. 1861-ym studyum pod tyt. „Studia nad literaturą ukraińską” (Wilno 1861), które stanowiło niejako wstęp do pracy o „Tarasie Szewczence,” którego wiele utworów przełożył Sowiński na język polski. W r. 1861 wydał pięknny poemat, właściwie fantazyą dramatyczną pod tyt. „Z życia,”

który nadzwyczaj sympatycznie przyjęty, doczekał się w przeciągu kilku miesięcy dwóch wydań. (Wyd. 2-ie Kijów, 1862).— W tym okresie był Sowiński stałym współpracownikiem „Kuryera Wileńskiego,” gdzie drukował drobniejsze swoje utwory. Jako korespondenta „Kuryera Wileńskiego” piętnowano Sowińskiego demagogiem, a później wskazywano go znów równie bez zasady jako mało postępowego. Nikt nie zaprzeczy, że Sowiński idąc środkową drogą, dążył zawsze za gwiżdzą ideatę dobra publicznego, i że zrobił bardzo wiele dla otrzeźwienia pojęć społecznych w swoim czasie.— Oddalony następnie od kraju zamilkł przez lat kilka aż do r. 1868, gdzie zatrzymawszy się w Warszawie był współpracownikiem „Gazety Warszawskiej” „Wieńca” oraz prowadził dział krytyczny w ówczesnej gazecie „Echo.”— W następnych latach wydał „Fragment powieści” (1869), „Najemnica” przekład z Szewczenki (1870), „Satyrę” (1870, przesłiczny dramat „Na ukrainie” (1873), „Słowo bytu” (1870, „Dwa tomy poezyj” (1875) i „Tom poezyj” (1880). Opracował też podług notat Zdanowicza pięciotomowe dzieło „Rys dziejów literatury polskiej.” Ostatnią pracę Sowińskiego większych rozmiarów były wielce zajmujące „wspomnienia szkolne, drukowane w „Tygodniku Powszechnym” M. Orgelbranda (1885). Kreśląc te „Wspomnienia,” przenosząc się myślą w złote czasy młodości, Sowiński ożywiał się widocznie i nabierał sił, pomimo że kartki owych pamiętników pisał już drżącą ręką — a siły miał całkiem stargane.— Utwory Sowińskiego odznaczają się piękną formą i niepospolitą siłą uczucia. W poezyi współczesnej zajmuje Sowiński stanowisko odrębne; nie naśladuje żadnych mistrzów, rzuca myśli piękne, natchnione szczerem, głębokim uczuciem. Spuścizna Sowińskiego nie odpowiada bogactwu jego ducha; ale nie miejmy za to żalu do poety. Są położenia, w obec których najbardziej wyposażone duchy gną się i łamią. Takiemu losowi uległ Sowiński, chociaż się bronił rozpaczliwie. Cześć jego pamięci!

ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY.

NA ROK

1 8 8 8.

Biblioteka Warszawska, pismo miesięczne, poświęcone naukom, literaturze, sztukom pięknym i sprawom ekonomicznym, rozpoczyna z rokiem 1888-ym czterdziesty siódmy rok swojej działalności naukowo-literackiej, i wychodzić będzie, jak dotychczas, na początku każdego miesiąca w zeszytach 10 arkuszowych.

Usilne staranie „Biblioteki Warszawskiej“ o utrzymanie peryodyczności naukowej w literaturze polskiej; rozbiór spraw nietylko swoich, ale i obcych, obchodzących żywo społeczeństwo nasze; pilna uwaga na postęp w rozmaitych gałęziach nauk, z uwzględnieniem zadania naszej cywilizacji i oświaty narodowej we wszystkich kierunkach pracy umysłu ludzkiego; sprawozdania krytyczne z dzieł naukowych i literackich, wreszcie ogłaszanie utworów literatury pięknej, zajmujących nietylko fantazją, ale całą umysłowość naszą—to są ideały, które Redakcja „Biblioteki Warszawskiej“ od lat 46-ciu urzeczywistnić pragnie. Za podstawę działalności na polu piśmiennictwa, stanowiącego jeden z najsilniejszych puklerzy indywidualności narodowej w jej przyrodzonym, historycznym charakterze, uznajemy: utrzymanie w czystości języka ojczystego, wzmocnienie ogniw tradycji narodowej przy świetle postępu nauki i krytyki. Obok dóbr duchowych zwracamy uwagę również i na interesa dóbr materyalnych w dziedzinie spraw ekonomicznych. Zasady te połączyły „Bibliotekę Warszawską“ solidarnym poniekąd węzłem z osobami poważniejszymi poglądającymi na literaturę ojczystą, a obok tego nastęrczyły inteligencji krajowej możność objawiania i szerzenia światła naukowego, jakie z postępowym powszechnym i naszemu przyświecać powinno narodowi. W ten sposób stała się „Biblioteka Warszawska,“ nietylko organem piśmiennictwa naukowego, ale i szkołą dla występujących na polu literatury ojczystej coraz nowych zapaśników. Nie ma bowiem pomiędzy poważniejszymi pisa-

rzami naszymi prawie żadnego, któryby się przy wstępie do świątyni nauk nie był dał poznać na kartach Biblioteki, a wielu współpracowników „Biblioteki“ przynosi jeszcze dziś zaszczyt literaturze polskiej.

W miarę wszakże powstawania i u nas coraz więcej pism specjalnych, można dzisiaj trzymać się ściślej granic właściwych przeglądowi miesięcznym, nie pomijając atoli względu na interes ogólny przy specjalnych badaniach naukowych, występujących w nowym świetle dzisiejszej nauki i krytyki.

Pisma peryodyczne, trzymające pośrednie miejsce między literaturą książkową i dziennikarską, stanowią we wszystkich społeczeństwach oświeconych coraz bardziej potrzebne organa zasad i dążności, przekonań i teorii, poglądów i doktryn, które się z sobą ścierać powinny dla szerzenia zdrowych pojęć i ugruntowanych naukowo przekonań we wszystkich kierunkach życia ludzkiego.

Program z tych myśli wysnuty będzie i nadal celem, który Redakcja „Biblioteki Warszawskiej“ osiągnąć zamierza, a to w następujących działach:

I. Z dziedziny filozofii: rozbiór nie tylko systemów filozoficznych, ale i najnowszych kierunków badań filozoficznych.

II. W zakresie historii i geografii: obok dziejów powszechnych, dzieje własnego narodu, oraz innych narodów słowiańskich, w ich indywidualnym rozwoju z uwzględnieniem warunków geograficznych.

III. Z nauki statystyki, ważniejsze kwestye społeczne i ekonomiczne.

IV. Nauki przyrodzone w ich rozwoju i praktycznem zastosowaniu.

V. Pedagogia i filologia wraz z lingwistyką, ze szczególną uwagą na sprawy szkolne.

VI. Literatura i sztuki piękne: poezya i proza (powieść, dramat, poemata).

VII. Korespondencje w szczegółowych kwestyach naukowych.

VIII. Sprawozdania i krytyki z piśmiennictwa polskiego i obcego.

IX. Kronika z kraju i z zagranicy.

X. Kronika miesięczna o sprawach bieżących, społecznych, naukowych, artystycznych i ekonomicznych.

XI. Wiadomości bibliograficzne.

XII. Nekrologia.

XIII. Ogłoszenia.



WARUNKI PRENUMERATY.



Prenumerata Biblioteki Warszawskiej, na rok 1888-y wynosi:

W guberniach Królestwa i Cesarstwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego:

Rocznie rs. 10 kop. —
Półrocznie „ 5 „ —

w Warszawie zaś:

Rocznie „	9	„	—
Półrocznie „	4	„	50
Kwartalnie „	2	„	25

Upraszamy o nadsyłanie prenumeraty wprost do **Redakcji Biblioteki Warszawskiej, Nowy-Swiat Nr. 41**, gdyż to zapewnia najlepiej akuratańską ekspedycją pisma. Równocześnie upraszamy o wczesne nadsyłanie prenumeraty, ponieważ do tego stosować będziemy ilość drukujących się egzemplarzy.

Przyjmują także prenumeratę wszystkie księgarnie w Królestwie i Cesarstwie.

Opłata za ogłoszenia w „Bibliotece Warszawskiej” wynosi:

Za ogłoszenie, zapełniające 1 całą stronicę formatu Bibl. Warsz.	rs.	5
„ „ 1/2 stronicy	„	3
„ „ 1/4 „	„	2

Redakcja.

ENCYKLOPEDIA WYCHOWAWCZA.

Pod redakcją J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego i J. K. Plebańskiego, wychodzi w zeszytach 5-arkuszowych. Prenumerata wynosi kop. 40, z przesyłką kop. 50 za zeszyt. Można także wnosić przedpłatę po rs. 3 kop. 20 za tom, złożony z ośmiu zeszytów, z przesyłką rs. 4.

Skład główny i ekspedycya „Encyklopedyi Wychowawczej” znajduje się w Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa, Krakowskie-Przedmieście, Nr. 415.

„PRZEGLĄD KATOLICKI.”

Nr. 4-ty z dnia 26 stycznia zawiera treść następującą: O jubileuszu kapłańskim Ojca św. (Wyjątek z pamiętnika jednego z kapłanów polskich). — Żywoć Leona XIII-go. Dobroczyńca Perudźji (c. d.). — Pierwiastek cywilizacyjny (c. d.). — O teologicznym wydziale uniwersytetu Insbruckiego. — *Kronika kościelna krajowa*: Zmiany zaszele w dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej. — *Kronika kościelna zagraniczna*: Francya: 1) Kościół Najśw. Serca Jezusowego na

Montmartre w Paryżu.—2) Międzynarodowy kongres naukowy katolików. — Rzym: 1) Encyklika Ojca św. o kwestyi socyalnej. — 2) Jaki krzyż napiersny miał na sobie Ojciec św. — Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Odezwa kardynała Gibbons'a do Rycerzy
Bibliografia: Mały katechizm dla dzieci katolickich, przez ks. Adama Mazurka. — Nowości księgarskie. — Odpowiedzi Redakcyi.

„K R A J.”

„Kraj,” pismo polityczne, społeczne, ekonomiczne i literackie, wychodzące co tydzień w Petersburgu, zawiera w ostatnim numerze 4-ym z dn. 15 (27) stycznia r. b. oprócz zwyczajnej treści politycznej i społecznej dział ekonomiczny i w dodatku „Przegląd literacki” z następującymi artykułami: Włodz. Spasowicz: Stuletnia rocznica Byrona.—Miriam: „Święty ogień.” Legenda bretońska.—Dr. fil. Jul. Ochorowicza. „Dwa miesiące w Warszawie.—M. Konopnicka: „Na drodze obrazek grecki.”—Odczyt Légera „O panslawizmie.”—Tokarzewicz: Leon XIII-ty.—Bron. Grabowski: „Listy słowiańskie.”—K. Waliszewsk: „Zamek Nieświeżski.”—Kronika naukowa, literacka i artystyczna.—Nowe książki.—Treść pism.—Bibliografia.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca **J. K. Plebański.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Января 1888 года.